

MRO CZNA
SERIA

MARIUSZ

CZUBAJ

kołysanka
dla mordercy



96
W
96



MARIUSZ

CZUBAJ

**kołysanka
dla mordercy**



Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2011 Wydanie I Warszawa
2011

Redakcja: Joanna Habiera

Korekta: Małgorzata Denys, Małgorzata Kuśnierz

Adiustacja: Zuzanna Kowańska

Projekt okładki i stron tytułowych oraz zdjęcie na pierwszej
stronie okładki: Piotr Grabowski

Logo serii: Marek Goebel

Zdjęcie autora: © Aleksandra Litorowicz

Wydawnictwo W.A.B.

02-386 Warszawa, ul. Usypiskowa 5

tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11

wab@wab.com.pl www.wab.com.pl

Skład i łamanie: Tekst - Małgorzata Krzywicka Piaseczno,
Żółkiewskiego 7A

ISBN 978-83-7747-269-9

Konwersja do formatu MOBI: Virtualo Sp. z o.o.

virtualo.eu



Mariusz Czubaj (ur. 1969) - antropolog kultury, wykładowca w Szkole Wyższej Psychologii Społecznej w Warszawie. Autor książek: *Biodra Elvisa Presleya. Od paleoherosów do neofanów* (2007), *W stronę miejskiej utopii* (2007), *Krwawa setka. 100 najważniejszych powieści kryminalnych* (razem z Wojciechem J. Bursztą, 2007) oraz *Etnolog w Mieście Grzechu. Powieść kryminalna jako świadectwo antropologiczne* (2010).

Jego powieść kryminalna **21:37** (WA.B. 2008), której bohaterem jest Rudolf Heinz, otrzymała Nagrodę Wielkiego Kalibru.

Z Markiem Krajewskim napisał dwa kryminały o nadkomisarzu

Paterze: *Aleję samobójców* (W.A.B. 2008) oraz *Róże cmentarne* (W.A.B. 2009). Obecnie pracuje nad trzecim kryminałem o Heinzu.

Spis treści

- [Cytaty](#)
- [Prolog](#)
- [Część I Dół](#)
- [Część II Dwunaste piętro](#)
- [Od autora](#)

Cytaty

*And I know that in the morning
I will wake up in the shivering cold
And the spiderman is always hungry
The Cure, Lullaby*

*Because something is happening here
But you don't know what it is
Do you, Mister Jones?
Bob Dylan, Ballad of a Thin Man*



Prolog

Był pewien, że tej rozmowy nie zapomni do końca życia. Albo zrobi coś szalonego, by o niej zapomnieć.

Siedzieli przy barze i popijali whisky. Dwaj starzejący się biznesmeni w Starym Młynie Spa. Przed chwilą doświadczył na własnej skórze, że czas nie zatrzymał się w miejscu. Podszedł do atrakcyjnych dziewczyn i zaproponował im drinka. Brunetka wyjęła słuchawkę z ucha, druga wciąż łączyła telefon komórkowy z jej koleżanką. Przypatrywała się mężczyźnie uważnie, jakby próbowała oszacować, ile wydał na swoje ubranie. Albo jakby patrzyła na rzadki okaz zoologiczny. Ta druga, ruda, o ognistych włosach, utkwiała wzrok w rozłożonym na stoliku folderze. Fototerapia, aromaterapia, łaźnia parowa czy jacuzzi w ogrodzie pośród zieleni? Ciekawe, co sobie zaplanowała w rajskim spa na Mazurach? Stopą uderzała rytmicznie w nóżkę stolika, jakby ten ruch miał jej pomóc w podjęciu decyzji.

Brunetka pociągnęła drinka przez słomkę. W szklance zabulgotało.

- Mamy sobie wybrać, tak pan powiedział? Wie pan co, bardzo chętnie. Poproszę jeszcze drinka LP.

- Chyba nie podają tu nic takiego... - powiedział niepewnie.

- Ależ podają! - Zielone oczy spojrzały na niego. - Lady Pank. Mniej niż zero. Pan właśnie ma takie IQ, przepraszam, LP. Mniej niż zero.

Usłyszał śmiech i odwrócił się. Wieloletni wspólnik groził mu palcem. Kitka szpakowatych włosów podskakiwała mu na karku.

– Powinien pan znać ten stary przebój. To coś z czasów młodości pańskiego syna. Albo córki - prychnęła i z powrotem włożyła słuchawkę do ucha.

Rozmowa była zakończona. Zaproszenie nie zostało przyjęte.

Szyja i klatka piersiowa zaczęły go gwałtownie piec. I nie był to efekt sierpniowego słońca, grzejącego nadzwyczaj mocno w ostatni weekend wakacji. Poczł ucisk na pęcherz. Musi pójść do toalety.

Stał przy pisuarze. Przymknął oczy. Nikt i nic nie zepsuje mu dobrego humoru. Zwłaszcza te dwie dziewczyny. Nie żałował, że zdecydował się na weekendowy wyjazd. Podciągnął opadające spodnie. Podeszedł do umywalki i ochlapał twarz zimną wodą. Poczł ulgę. Szyja przestała piec. Wszystko wróciło do normy. Delektował się tym stanem przez krótką chwilę. Zbyt krótką chwilę.

– Współczuję panu - usłyszał głos za plecami.

Drgnął gwałtownie. Wydawało mu się, że w toalecie oprócz niego nie ma nikogo. Nerwowo wytarł twarz papierowym ręcznikiem.

– Pan Mateusz Dudziński, prawda? Z Warszawy.

To było raczej stwierdzenie niż pytanie.

– My się chyba nie znamy... - powiedział.

Nieznajomy przewyższał go o głowę. Był młodszy, miał najwyżej pięćdziesiąt lat. Krzaczaste brwi i śniada cera mężczyzny rzucały się w oczy. Trudno było nie dostrzec czegoś jeszcze: muskularnych bicepsów częściowo skrytych pod koszulą z krótkim rękawem oraz blizny ciągnącej się niemal przez całe lewe przedramię.

Chciał wyjść, ale tamten przewidział jego ruch i stanął w drzwiach. Poruszał się miękko, jak kot. Chyba właśnie ten ruch, zdecydowany, a zarazem wykonany od niechcienia, sprawił, że zaczął się bać. Poczł ukłucie pod łopatką. Z trudem przełknął ślinę.

– Współczuję panu, bo pan się niczego nie nauczy. - Mężczyzna mówił poprawnie po polsku, ale z wyraźnym obcym akcentem. - Wtedy też kończyło się lato... - powiedział cicho. - Ile to już czasu minęło? Trzynaście... nie - poprawił się. - Będzie czternaście lat.

Dudziński cofnął się. Chciał krzyknąć, ale coś sprawiało, że nie mógł wydobyć głosu.

– Przypomniał już pan sobie tę dziewczynę?

– Nie wiem, o czym pan mówi - szepnął. - Zostaw mnie w spokoju, przyjacielu.

Skłamał. Nie musiał sobie niczego przypominać. Pamiętał ją doskonale. A mężczyzna, który stał naprzeciwko, wiedział o tym dobrze.

– Pamiętasz. - Głos mężczyzny stwardniał. - Nawet umierając, będziesz o tym pamiętał. Takich rzeczy się nie zapomina. I nie mów do mnie: przyjacielu - usłyszał gniewny ton. - Nie jestem twój *barekam* (*barekam* (orm.) - przyjaciel).

Zacisnął powieki. To nie może być prawda. Takie spotkania się nie zdarzają. Nie w spa na Mazurach, absurdalna myśl zawirowała mu w głowie. Gdy otworzył oczy, nieznajomego nie było. Jakby rozpląnął się w powietrzu. Znikł równie bezszelestnie, jak się pojawił.

Wrócił do sali. Dziewczyny też zniknęły. Miał je gdzieś. Bar opustoszał. Jego towarzysz pewnie poszedł się przebrać. Chrząnąć go i jego interesy.

Weekend w starym młynie przerobionym na gigantyczny salon urody skończył się dla niego w jednej chwili. Jakby ktoś gwałtownie odciął mu tlen. Poszedł do pokoju i oznajmił zaskoczonemu współnikowi, że wyjeżdża. Drżały mu ręce. Nie słuchał pytań. Nie

chciał się wdawać w dyskusje. Sięgnął po koszulę wiszącą na oparciu krzesła, wrzucił ją do torby i wyszedł. Jeśli coś zostawił, to trudno.

Zbiegł po schodach i usłyszał swoje imię. „Mateusz Dudziński, prawda? Z Warszawy ”. Nerwowo spojrzął w górę. Nie. Przy balustradzie nie stał nieznajomy mężczyzna. Zobaczył głowę swojego współnika. Wybiegł na parking.

Chevrolet suburban mknął, jakby brał udział w Rajdzie Polski. Miał szczęście. Ominął kontrole drogowe ustawione w ramach akcji „Bezpieczny powrót do domu”. Dopiero pod Warszawą utknął w korkach.

Był ostatni dzień sierpnia 2008 roku. Zbliżała się dwudziesta druga trzydziści, gdy pilotem otworzył bramę wjazdową na posesję. Zanim wszedł do środka, rozejrzał się niepewnie, jakby się bał, że ktoś czai się w ogromnym pustym domu. Na wyświetlaczu telefonu zobaczył dziesięć nieodebranych połączeń. Wszystkie od współnika, który pozostał w Starym Młynie Spa.

Dwa tygodnie później dostał tę przesyłkę. Otworzył niewielkich rozmiarów paczuszkę i zmarł z przerażenia.

Zrozumiał, że już się nie wycofa. Decyzja zapadła. Wykona ruch, po którym zmieni się jego całe życie. Jedna tylko sprawa została mu do załatwienia. Jeden krok.

Miesiąc potem już nie żył.

Część I Dół

1

Wypatrywał swojej ofiary. Wiedział, że zaraz się pojawi.

Przed trzema tygodniami, gdy był na cmentarzu, ostatecznie podjął decyzję. Wrześniowe popołudnia były wtedy ciepłe, ale gdy nastawał zmierzch, czuło się nadchodzącą jesień. Kilka razy w chłodne, wilgotne wieczory i mgliste poranki czuł gwałtowny przypływ bólu. Już wiele lat temu zdał sobie sprawę, że powracające z okrutną regularnością ataki nie przypominają stanów, których doświadczają inni chorzy. To prawda, inni też martwieli z przerażenia i bali się poruszyć. Jednak w jego przypadku nie chodziło o fizyczne dolegliwości. Trwał w bezruchu jakby w obawie, że nawet najlżejsze drgnięcie przywoła znów do życia tę potworną zwalistą postać. Tak, choroby to co innego. Cierpienie i strach kojarzyły mu się z twarzą człowieka. Jedyne go człowieka, którego w swoim życiu nienawidził.

Tak było do niedawna. Ale już nie teraz. Teraz stał się kimś zupełnie innym. Gdy zdecydował się tam, na cmentarzu, wyzwolił się z przeszłości. Pokonał ją. Teraz, kiedy pracował, a jego dłonie wykonywały przez lata wyćwiczone ruchy, myślami przebywał w innym świecie. W świecie, do którego miał się dopiero wedrzeć jako nieproszony gość.

Myślał o polowaniu. I szukaniu odpowiedniej zwierzyny. Polowanie i zwierzyna. Sam nie wiedział, skąd wzięło mu się takie

porównanie. Przecież odgłos wystrzału przyprawiał go o gęsią skórkę. Nawet wtedy, gdy strzelano w telewizyjnym serialu.

Miał dużo czasu i był cierpliwy. Wszystko dokładnie zaplanował. Starannie wybrał czas i miejsce. Godzinami krążył wokół olbrzymich hal ozdobionych napisami Auchan i Leroy Merlin. Hipermarkety przypominały mu gigantycznych rozmiarów pudełka. W dzieciństwie bawił się podobnymi, tylko, rzecz jasna, mniejszymi. Wolał jednak nie myśleć o przeszłości.

Wreszcie zdecydował.

To stanie się tu. Niedaleko wjazdu do kanałów ciepłowniczych przy ulicy Elektronowej. Był pewien, że nikt przypadkowy nie zabłąka się w księżycowym krajobrazie Żerania, nie przeszkodzi mu i nie narobi kłopotów. Będą tylko we dwóch. Myśliwy i niczego nie spodziewająca się zwierzyna, która zmierza ufnie wprost w zastawioną pułapkę.

Potrafił bardzo długo włóczyć się po okolicy. Kupił wędkę i wyciągnął z piwnicy wiaderko, by upodobnić się do wędkarzy łowiących nad Wisłą. Wraz z nadchodzącą jesienią, przybywało bezdomnych w okolicach elektrociepłowni i żerańskiego kanału. Jakby się rozmnażali w zawrotnym tempie i wiedzeni instynktem przetrwania, przybywali do podziemnych korytarzy i zimowych schronisk.

Nauczył się rozpoznawać twarze tych nurków, którzy pracowali w duetach. Wykluczył ich od razu. Za dużo komplikacji, zbyt wielkie ryzyko. Szukał samotnika. Kogoś, kto chodzi własnymi ścieżkami. Raz wydawało mu się już, że trafił idealnie. I o mało się nie pomylił. Nurek jednak nie był sam, a on tylko stracił czas na bezowocne poszukiwania.

Drobne niepowodzenie nie wyprowadziło go z równowagi. Nauczyło większej przezorności. Polowanie to zajęcie dla cierpliwych. A on, przez te wszystkie lata, gdy trwał w uśpieniu, wyrobił w sobie umiejętność czekania.

W końcu znalazł idealną ofiarę. Po raz pierwszy zobaczył go przy hipermarkecie budowlanym. Nurek zbierał kartony rozrzucone wokół śmietników. Gniótł je i kładł na zardzewiałym wózku, z którego wystawał postrzępiony materac. Mężczyzna przewiązał swoją zdobycz sznurkiem i potoczył wózek w kierunku Elektronowej. Skrzypienie powyginanych kół ustało, gdy dotarł do wjazdu. Wtedy sięgnął do kieszeni, podniósł dłoń do ust i odchylił głowę. Pił łączywie. Po chwili zniknął w kanałach.

Następnego dnia zobaczył go znowu. Wszystko odbyło się prawie tak samo. Tym razem nurek ciągnął na wózku prostokątny przedmiot, który okazał się drewnianą szafką. Wtedy myśliwy zrozumiał. Materac. Szafka. Najwyraźniej wprowadzał się. Nowy lokator w podziemnym labiryncie. Nie przeżyje zimy, pomyślał myśliwy. Nie doczeka nawet późnej jesieni.

Obserwował go prawie tydzień. Nurek powracał do wjazdu z zadziwiającą regularnością, zawsze około wpół do siódmej wieczorem. Ostatni etap wędrówki stanowiły śmietniki hipermarketów. Nie wraca później, bo jest nowy i boi się, że ktoś zajmie jego miejsce albo zabierze mu rzeczy. A może słyszał, że czasami łysi młodzieńcy z Tarchomina, Białołęki albo Bródna robią naloty w tych okolicach. Podobnie jak on teraz, tamci urządzają swoje polowania. Skinheadzi polują na śmieci, a on...

Zresztą nieważne. Ważne było to, że regularność, z jaką nurek przybywał w okolice wjazdu, ułatwiała zadanie. Szósta trzydzieści po

południu. I ostatni odcinek, który można pokonać tylko jedną drogą. Tu przetną się ich ścieżki. To stanie się w tym miejscu.

Przygotował się starannie. Od trzech tygodni nie golił się i nieregularny, niechlujny zarost pokrył jego policzki. Zakupy zaczął robić w sklepach oddalonych od domu, by nie rzucać się w oczy znajomym ekspedientkom. Z garażu przyniósł poplamione spodnie, czarny sweter i zniszczone adidas. Ostatni raz miał je na sobie, gdy odnawiał dom.

Odnalazł zielony wojskowy plecak pamiętający odległe, licealne czasy. Do środka włożył ubranie, kilka foliowych toreb oraz sporych rozmiarów sekator przeznaczony do cięcia żywopłotu. Plecak zaniósł do gabinetu. Na stole z nierdzewnej stali leżały dwie napełnione strzykawki. Podniósł je do światła. Zmrużył oczy. Delikatnie nacisnął tłok. Ciemny płyn dotarł do końca cylindra i kropla zawisała na szczycie igły. Uśmiechnął się sam do siebie. Więc tak to się odbędzie.

Kierując się w stronę żerańskich kanałów, zahaczył o Biedronkę. Za trzy złote i dziewięćdziesiąt pięć groszy kupił wino Amarena. Niezły mózgotrzep. Ciekawe, jak nurkowie je nazywają? Dokupił papierosy. Zgniół w dłoni paczkę fajrantów. Taka wygnieciona będzie wyglądała lepiej. Był z siebie zadowolony. Pokiwał głową jak nauczyciel, który z uznaniem wysłuchuje ucznia. Musi dbać o szczegóły. Zwierzyna nie może poczuć zagrożenia, nie może się domyśleć, że jest namierzona. Że jest na celowniku. Że jest już trupem.

W samochodzie zdjął nakrętkę i wsypał do butelki z jabołem kilka pigułek. Zaparkował na miejscach przeznaczonych dla klientów Leroy Merlin. Wcześniej, zanim dojechał, zatrzymał granatowego

forda, zszedł w kierunku Wisły i założył stare ubranie. Spojrzał na dymiące kominy elektrociepłowni Żerań. Teraz nie różnił się niczym od budowlańców w pochłapanych farbą i gipsem ubraniach. W sklepie zwanym potocznie „lirojem”, ruch był niewielki. Może dlatego, że poniedziałek, a może ze względu na kryzys? Co go to zresztą obchodzi? Skarcił się w duchu i zacisnął mocniej dłoń na pasku plecaka. Nie może się rozpraszać. Przez cały czas musi być skoncentrowany. Nie przyjechał tu przecież na zakupy. Był tu w zupełnie innym celu.

Zaklął pod nosem. Szczegóły. Zapomniał o drobiazgu. A przecież drobiazgi zawsze są ważne. Przecież nie będą rozmawiali na stojąco. Zwierzyna nie może się niczego spodziewać. Muszą na czymś usiąść. Na czym? Nie wziął niczego ze sobą. Podszedł do śmietnika i ku swojemu zdumieniu, zobaczył pękniętą na pół plastikową obudowę komputera. Uznał, że nadaje się idealnie. Wziął ją ze sobą i poszedł w stronę wjazdu.

Siedział na plastikowej obudowie, drugą część postawił naprzeciwko siebie i czekał. Zaczął drzeć z zimna. Wtulił głowę w ramiona. Kwadrans później usłyszał cichy, znajomy zgrzyt. Odgłos stawał się coraz wyraźniejszy. Nurek, pochylony jak bokser, z trudem pchał swój dobytek.

– Znasz go? Kruchego Władka. Szukam... - Myśliwy zawiesił głos.

Nurek podniósł głowę i przyglądał się mu ciekawie. Otworzył usta. Nie spodziewał się nieproszonych gości.

– Jakiego Władka? - wybełkotał wreszcie. Albo miał wadę wymowy, albo za dużo już wypił. Podtoczył wózek i raz jeszcze przyjrzał się nieznanemu. Nigdy wcześniej go nie widział. To

żaden z jego kumpli. A potem zobaczył butelkę postawioną obok plecaka.

– Może znam, a może nie znam - burknął. - Co tam masz? - Wskazał na flaszkę. - To chyba nie denat?

– Nie, nie denaturat - mruknął myśliwy. Sięgnął po wino. - Jak chcesz, to masz, napij się.

Kloszard schylił się i łapczywie wyciągnął drżącą rękę. Miał olbrzymie, brudne dłonie pokryte strupami. Wyglądały, jakby ktoś przypalał je papierosami.

Nurek wypił zachłannie kilka łyków, beknął i usiadł na plastikowej obudowie. Wymieszany odór potu, wina i zepsutych zębów sprawił, że myśliwy odruchowo wyprostował się. Popatrzył na zniszczoną twarz, która równie dobrze mogła należeć do czterdziesto-, jak i sześćdziesięciolatka.

– Nie znam cię - wyseplenił kloszard. - Nie jesteś stąd. Jak się nazywasz?

– Nazywam się Karitas. Rozdaję wino. I szukam Kruchego Władka.

Bezdomny zacisnął dłoń na butelce i zaczął się śmiać. Zlepione włosy opadły na twarz. Odgarnął je ręką.

– Karitas... A to dobre. Podobasz mi się, gościu. A czy Karitas może ma przypadkiem fajka?

Ujrzał przed sobą z maltretowaną paczkę fajrantów.

– Władka szukam - usłyszał cichy głos. - Razem kopaliśmy rowy. Melioracje, nie? Wtedy to na rowerze jeździłem do roboty. Piętnaście kilometrów w jedną stronę, piętnaście w drugą i tak cały miesiąc. Wyobrażasz sobie? A wiatr wiał zawsze w twarz, nigdy w

plecy. Zawsze w twarz - powtórzył i zamilkł. - Bo biednemu wiatr zawsze w oczy.

- Ja tu jeszcze nie znam nikogo. Byłem tam, w Golędzinowie. - Nurek kiwnął głową. - Wiesz gdzie? - Zaczął dłubać brudnym paznokciem w zębach.

Myśliwy mruknął coś pod nosem.

- No tam, na Jagiellońskiej. Na tyłach FSO. Mieszkałem z tymi skurwielami, co potem zaproszyli ogień. Całe szczęście wyniosłem się wcześniej. Jeden się spalił. Tu mam spokój. Nikt nic ode mnie nie chce. Zupełnie jak wtedy, gdy robiłem w parku krajobrazowym. Drzewo upadnie, to sobie leży. Nikt się nie przypierdala. Jak ciepło, to i ty leżysz. I patrzysz na dęby kandelabrowe. Spokojna robota. Dlatego taki młody na gębie wciąż jestem. Młody jak bandyta! - Zaśmiał się i kolejny raz sięgnął po butelkę.

Zapadła cisza. Zrobiło się ciemno.

Myśliwy rozejrzał się. Wokół nie było nikogo. Uznał, że czas kończyć.

Odchylona głowa.

Przymknięte oczy.

Uśmiech na zniszczonej twarzy.

Jabol przytknięty do sinych warg.

Wstał i z całej siły kopnął w spód butelki. Nie wiedział, czy słyszy zgrzyt pękającego szkła, czy łamanych zębów. Pewno jedno i drugie naraz. Nurek upadł na plecy z rozłożonymi ramionami. Butelka cały czas tkwiła w jego ustach.

- Chciał, bym śpiewał mu do snu... - Pochylił się nad bezdomnym i wpatrywał się w białka jego oczu. - Też ci zaśpiewam. - Sięgnął do plecaka. - Ale z ciebie śmieć. Gówniany śmieć - mówił z nienawiścią

w głosie. - I po co się śmiałeś? Śmiałeś się. Nawet nie zauważyłeś, że mam na dłoniach rękawiczki - szeptał gorączkowo. - A wiesz, dlaczego je mam?

Bełkot, jęk i szloch zmieszały się ze sobą.

- Za późno... To przyszło o wiele lat za późno - mamrotał myśliwy do siebie.

Kłoszard z trudem uniósł głowę i zobaczył strzykawkę w dłoni nieznajomego. Chciał wstać, ale nie miał siły.

Igła nieubłaganie zbliżała się do jego serca.

- Twoja kołysanka - wyszeptał mężczyzna. - Zaraz będzie po wszystkim.

To było ostatnie zdanie, jakie usłyszał, umierając.

Myśliwy wpatrywał się w swoją ofiarę. Poczuł, jak gwałtowny powiew lodowatego wiatru przeszywa mu nerki.

- Takich jak on... - urwał. - Takich jak ty...

Odwrócił się i rozpiął plecak.

Wyjął sekator. Na ubranie założył foliowy płaszcz przeciwdeszczowy.

Jeszcze chwila i było po wszystkim.

Zegar w samochodzie wskazywał siódmą, gdy włączył silnik. Spojrzał na komórkę. Pokazywała tę samą godzinę. Szybko poszło. Tam przy kanale czas dłużył mu się w nieskończoność.

Był pewien, że nikt go nie widział. Sięgnął do schowka i wyjął paczkę davidoffów. Starał się ograniczyć palenie, ale dziś postanowił sobie nie odmawiać. Przecież to jego wielki dzień. Prawdziwe święto.

Włączył radio. Dowiedział się, że rząd niemiecki pomoże największemu krajowemu bankowi i że Islandia bankrutuje.

6 października 2008 roku był kolejnym czarnym dniem światowej gospodarki. Jakby na potwierdzenie tych słów po wiadomościach zabrzmiał stary przebój The Boomtown Rats *I Don't Like Mondays*.

Pierwszy raz tego dnia się uśmiechnął. W przeciwieństwie do śpiewającego Boba Geldofa, on lubi poniedziałki.

Wypuścił dym i uchylił okno w samochodzie. Dzisiaj zaśnie spokojnie. Był tego pewien.

Od dziś poniedziałki będzie lubił szczególnie.

2

Myślę, że źle diagnozuje pan swój problem, panie komisarzu.

Dwukrotnie, przy słowach „źle” oraz „problem”, uderzyła pomalowanymi na czerwono paznokciami w blat biurka, jakby chciała nadać dodatkowe znaczenie swojej wypowiedzi.

Siedzący naprzeciw niej mężczyzna podrapał się w policzek. Kilkudniowy siwiejący zarost postarzał go. Podobnie jak sklezione na głowie włosy odstające we wszystkich możliwych kierunkach i ciemne obwódki pod oczami, a wysłużona sztruksowa marynarka z łątami na łokciach kojarzyła się z lumpeksem.

Rudolf Heinz, policjant z second handu. Komisarz zleżącego gatunku.

Heinz patrzył na atrakcyjną doktor psychiatrii i czuł, że rzeczywiście należy do czasów, które bezpowrotnie minęły.

To było ich trzecie spotkanie. Trzecia runda, a z każdą kolejną komisarz czuł się coraz bardziej osłabiony. Rano, gdy przypatrywał się uważnie swojej twarzy w lustrze, pomyślał, że te wizyty go wykończą. Jeszcze dwa starcia i ktoś będzie musiał rzucić ręcznik na ring. Zaczęło się całkiem niewinnie, za pierwszym razem czuł

nawet, że może polubić tę kobietę. Gra wstępna skończyła się, gdy zapytała o jego najbliższą rodzinę.

Rodzina. To słowo wywoływało w nim bolesne wspomnienia. Działo z siłą elektrowstrząsów. Gównu pani do tego, pomyślał wtedy. Nikt nie będzie mnie terapeutyzować. I pouczać, jak mam żyć.

Policjant i lekarka od czubków. Prawie jak w hollywoodzkim kryminale.

Jeszcze chwila i eksploduje.

– Po prostu, jak to mówią, klęka mi psycha, rozumie pani? - powoli wychrypiął każde słowo, jakby ważył je w myślach. Bolało go gardło. Ale był sam sobie winien. Mógł wieczorem nie pić trzech piastów, które zalegały w zamrażarce.

– Od lat mam kłopoty ze snem. Ale nauczyłem się zasypiać przy muzyce. Od jakiegoś czasu i to nie pomaga. Piwo też już nie pomaga, a środki nasenne mnie zamulają, pani doktor. Potrzebuję więcej czasu, by dojść do siebie. Jeszcze trochę czasu.

Odwrócił głowę w stronę ściany. Znow widzi tę kobietę. Popatrzył na regał wypełniony głównie anglojęzyczną literaturą z dziedziny psychiatrii i psychologii. I jakieś opasłe trzy tomy po polsku. Ciekawe, czy kiedykolwiek do tych książek zajrzała? Czy stoją tylko po to, by podkreślić jej wątpliwe kompetencje? Wątpliwe, bo się do niej zraził: to jego subiektywne odczucie.

Pomyślał, że kiedyś było prościej. Gdy jeszcze pracował Chodźko. Tamten patrzył na człowieka, ciężko wzdychał i dawał dwa tygodnie zwolnienia bez pytania. A potem kolejny tydzień. Ale Chodźko też już należał do przeszłości.

- Podsumujmy nasze dwie poprzednie sesje - powiedziała i spojrzała na monitor laptopa. Tu też zaszła zmiana. Chodźko zawsze sporządzał odręczne notatki. - Korzysta pan z poradni od wielu lat...

- Jak pani wie, nie ja jeden w moim fachu - wtrącił szybko.

- Jak - zabębniła paznokciem - prawie każdy policjant. Uzależnienie alkoholowe, depresja, wielokrotne przerwy w pracy... - odczytywała z ekranu beznamiętnym głosem kartę pacjenta.

- Czyta to pani tak, jak przepis na ciasto babuni. A przecież - uniósł głos - to, kurwa, moje życie!

Znieruchomiła.

- Słucham, komisarzu?

Patrzył jej teraz prosto w oczy.

- Czy widziała pani kiedyś związaną kobietę, torturowaną i spaloną żywcem? Tak, jak paliło się kiedyś czarownice na stosie? Bo ja widziałem i powiem pani...

- Że ja też jestem taką wiedźmą? - Uśmiechnęła się. - Nie robi to na mnie wrażenia. Rozmawiałam natomiast z pańskim szefem, naczelnikiem Kościukiem... - zawiesiła głos, a Heinz wstrzymał oddech.

- I co powiedział pani ten gejzer intelektu?

- By przestał się pan wygłupiać. Wrócił do wydziału. Albo - wyczuł wahanie w jej głosie - przeszedł na emeryturę. Zasłużoną emeryturę, jak podkreślał naczelnik.

Heinz poczerwieniał na twarzy i chwycił za krawędzie biurka. Miał już wykrzyknąć, co sądzi o radach Kościuka, gdy rozległo się pukanie. Zanim kobieta zdążyła zareagować, w drzwiach stanął otyły mężczyzna. Sapiąc, precyzyjnie przesuwał się bokiem przez framugę, podszedł do kobiety i podał jej mięsistą dłoń.

– Jak sobie radzisz, Izo? Wszystko w porządku?

– Widzę, że tak ciężki przypadek jak mój diagnozujecie zespołowo. I pewnie macie lustro fenickie, zupełnie jak u nas. - Heinz sięgnął do wewnętrznej kieszeni, by wyciągnąć paczkę chesterfieldów.

Wieloletnie przyzwyczajenie znów wzięło górę. A przecież nie palił od miesiąca.

– Pan się źle czuje, komisarzu Heinz? - zapytała Iza.

– A, więc to jest nasz sławny komisarz! - Grubas wpatrywał się w Heinza wyblakłymi oczami. - Nazywam się Marcinkowski, jestem, jak się to dziś modnie mówi, superwajzorem. Konsultuję z panią doktor rozmaite przypadki. Czy ma pan może jakieś życzenie?

Żebyś się odpierdolił.

– Chcę zapalić. Ssie mnie.

– Właśnie na tym polega błędne autodefiniowanie problemu - powiedziała Iza. - Pan chce. Wydaje się panu, że pańska wola wystarczy. Chwila odpoczynku i znów da pan sobie radę ze wszystkim. Pan chce - powtórzyła. - Ale czy pan jeszcze może?

– Czytałem - wtrącił Marcinkowski - pańską dokumentację.

Bogato w niej. Rockefeller by się nie powstydził takiego majątku. Do-bro-sta-nu-psy-chicz-ne-go. Chyba tak to nazywają w swoim żargonie.

– Może niech pan pomyśli pozytywnie. I bez takiego wewnętrznego spinania się. Zaproponuję panu - doktor próbował usiąść na skraju biurka - taką grę. Proszę wyobrazić sobie, że jest pan piłką. Taką futbolówką...

Tylko nie to, pomyślał. Tylko nie piłka nożna.

– I co?

– Niech pan wyzwoli jakieś pozytywne skojarzenia.

– Nie mam żadnych pozytywnych skojarzeń.

– No, na przykład, że jest pan bardzo ważną piłką. Że tą piłką będzie grany mecz otwarcia na Euro 2012. A potem, że piłkarze składają na panu autografy. I że licytują za grube pieniądze podczas finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Trochę pozytywnych emocji! W końcu nie samą destrukcją człowiek żyje.

Heinz miał dosyć. Podniósł się z krzesła i poszedł w stronę drzwi.

– Panie doktorze, ja też mam dla pana grę. - Oparł się o framugę. - Wyobraźmy sobie, że jest pan cygarem... Marcinkowski klepnął się po nalanych udach.

– Świetne! - krzyknął. - Więc produkują mnie w najlepszej hawańskiej fabryce cygar. Pali mnie Fidel Castro. Albo mam jeszcze lepszy pomysł. - Spojrzał na Izę. - Należę do Billa Clintona. Dobrze, nie?

– Nie, doktorze.

– Słucham.

Superwajzor zamrugał oczami.

– Nie należy pan do Billa Clintona i Moniki Lewinsky. - Heinz ściszył głos. - Tak naprawdę nie jest pan cygarem. Przypomina pan psie gówno, które przezimowało w śniegu i szczęśliwie wyjrzało na światło dzienne po marcowych roztopach pod moim blokiem.

Uśmiech zamarł Marcinkowskiemu na twarzy. Iza wpatrywała się tępym wzrokiem w monitor laptopa.

– Tyle o tym - mruknął Heinz i trzasnął drzwiami.

Wprawdzie wyszedł z tego zwarcia z ciosem, ale czuł, że przegrał rundę. W gruncie rzeczy poniósł klęskę.

Biegł w stronę samochodu. Z jego ust wydobywała się para, która przypominała upragniony, papierosowy dym. Miejsca parkingowe w okolicy poradni były zajęte, musiał więc zatrzymać się w jednej z bocznych uliczek. Po przebiegnięciu stu pięćdziesięciu metrów poczuł, że opada z sił. Ostatnie metry pokonał, ciężko dysząc, i oparł się o maskę.

Sięgnął po kluczyki do kieszeni i natrafił na gumę Nicorette. Włożył jedną pastylkę do ust i skrzywił się.

Kłęska za kłęską. Zaczęło się od tego, że złamał rękę podczas treningu karate. Postanowił zrobić coś, co już dawno powinien mieć za sobą. Zdać egzamin mistrzowski. Zdobyć czarny pas. Zostać senseiem.

– Pamiętaj - powtarzał mu Kastoriadis, Grek zadomowiony w Polsce, który od wielu lat uczył go sztuk walki - dziewczyny lubią brąz. Twój pas powinien być w dostojniejszym kolorze.

Zaczął więc trenować cztery razy w tygodniu. Do upadłego. Podczas jednego z letnich treningów źle zablokował kopnięcie. Usłyszał charakterystyczny chrobot w ręce. W pierwszej chwili nawet nie czuł bólu, ale i tak wiedział, co się stało. Zapamiętał pełne politowania spojrzenie Kastoriadisa.

– Tyle razy ci powtarzałem. Hipis, byś w ostatnim momencie, gdy blokujesz, przekręcił rękę i zamortyzował uderzenie. Chyba teraz zapamiętasz. Ale rękę - Kastoriadis dotknął przedramienia komisarza, a ten syknął z bólu - masz do remontu.

Dojechał na Osiedle Tysiąclecia i zaparkował samochód. Siedział nieruchomo i wpatrywał się w kierownicę. Hipis. Jaki z niego hipis? Tak nazywali go niektórzy, najstarsi stażem policjanci w komendzie wojewódzkiej, tak wołali na niego koledzy z kapeli, w której grał. I

Kastoriadis. W najczarniejszych snach nie wyobrażał sobie, że znajdzie się w takiej sytuacji. Że będzie siedział z ręką w gipsie i patrzył na stojącą w kącie pokoju gitarę elektryczną. A jeśli już nigdy nie odzyska pełnej sprawności w lewej dłoni i nie będzie mógł grać? Chłopaki z zespołu wiele razy ostrzegali go, że te treningi tak się kiedyś skończą.

Pierwsze co zrobił, gdy zdjęli mu ten cholerny gips, to chwycił za epiphone'a i zmusił palce, by przycisnęły struny do gryfu gitary. Krople potu ściekały mu po policzkach i szyi, ale oddychał z ulgą. Wiedział, że jeszcze tym razem wszystko skończy się dobrze.

Zanim wszedł do wieżowca, zwanego, jak kilka podobnych, „kukurydzą” - jednego z cudów katowickiej blokowiskowej architektury - popatrzył na logo spółdzielni mieszkaniowej Piast. Ponury brodaty władca z mieczem mógłby straszyć małe dzieci. Zauważył, że w napisie wieńczącym sąsiednią „kukurydzą”, odpadła kolejna litera. „S.M. ast”. Wybrakowane osiedle i jej wybrakowany mieszkaniec, komisarz Rudolf Heinz.

Otworzył drzwi mieszkania. Kolejna życiowa porażka. Stopniowo się z nią oswajał, tak jak przyzwyczał się do samotności. Całymi dniami nie było go w domu, gdy jako ekspert podnajmowany w różnych województwach pomagał miejscowym policjantom ścigać piromanów, morderców i gwałcicieli. A gdy wracał, wpatrywał się w pustą przestrzeń. O tym, że ktoś jeszcze tu mieszka, do niedawna świadczyła wymiętoszona pościel w pokoju syna. Ale i to się skończyło miesiąc temu.

Intuicja podpowiadała mu, że młody już do mieszkania w „kukurydzy” nie wróci. Gdy uświadomił to sobie, poczuł, jak wzbiera w nim wściekłość. Przypomniał sobie sytuację sprzed

dwóch tygodni. Jadł resztki obiadu, ugotowanego cztery dni wcześniej. Jak zwykle włączył muzykę. Przy *Tea for One* Zeppelinów nie wytrzymał. Herbatka dla jednej osoby. A dla ilu, kurwa, miałyby być? Cisnął talerzem o ścianę. Kompozycja złożona z zaschniętego makaronu i sosu pomidorowego okazała się wyjątkowo trudna do zeskrobania. Rozprysk jak po strzale w głowę.

Żyli z synem na orbitach, które rzadko kiedy się przecinały, chociaż był taki moment, gdy wydawało się, że po wielu latach wreszcie się dogadają. Że pękła niewidzialna tama oddzielająca ich od siebie. Ale trwało to tylko chwilę i wszystko wróciło do normy, jaką sobie sami wypracowali.

Heinz wyjął z lodówki ostatnie piwo. Skrzywił się. Będzie musiał wyjść do Biedronki. Zjadł dwie kanapki z mielonką konserwową. Wrzucił nóż do zlewu. Nie miał apetytu. Ostatnio bardziej był hydro niż gastro, jak określił to kiedyś basista z ich kapeli. Musiał się napić. Jeszcze bardziej chciało mu się palić. Wziął duży łyk piwa i sięgnął po nicorette. Włączył TVN24. Jakiś ekspert pokazywał opadające słupki wskaźników gospodarczych, zaznaczone na czerwono.

Czuł, że sam ostro pikuje w dół. W ostatnich miesiącach ściął się z synem dwa razy. Za pierwszym poszło o muzykę. Któregoś dnia, gdy wieczorem wrócił z komendy do domu, zobaczył migającą zieloną lampkę w telefonie. Kto w dzisiejszych czasach nagrywa się na telefon stacjonarny? Gdyby wcześniej zapalił światło, pewnie nie zauważyłby sygnału informującego o zostawionej wiadomości. Nacisnął klawisz.

– Cześć, Mały - usłyszał nieznajomy głos. - Nagrałem ci się na komórkę, ale na wszelki wypadek zostawiam ci też na stacjo. We

wtorek gramy jednak ten koncert w Old Timersie! W poniedziałek wszystko na próbie obgadamy.

W pierwszej chwili pomyślał, że ta wiadomość jest do niego. Ale przecież, z zagipsowaną ręką, nie mógł zagrać nawet akordu. A poza tym, nikt nie nazywał go Małym. Hipis to zupełnie co innego. Wtedy zrozumiał. To była informacja dla syna. Odruchowo wykasował komunikat z telefonu. Zrobi młodemu niespodziankę. We wtorek był przed dziewiętnastą na ulicy generała Jankego, a dziesięć minut później, wsparty o filar klubowej sali, czuł, jak dźwięki gitary basowej wymierzają mu serię prosto w żołądek.

Młody, w czarnym T-shircie, wspierał się na mikrofonie. Koło nogi stał plastikowy kubek z piwem. Zespół skończył grać jakiegoś bluesa, którego Heinz nie znał, i płynnie przeszedł do kolejnego utworu. Ten znał na pamięć. Każdy gitarzysta w kraju zagra to o dowolnej porze dnia i nocy. Elementarz. Gdy Krzysztof zaczął śpiewać Czerwony jak cegła, nieśmiertelny utwór Dżemu, Heinz poczuł dumę. Wokalista dobrze wykonywał swoją robotę. Cały czas kurczowo przytrzymywał dłońmi statyw i wciąż miał zamknięte oczy. Przynajmniej tak się zdawało.

Awantura wybuchła dwa dni później, gdy spotkali się w domu. Heinz usłyszał, że nikt go na koncert nie zapraszał. Próbował coś tłumaczyć, ale daremnie. Wreszcie, gdy kłótnia osiągnęła szczytowy punkt i gdy pan Karolak, sąsiad z dołu i emerytowany nauczyciel, zaczął stukać w kaloryfer, Heinz usłyszał to, co zwykle:

– Nie jesteś prawdziwym ojcem - rozległ się szept pełen nienawiści. Nie był prawdziwym ojcem.

W tym oskarżeniu zawierało się jego życie. Wypadek samochodowy, który zabrał mu żonę, a chłopcu matkę, lata

policyjnej pracy, które nieomal skończyły się osieroceniem syna, stopniowe i nieubłagane rozluźnianie się więzów między nimi. Oschłość i obcość. Obcość i wrogość. Nadciągające na przemian jak następstwo dnia i nocy albo pór roku.

Drugi raz zderzyli się, gdy zobaczył pocztę w laptopie syna. Wiadomość od Alojzego Brycha. Miał zamknąć system, gdy nagle zamarł przed monitorem. Alojzy Brych. Nazwisko przywołane gdzieś z oddali. Z głębinowego kręgu pamięci. Kojarzyło mu się z kobiecym głosem. Z głosem matki. Raz jeszcze wymówił po cichu to nazwisko. Brych. To przecież niemożliwe. Otworzył wiadomość w skrzynce pocztowej. Przeczytał.

„Z Pańskim dziadkiem słyszałem się ostatni raz pięć lat temu. Gdy przeprowadził się do Hamburga, kontakt nam się urwał. Mówił mi, że chciałby przyjechać do Katowic. Dobrze by było. Mielibyśmy co wspominać. Bernarda Blauta, który w Odrze zaczynał, i Engelberta Jarka, który grał jeszcze, gdy Pański dziadek zaczął już karierę w Niemczech. Gdyby Pan się czegoś dowiedział o Józku, proszę dać mi znać”.

Ojciec zawsze powtarzał, że Brych to prawdziwy żniwiarz. Ścinał wszystkich napastników w lidze, rozległ mu się w głowie głos matki.

Ojciec zawsze powtarzał. Przez pierwsze miesiące, gdy Józef Heinz, jedna z gwiazd Odry Opole, niespodziewanie wyjechał do Niemiec, przytaczała te opowieści pewnym głosem. Z czasem coraz ciszej i z coraz większym zakłopotaniem. Po roku przestała wspominać boiskowe wyczyny męża i jego kolegów. A teraz młody postanowił odnaleźć dziadka.

Heinz obiecał sobie, że tym razem nie będzie krzyżeć.

- Jeśli go tu sprowadzisz, zatłukę go jak psa. Wiesz, że zostawił moją matkę i mnie. Zostawił nas samych! - wrzasnął. - A ten twój informator, ten Brych, nogi łamał, ale w piłkę grać nie potrafił!

Wybiegł przed „kukurydzą”.

- Skoro nie mam ojca, może przynajmniej dziadka odzyskam! - usłyszał głos z okna na trzecim piętrze.

Jakaś para z siatkami pełnymi zakupów przyglądała mu się ciekawie, a potem spojrzała w górę.

Synowie, którzy nienawidzą ojców. Z czymś mu się to skojarzyło. Nie był specjalnie zaskoczony, gdy młody oznajmił mu, że nie będzie dalej studiował stosunków międzynarodowych na Uniwersytecie Śląskim.

- Co zamierzasz robić? - Starał się, by jego głos brzmiał naturalnie.

- Akademia Morska w Gdyni. - W głosie syna usłyszał nieskrywaną satysfakcję.

Byle dalej ode mnie. Byle jak najdalej.

Jednak pójdzie po piwo do Biedronki. Bał się, że bez kilku puszek w zapasie, tak na wszelki wypadek, nie zaśnie. Bezsenność nasiliła się w ostatnich miesiącach. Od wielu lat miał kłopoty z zasypianiem, ale nauczył się sobie z tym radzić. Tym razem zawodził jednak wypróbowany sposób - bluesy puszczane do snu. Oczy Heinza z każdym tygodniem były coraz bardziej przekrwione, zdarzało się, że zaczął przysypiać za biurkiem. Wreszcie Krzysztof Kobuz, policjant, z którym komisarz pracował w jednym pokoju, nie wytrzymał.

- Przyniosłem ci coś. - Wyjął z kieszeni opakowanie. - Po tym będziesz spał jak dziecko. Tylko - popatrzyl Heinzowi w zapadnięte oczy - nie przesadz. I przeczytaj uważnie ulotkę.

Oczywiście nie przeczytał. I nie powinien brać pigułek od Kobuza. A już z pewnością nie wolno mu było łączyć stilnoku z alkoholem. Najpewniej przypadek sprawił, że wciąż jeszcze żył. Wziął środek nasenny, a potem szybko wypił trzy piwa. Puścił wodę do wanny. W drzwiach łazienki poczuł, że nie jest w stanie zrobić kroku w przód. Przytrzymał się framugi i osunął na podłogę. Światło zgasło.

Ocknął się, gdy woda dostała się do jego ust. Brnąc w kałuży i krztusząc się, doczołgał się do wanny i zakręcił kurek. Gdyby zasnął podczas kąpieli, pewnie by już się nie obudził. Może tak zresztą byłoby lepiej. Co miał powiedzieć o swoim życiu? Dół. Straszny dół, jak w islandzkim kryminale, który czytał niedawno.

Piwa trzepotały w siatce, jak karpie przed Bożym Narodzeniem, a on postanowił się przejść. Dobrze mu to zrobi. Jutro miał wrócić do komendy i do dusznej atmosfery wytworzonej przez nowego naczelnika wydziału kryminalnego, Zenona Kościuka. Okrążył staw, przy którym siedziało kilku wędkarzy. W przeciwieństwie do niego oni byli niezniszczalni. Można ich spotkać o każdej porze. Prawdziwi ludzie z żelaza i bez śladu korozji. Przed „kukurydzą” zobaczył napis „Gieksa 4Ever”, krzywe litery świadczyły o tym, że w tej części Tausena świętą wojnę kibiców Katowic i Chorzowa wygrywali ci pierwsi.

Połknął dwie tabletki dormicum, środka, który według Heinza zawarł z alkoholem pakt o nieagresji. Przynajmniej jego organizm występował tu w charakterze świadka koronnego. Włączył składankę z utworami Billie Holiday. Gdy Lady Day kończyła śpiewać *Don't Explain*, zasnął.

W środku nocy zbudził go czyjś krzyk. Nasłuchiwał. Może tylko mu się coś śniło? Jednak nie. Usłyszał odgłos tłuczonego szkła.

Kolejna awantura między sąsiadami z góry. Nigdy nie zamienił z nimi zdania. Jeszcze pół roku temu widywał mężczyznę, który ubrany w ciemny garnitur, wyruszał do pracy służbowym samochodem. Na boku volkswagena widniało logo banku. Pomyślał wtedy, że banki mają swoje barwy podobnie jak kluby sportowe. Miesiąc temu sąsiad z góry zaczął jeździć własnym samochodem.

Kolejny rumor. Tym razem taki, jakby przewrócili krzesło. Dwa głosy, kobiecy i męski, zaczęły się przekrzykiwać. Z tej kakofonii rozumiał pojedyncze słowa, głównie przekleństwa. Podniósł się z łóżka. Po minucie wszystko ucichło.

Spojrzał na zegarek. Druga w nocy. Ze złością przekręcił się na drugi bok. Dormicum tak działa. Czasem człowiek budzi się nie wtedy, kiedy trzeba, a potem ma resztę nocy z głowy. A może to wcale nie z winy prochów? Może znów po prostu się bał?

Heinz wiedział, czym jest strach. Kilka razy bał się śmiertelnie, ale zawsze przyczynę tego lęku stanowili ludzie. Tak było, gdy omal nie zginął spalony przez szaleńca. I wówczas, gdy na dachu wieżowca rozmawiał w cztery oczy z mordercą, czekał na posiłki, które nie nadjeżdżały, i myślał jedynie o tym, czy człowiek z obłędem w oczach i nienawiścią w głosie pociągnie go za sobą w przepaść.

Tym razem jednak było inaczej.

Z trudem przyznał się przed sobą, że boi się snu.

Przerażała go scena, która uparcie powracała w nocnym koszmarze.

Zegar w laptopie pokazywał jedenastą. Na ekranie wyświetlił się kolejny artykuł. Tytuł sprzed siedmiu lat, z pierwszej strony katowickiego wydania „Gazety Wyborczej”, podobny był do wielu

innych, jakie już dzisiaj odnalazł. „Kiedy złapiecie tę bestię?”. Ziewnął. Czytelnicy uwielbiają takie melodramatyczne chwytły. Podpisany pod artykułem autor stał się po latach jednym z najbardziej rozpoznawalnych dziennikarzy śledczych w Polsce. Może, przyznał z niechęcią, nawet najlepszym. Ale wszystko do czasu. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że wkrótce to się zmieni. Niebawem to on będzie numerem jeden.

Trzymał w rękach prawdziwą bombę. Ale zanim usłyszą o tym jego przełożeni i zanim zobaczy ją cała Polska, chciał się w samotności nacieszyć swoją zdobyczą. Dzięki niej Andrzej Kolba wyskoczy z tylnego szeregu. Dotychczas zawsze szamotał się w ostatnich rzędach. Tak było wtedy, gdy studiował polonistykę na Uniwersytecie Śląskim i pisał nudną pracę magisterską o błędach językowych w gazetach. I było tak, gdy sam w tych gazetach zaczął pisać o awariach sieci wodociągowej, dziurach w asfalcie, przesłach, mostach, wiaduktach i niekończących się remontach. Nic się nie zmieniło, gdy zaczął pracować w telewizji regionalnej i dla magazynów internetowych. Pozostawał zawsze gdzieś na uboczu. Niedoceniony, zakompleksiony i skryty. Do teraz.

Wypił łyk zielonej herbaty i rozprostował plecy. Zerknął na ekran. „Nieoficjalnie mówi się, że policjant jest trzecią ofiarą seryjnego mordercy. Informacji tej nie udało się jednak potwierdzić. Lekarze walczą o życie funkcjonariusza”. Kliknął na jeszcze jeden link. Tym razem otworzyło się zdjęcie, które widział już setki razy. Zrobione w oknie jednej z kamienic, przedstawiało szpaler policyjnych samochodów, a w tle budynki z czerwonych cegieł. Przy radiowozach stali policjanci. Uważny obserwator - a on do takich należał - mógł zauważyć, że postaci na zdjęciu patrzą w jednym,

tym samym kierunku. W stronę samochodu stojącego w środku kolumny. Powiększył zdjęcie. Na tylnym siedzeniu tłoczyło się trzech mężczyzn. Twarz tego, który znajdował się w środku, była niewidoczna, ale nie mogło być wątpliwości, że to był właśnie on. Uśmiechnął się. Znakomite zdjęcie na czołówkę serialu dokumentalnego.

Dziś spotkał się z mężczyzną z fotografii. Siedzieli po dwóch stronach stołu w szpitalu psychiatrycznym, obserwowani przez znudzonego pielęgniarza żującego gumę.

– Więc chce pan zrobić serial tylko o mnie? Dlaczego?

Tę rozmowę zapamięta do końca życia. Nagrał każde słowo, ale nie musiał uruchamiać dyktafonu, by ją teraz przywołać. Pamiętał każde słowo i każdy gest swojego rozmówcy. Uśmiechnął się. Byłby idealnym świadkiem dla komisji sejmowej roztrząsającej kolejną aferę.

– W panu jest coś więcej. Jest jakaś... tajemnica.

– Chce pan powiedzieć, że w Marchwickim albo Arnoldzie nie było żadnej głębi? A we mnie tkwią jej niezbadane pokłady? - Dziennikarz wyczuł w jego pytaniu drwinę.

– Panie Urbaniak...

– Proszę mówić do mnie: Inkwizytorze. - Mężczyzna zamknął oczy. - Przyzwyczaiłem się do mojego policyjno-medialnego przezwiska.

– W porządku. - Kolba przełknął ślinę. Aktorskie popisy Urbaniaka nie robiły na nim wrażenia. - Więc sądzę, że nie wszystko w pańskim wypadku zostało wyjaśnione.

– A czego nie wiemy, Holmesie z Katowic?

– Pierwsza ofiara. Ta dziwka, którą pan spalił...

Inkwizytor rozłożył ręce w geście sprzeciwu.

– Brzydko... No, naprawdę brzydko tak mówić o upadłej kobiecie - przeciągnął dwa ostatnie słowa jak kiepski artysta kabaretowy.

– Wiedział pan, że ona była ciężko chora, prawda? Że wkrótce by umarła?

Urbaniak zacisnął usta.

– Powiedzmy... - W jego głosie dało się słyszeć wahanie. - Przyjmijmy, że wiedziałem. I co z tego?

– Alfons. Ofiara numer dwa. Okazało się po latach, że facet zamieszany był w zabójstwa przynajmniej dwóch dziewczyn.

– Ale gdybym mógł zabić trzecią ofiarę, zrobiłbym to bez powodu. Dla czystego fanu! Tak to się mówi? Wybrałbym zdrową i niewinną jak łania.

– Inkwizytor wybuchł śmiechem. - Przypadek sprawił, że wszystko potoczyło się inaczej... - Spoważniał. - Do czego zmierzasz, Holmesie?

– Coś w śledztwie przeoczono. - Kolba patrzył mordercy prosto w oczy. Czuł, że puls mu gwałtownie przyspieszył. - Odrąbiono sukces, kolejny maniackalny śląski wampir został złapany. A ja myślę, że razem z panem na ławie oskarżonych powinien zasiąść ktoś jeszcze. Miał pan informatora. Dobrego informatora.

– Najlepszym informatorem jest Bóg. - Inkwizytor wzniosł oczy w stronę białego sufitu.

– Niech pan się nie wygłupia. - Kolba skrzywił się. - Ta dziewczyna powiedziała komuś o swojej chorobie. Może jakiemuś policjantowi? Z tego samego źródła pochodziła też twoja wiedza o tym sukinsynu, którego podłączyłeś do prądu.

- Znowu zaczynasz... Nie mówi się źle o zmarłych. - Urbaniak pogroził palcem. - Informator, mówisz? - Mlasnął. - Tak... Masz kogoś na myśli?

- Dwa lata temu pewien policjant popełnił samobójstwo. Zupełnie przypadkiem dowiedziałem się, że odwiedził cię tu kilka razy. Zacząłem szukać powiązań i...

- To nie jest powód, bym chciał rozmawiać. I zostać bohaterem filmu. Wiesz - ściszył głos, jakby chciał wyjawic głęboko skrywaną tajemnicę - potem będą tu mnie nachodzić jakieś świry... Szaleńcy jacyś... - Jak gdyby na potwierdzenie swoich słów rozejrzał się teatralnie.

- Jest taki powód. Pańska siostra, Barbara Urbaniak...

Inkwizytor drgnął.

Mam go, pomyślał Kolba. Trafiłem w czuły punkt. Ta kobieta jest jedyną osobą, na której zależy temu psychologowi.

- Sam pan wie, że siostra nie miała łatwo, gdy pana aresztowali. Siostra mordercy to siostra mordercy. I na nic nie pomogły tłumaczenia, że to ona zadzwoniła po policję.

Dziennikarz zawiesił głos. Czekał na reakcję Inkwizytora.

- Z tego co wiem, nie jest jej łatwo. Z trudem wiąże koniec z końcem.

- I?

- I jest sposobność, by jej pomóc. Myślę o pańskim honorarium.

Pielęgniarcz spojrział na zegarek. Popatrzył na Inkwizytora i ułożył dłonie w literę T, niczym trener proszący o czas dla drużyny.

- Powiedzmy, że wstępnie się zgodzę - powiedział Urbaniak. - Jeśli mamy pracować razem, mam dla ciebie dwie rady. Następnym

razem połów dyktafon na stół i lepiej panuj nad emocjami. Musimy sobie ufać. Jak... - szukał porównania -...jak podczas spowiedzi.

Kolba speszył się.

– I druga rada. Pamiętasz policjanta, który mnie znalazł?

– Tak. Rudolf Heinz. Od nas, z Katowic.

– Jego też chciałem spalić. Prawie mi się udało. - Skrzywił się, jakby chciał odegnąć nieprzyjemne wspomnienie. - I wiesz co? Wiedziałem, co robię. Rada brzmi: dobrze zastanów się dlaczego.

Urbaniak zamknął oczy i lekko uderzył dłońmi o blat stołu. Pielęgniarka położyła mu dłoń na ramieniu. Inkwizytor wstał z krzesła.

– Zastanów się, dlaczego - powtórzył, stojąc w drzwiach.

Kolba zamknął stronę ze zdjęciem. Kabotyn. W dodatku mitoman. Ale w telewizji wypadnie dobrze. Może, uśmiechnął się do siebie, Urbaniak Telekamerę nawet dostanie? Popatrzył na biblioteczkę. Obok kilku słowników, stały podręczniki szachowe. Kiedyś grał całkiem nieźle, ale to dziś rozegrał partię życia.

W wyszukiwarce wpisał imię i nazwisko komisarza komendy wojewódzkiej w Katowicach. Przebiegł wzrokiem tytuły linków. Nie, w ten sposób nie znajdzie nic interesującego. A przecież do kolejnej rozmowy z Inkwizytorem musi się przygotować. O co mu chodziło z tym Heinzem? Dlaczego tak żałuje, że nie spalił tego policjanta? „Prawie mi się udało”, przywołał w pamięci wyznanie Urbaniaka. I żał, z jakim wypowiedział pierwsze słowo. „Prawie...”.

Pierwsza ofiara, przypomniał sobie, i tak by umarła. Alfons zasłużył sobie na śmierć, a Heinz? Co ma do tego komisarz, gwiazda miejscowej policji? Też sobie zasłużył? Ale czym?

Kolba nie miał najmniejszych wątpliwości. Ten serial będzie hitem. Pięć minut sławy będzie tylko dla niego. Na wyłączność.

Dopił herbatę. Laptop cicho zapiszczał i po chwili przeszedł w stan czuwania.

5

Nienawidził spojrzeń pełnych współczucia albo co gorsza, litości, tym razem jednak los mu sprzyjał. Snuł się po korytarzach komendy, jakby chciał wysondować po reakcjach policjantów, czy nadaje się już jedynie do piachu. Kilka osób przywitało go machnięciem ręki, większość po prostu zignorowała. To dobry znak.

Poszedł do toalety i ochlapał twarz zimną wodą. Piekły go oczy. Przy kontakcie dostrzegł kartkę: „Ostatni gasi światło”. Przynajmniej jakaś nowość od czasu, gdy był tu po raz ostatni.

– Czyj to pomysł z tą kartką o gaszeniu światła? - zapytał, gdy wszedł do pokoju. - Tego tam? - Kiwnął głową w kierunku pokoju naczelnika.

– Tak - odpowiedział Kobuz. - Przecież nie Fidela Castro. A papier chociaż był?

– Nie korzystałem, nie zauważyłem.

– Bo widzisz, chyba ze względu na kryzys ograniczono liczbę rolek przypadających na piętro.

Nic dziwnego. Tak było w firmie zawsze, odkąd pamiętał. Program oszczędnościowy za każdym razem zaczynał się w ten sam sposób.

– Ale mam coś pocieszającego. - Kobuz potarł przerzedzone blond włosy. - Praca idzie pełną parą, bez przestojów i zakłóceń. O trzynastej mamy być u Kościuka.

Heinz skrzywił się.

– Wszyscy?

– Wszyscy. Ty też. Już wie, że wróciłeś.

Oprócz stołu konferencyjnego i krzeseł z czarnym skóropodobnym obiciem reszta mebli w pokoju naczelnika pochodziła z zamierzchłej epoki. Może dlatego każdy kolejny szef starał się nadać tej osobliwej kapsule czasu jakieś osobiste piętno, coś co uczłowieczyłoby przestrzeń pamiętającą Wampira z Bytowa i nerwowe narady śledczych.

Komisarz pamiętał Zenona Szwedę i gabinet upstrzony dziesiątkami fotografii, na których powtarzał się ten sam motyw. Uśmiechnięty naczelnik w gumiakach i bezrękawniku, trzymający w dłoniach okazałą rybę. Niedawno Heinz przypomniał sobie poczciwego Szwedę, który przyjął go do wydziału zabójstw w komendzie wojewódzkiej. Pomyślał wtedy, że zapalony wędkarz podzielił los złowionych przez siebie okazów: stary milicjant, który przeszedł weryfikację do służb w nowej Polsce, a potem został dyskretnie odsunięty na boczny tor.

Krygier, z którym pracował najdłużej, to była inna szkoła. Gabinet wypełniony kłębamii dymu pochodzącego z przemyczanych papierosów. A na ścianach kilka zdjęć składających się na swoisty rodzinny album Krygiera. Z lewego brzegu kobieta, która udusiła troje własnych dzieci. Jeszcze jedna matka Polka z policyjnych archiwów. Po prawej, Juliusz Kazuro przechowujący ciało konkubiny w czeluściach pralki Frania. A pośrodku szczupły blondynek o niewinnych niebieskich oczach. Janek Skucha. Spotkanie z nim sprawiło, że Krygier stał się bogatszy o czterdzieści szwów.

Kiedyś nie wytrzymał. Zapytał.

– Dlaczego on?

Naczelnik wydawał się zdziwiony pytaniem Heinza.

– Bo to zwykły bandyta. Z charakterem. Dlatego go tu powiesiłem.

A teraz, gdy po wyborach parlamentarnych, zmianie rządzącej ekipy i nieuchronnych roszadach w policji Krygierowi zaproponowano stanowisko w komendzie głównej, nastały czasy Kościuka. Wystarczyło dziewięć miesięcy jego rządów, by Heinz poczuł, że starzeje się w przyspieszonym tempie. Albo odejdzie sam, albo zostanie wyrzucony na brzeg. Albo zwariuje.

– Witamy naszego rekonwalescenta - zaczął Kościuk, gdy wszyscy usiedli przy stole. Spojrzał na Heinza. - Cieszę się, że wróciłeś.

Akurat.

– W zasadzie wiecie, co macie robić. - Założył ręce na kark i rozejrzał się po zebranych. - Z nowych spraw mamy Sosnowiec. Na klatce schodowej znaleźli pijaka z poderżniętym gardłem. Oczywiście...

– Nikt niczego nie widział, niczego nie słyszał - wtrącił się sąsiad Heinza.

Andrzej Kraus. Pierwszy halabardnik nowego naczelnika. Jego usta, a także, jak mawiano, jego oczy i uszy. Przydupas. Miłośnik ciemnych marynarek, na których osadzały się tony łupieżu. Kościuk pokiwał głową i przymknął oczy, jakby wypowiedziane słowa sprawiły mu szczególną przyjemność.

– Więc musimy, Krzysztof, pomóc Sosnowcowi. - Naczelnik popatrzył na Kobuza. - Ale tu - sięgnął po gazetę i uderzył dłonią w otwartą stronę, jakby chciał wymierzyć policzek - tu jest większy

pasztet. Zgwałcona szesnastolatka, okoliczności podobne do sprawy z Chorzowa sprzed czterech miesięcy. Dziennikarze - wymierzył policzek po raz drugi - już naciskają, piszą, że jesteśmy bezradni.

- Z tą dziewczyną z Chorzowa długo rozmawiałem - wtrącił Heinz. - Sądzę...

- A ja sądzą, że poszedłeś na zwolnienie - przerwał Kościuk. - Na długie zwolnienie.

Zapadła cisza. Naczelnik kolejny raz założył ręce na kark, eksponując potężne bicepsy. Kiedy mógł sobie na to pozwolić, zakładał T-shirt, by wszyscy zobaczyli tę grę mięśni. Najwyraźniej dziś właśnie był taki dzień. Smakosz sterydów i fan siłowania się na rękę, wykwintnie nazywanego armwrestlingiem, był w swoim żywiole.

- Dałem tę sprawę Andrzejowi. - Naczelnik popatrzył na Krausa.

I efekty widać. Heinz z trudem się powstrzymał, by tego nie powiedzieć.

- On poprowadzi ją dalej - ciągnął naczelnik. - Dam mu do pomocy Trzcinę. A gdzie ona jest?

- Aspirant Trzcińska - Kobuz chciał, by jego głos brzmiał oficjalnie - jest na zwolnieniu.

- Kolejna - mruknął Kościuk i popatrzył na komisarza. - Dla ciebie mam coś innego. Pamiętasz Klub Zabójców?

Nie. Mam alzheimera. Chowam masło do szafy, a skarpetki do lodówki.

Wszyscy pamiętali tych bydlaków, którzy najpierw strzelali do właścicieli i pracowników kantorów, a dopiero później szukali kasy. Ale to było lata świetlne temu. Teraz tamci mają dożywotnie wakacje, więc o co chodzi?

- Najpewniej jest odprysk tej sprawy. - Kościuk stuknął palcem w rozłożone przed nim papiery. - Dzieciaki znalazły w lesie ciało. Według wstępnych oględzin, to może być ten facet z kantoru w Rybniku, zaginął w 2006 roku.

- Oni - Heinz patrzył w stół - zostawiali ofiary na miejscu. Więc...

- Tak czy inaczej, zajmiesz się tym. To może naprowadzić nas na ślad kilku podobnych porwań na naszym terenie. Poprosiłem o rejestr takich spraw, które pozostały nierozwiązane po naczelniku Krygierze.

A teraz ty doprowadzisz je oczywiście do szczęśliwego finału. Heinz pokręcił głową, ale nic nie powiedział. Odsunął go od bieżących spraw, każąc prowadzić absurdalne śledztwa, aż sam powie: dość, basta, koniec balu.

- Na dziś to wszystko. - Kościuk powiódł wzrokiem po zebranych. - Komisarzu - zwrócił się do Heinza - proszę jeszcze zostać na chwilę.

Gdy zamknęły się drzwi, naczelnik wstał zza biurka. Podeszedł do okna, przeciągnął się i znów opadł w fotel.

- Więc jak się czujesz?

- Świetnie. Naprawdę. Dziękuję za troskę. To naprawdę pomaga.

Kościuk westchnął. Patrzyli na siebie w milczeniu, jak bokserzy szykujący się do walki.

- Chciałbym - naczelnik mówił wolno - byśmy się zrozumieli. Nic do ciebie nie mam.

Ależ masz. Masz zadrę. I to jaką.

Zadra ta tkwiła w naczelniku od dwóch lat. Brat Kościuka pracował w firmie ochroniarskiej w Gliwicach. Junior, bo tak na niego wołano, miał szczególne hobby. Lubił „kąsać śmieci”.

Traktował paralizatorem bezdomnych koczujących na dworcu kolejowym i w jego okolicach. Robił to bez wyraźnego powodu, ot tak, dla sportu. Gdy sprawa wyszła na jaw, firma straciła koncesję, a Juniorem zajęła się policja. Traf chciał, że przesłuchiwał go Heinz i nie był zbyt wyrozumiały dla rozrywek ochroniarza. Potem ktoś rozmył śledztwo, ostatecznie sprawę zamieciono pod dywan. Komisarz nie miał wątpliwości, czyja to była robota. Później, gdy usłyszał, kto zostanie jego nowym szefem, był pewien, że przyjdzie pora rewanzu.

– Nic do ciebie nie mam - powtórzył Kościuk, jakby chciał przekonać o tym siebie samego. - Ale musisz zrozumieć reguły.

Dyszysz. Heinz sięgnął do kieszeni. Dyszysz żądzą zemsty i nie umiesz tego ukryć.

– Pozwolisz, że będę żuł gumę - zapytał komisarz. - Rozumiesz, rzucam palenie. To taka wewnętrzna praca nad sobą. Gdy żuję, jestem mniej nerwowy.

– Reguła pierwsza - Kościuk zignorował jego wypowiedź - jest taka, że koniec z gwiazdorstwem. Profilerem bądź po godzinach i wtedy się baw w *Milczenie owiec*, a tu masz być policjantem.

– A drugie przykazanie?

– Takie, że pracujesz tu, na naszym terenie. Koniec z wyjazdami do Warszawy, Poznania, Gdańska. U nas można i tak się urobić po pachy. Albo akceptujesz te reguły, albo...

Albo się pożegnamy. Kościuk nie musiał tego dopowiadać.

– Czy wyrażam się jasno? - Naczelnik splótł dłonie na karku.

Heinz skinął głową.

– Jaśniej nie można. - Wstał. - Słuchanie twoich dyrektyw jest ekscytujące, jak kumulacja w Lotto.

Kościuk roześmiał się.

– Zajmę się kantorowcami. - Heinz ściszył głos: - Proszę, pozdrów brata ode mnie. Dawno go nie widziałem.

Naczelnik drgnął. Ale tym razem to nie napompowane bicepsy ożyły. Otworzył usta i bezgłośnie poruszył wargami. Przypominał teraz ryby z fotografii wieszanych przez naczelnika Szwedę.

Stare dobre czasy, przemknęło Heinzowi przez głowę, zanim wyszedł z gabinetu.

6

Zamknął oczy i uniósł podbródek. Zimny strumień wody uderzył go w czoło i dostał się do uszu. Skulił się i skierował prysznic w stronę bladoniebieskich kafelków. Kilka razy szybko mrugnął, spojrzał na sufit i w rogu dostrzegł małego brązowego pająka. Woda nagrzała się i ponownie skierował strumień na swoje ciało. Stał bez ruchu. Czuł przepływające fale gorąca, lekko rozchylił usta i starał się uspokoić oddech.

Dziś zaśnie bez przeszkód. I nie przyśnią mu się koszmary.

Nie będzie w tym śnie mężczyzny, który budził chłopca potężnym uderzeniem w twarz, strącającym z łóżka, nie będzie ostrzegawczego warknięcia psa ani kopniaka wymierzonego zwierzęciu. Nie będzie przekleństw dobywających się z zachrypniętego gardła, kobiecego lamentu, dziecięcego płaczu i skowytu. Nie powrócą wspomnienia wszechogarniającej ciemności, piwnicznego chłodu i wilgoci. Nie poczuje bólu nadgarstków unieruchomionych w dwóch imadłach, nie zobaczy palców miażdżonych w drzwiach. I nie usłyszy tego śmiechu szaleńca. Ten głos prześladował go latami, mimo że należał do osoby, której od dawna nie było wśród żywych.

Otworzył oczy. Zakręcił prysznic. Wykonał kilka gwałtownych ruchów głową, jakby strząsał z niej nie tylko krople wody, ale i złe wspomnienia.

Na Żeraniu poszło mu zadziwiająco łatwo. Czuł, że zbyt łatwo. We wtorek zaopatrzył się we wszystkie dzienniki. Nigdy nie kupował gazet, wystarczały mu wiadomości zamieszczane na portalach. Przez chwilę wydawało mu się, że kioskarz popatrzył na niego ze zdziwieniem. Znali się przecież, mężczyzna był jego klientem. W przyszłości musi wystrzegać się takich błędów. Przez następne dwa dni gazety kupował daleko od domu. Nerwowo przerzucał kolejne strony. Omijał ciągnące się całymi kolumnami analizy kryzysu gospodarczego, nie interesowały go wiadomości sportowe ani bieżąca polityka. Skupiał się na stronach lokalnych. To, czego szukał, powinno gdzieś tam być. Przeglądał uważnie każdą najdrobniejszą informację po kilka razy i niczego nie znalazł.

Najmniejszej wzmianki. Jak to możliwe? Czyżby to, co zrobił, było tak pospolite? Tak zwyczajne?

Postanowił, że nie będzie czekał. Tym razem obejdzie się bez długich poszukiwań, nadmiernej ostrożności, tropienia zwierzyny. Było to przecież znacznie prostsze, niż wydawało mu się na początku. Nie musi upodabniać się do kloszardów, by zmylić ich czujność. Wystarczy, że zabierze ze sobą wino, do którego lgną jak ćmy do światła. Ze względów bezpieczeństwa, zmieni jedynie rewir polowania. Rano ogolił się i wyciągnął stary sweter, który raz już mu posłużył. Zapakował sekator. Gdy sięgnął po strzykawkę z benzyną, zawahał się. Nie. Nie tak. Zrobi to nieco inaczej. Na moment powróciły pijackie wrzaski, którymi wypełnione było jego dzieciństwo. Gdy sznurował plecak, wciąż czuł ucisk na skroniach,

jakby krzyk z przeszłości wwiercał się w jego głowę. Skrzywił się z bólu.

Ból był nieodłączną częścią jego życia. Dlaczego nie miałby towarzyszyć śmierci innych?

Spotkał go niedaleko elektrociepłowni. Zaczął opowiadać, że pracował tu kiedyś, na Siekierkach. Tym razem nie przygotował sobie żadnej historyjki. Improwizował. Gdy usiedli na kilku cegłach, kloszard zaczął opowiadać o połowach dalekomorskich.

– I wiesz co? Pokłóciłem się z jednym takim, też był rybakiem. Zresztą pewnie zaraz tu przyjdzie. - Zaciągnął się papierosem. Dłoń z wyraźnymi śladami po poparzeniu, trzęsła się.

Ktoś tu przyjdzie. Zapaliła się czerwona lampka. Zabrzmiał sygnał ostrzegawczy. Wstał. Rozejrzał się wokół i zaczął rozcierać kolana.

– A wiesz o co poszło? - Sięgnął po butelkę. - Bo zaczął pierdolić, że w Urugwaju łowił błękitka, a tam były kalmary. A błękitek jebany to przecież Falklandy.

Kloszard zaczął się śmiać. Był w wieku zbliżonym do tamtego z Żerania. Zresztą oni wszyscy wyglądają podobnie. I śmieją się tak samo. W tym śmiechu pobrzmiewa pogarda zmieszana z agresją.

– Przestań się śmiać - powiedział to raczej do siebie. - Przestań!

Trzymał w dłoni cegłę. Podniósł ją i uderzył kloszarda w twarz. Z nosa ogłuszonego mężczyzny płynęła strużka krwi.

Rozejrzał się ponownie. Nikogo nie było. Rozsupłał plecak, założył lateksowe rękawiczki i wyjął strzykawkę. Chwycił nurka za głowę, przyciągnął mu podbródek do klatki piersiowej.

Tył czaszki był odsłonięty. Usłyszał cichy jęk. Rzucił bezwładne ciało w trawę i sięgnął po płaszcz przeciwdeszczowy.

Mało brakowało, a o czymś by zapomniał. Cegła. Ta, która zmiażdżyła twarz. Mogły pozostać na niej odciski palców. O butelce pamiętał, ale o cegle przypomniał sobie w ostatniej chwili. Wprawdzie policja nie miała wzoru jego linii papilarnych, ale nie o to chodzi. Musi działać precyzyjnie. Jak za pierwszym razem.

W domu, gdy mył zęby, ze zdziwieniem zauważył krwawą kreskę na wewnętrznej stronie przedramienia. Nie umył się dokładnie. Jutro musi obejrzeć ubranie i sprawdzić, czy w samochodzie nie zostały jakieś ślady. To musiała być krew z twarzy kłozarda. Ubrudził się, gdy odchyłał tamtemu głowę. Skarcił się w myślach kolejny już raz. Musi bardziej uważać.

Na stole w gabinecie leżały dzisiejsze trofea. Spojrzał w lustro i uśmiechnął się. Musi jeszcze zająć się swoją zdobyczą i odpowiednio ją przygotować.

Z gniewem pomyślał o gazetach. Teraz będą musieli już o nim napisać. Nie chodziło mu o rozgłos. Próżność zgubiła już niejednego, a on miał plany na przyszłość. Dalekosiężne plany. Chciał mieć jedynie pewność, że polowanie, które dopiero rozpoczął, zostało zauważone.

Woda ściekająca do umywalki miała przez chwilę odcień jasnoczerwony. Po chwili nabrała swojej normalnej barwy. Raz jeszcze spojrział w lustro. Przeczesał dłonią włosy. Osiwiał, zanim skończył dwadzieścia trzy lata.

Tak długo się bał. Teraz niech się boją inni.

Odwrócił się i uniósł głowę, ale pajaka na suficie już nie było.

Dziewczyna ze złością przestawiała opakowania ze spalaczami tłuszczu. Tree Bio CLA na niższą półkę. Tree Fat Transporter też.

Tree Thermo Fat Burner Max także. Odżywki węglowodanowe i białkowe wyżej, napoje izotoniczne w ką.

Tak zalecił szef. ZMA, stymulator testosteronu dający byczą siłę, na środek. I Tribulus Terrestris na najlepszym miejscu. Testosteron w pigułce. Viagra dla kulturystów z dodatkiem cynku.

Kupię ci w prezencie, przyda ci się, pomyślała z mściwą satysfakcją o swoim chłopaku. Ustawiała słoiczki z kapsułkami ostrożnie, jakby trzymała cenną porcelanę. Zauważyła, że drżą jej dłonie. Niepotrzebnie przypomniała sobie nieudany sobotni wieczór w klubie. Najchętniej by zapaliła, ale w każdej chwili mogła dotrzeć dostawa nowości dla miłośników wyciskania i martwego ciągu. Musiałaby wywiesić kartkę o magicznej treści „Zaraz wracam”, jakby jej obecność rzeczywiście kogoś obchodziła. Miała na krok nie ruszać się do dziesiątej, więc nie zamknie sklepu. Po co zaczynać tydzień od wysłuchiwanie starego zgreda. Jaki poniedziałek, taki cały tydzień. W sumie dobrze, że dzisiaj jest w pracy, nie obgryza przynajmniej paznokci tak jak wczoraj, gdy wyłączyła komórkę na cały dzień i nie otworzyła drzwi, gdy ktoś - wiadomo kto - uporczywie dobijał się do niej.

– W Cinnamonie miała być Party Night, a wyszła z tego Porażka Night - powiedziała do Connie Garner, gwiazdy fitness prężącej się na plakacie w dwuczęściowym kostiumie, na tle egzotycznych drzew i oceanicznej plaży.

Od chwili gdy zaczęła pracować w tej budzie, plakat wisiał na stałym miejscu i nic nie wskazywało na to, by coś w najbliższym czasie miało go ruszyć. Różne substancje dla mięśniaków, tych bezjajecznych wydmuszek, wędrowały z półki na półkę, ale mistrzyni fitness nie opuszczała swego miejsca. Z czasem polubiła

swoje rozmowy z Connie: dziewczyna z plakatu odpowiadała jej zagadkowym uśmiechem współczesnej Mony Lisy, a poza tym, chociaż była miss czegoś tam, to i tak miała bielsze ciało.

Porażka Night zaczęła się, gdy Marek wypił w „Cynie” czwarte piwo i poszedł do toalety. Po kwadransie zaczęła go szukać. Nie trwało to długo. Zobaczyła swojego chłopaka uśmiechającego się do Białych Kozaczków i wklepującego coś, zapewne numer „bikejki” do swojego telefonu.

– Czyżbyś dzwonił do mnie, kochanie? - Siedząc na niewygodnym taborecie, odtwarzała sobie ostatnią rozmowę tamtego wieczoru.

– Ależ... - speszony chłopak zaczął się tłumaczyć.

– Może przedstawiłbyś mnie tej pani? - zapytała lodowatym tonem.

Nie zdążył odpowiedzieć. Limonka, słomka i dwie kostki lodu stojące przed dziewczyną wylądowały na twarzy Marka. Bikejka prychnęła, wzruszyła ramionami i odwróciła się na pięcie. Ciekawe, czy to on zapłacił jej za tego drinka, pomyślała, zanim zrobiła to samo, co Białe Kozaczki.

Spojrzała na zegarek. Niebawem będzie dziesiąta. Godziny porannego szczytu minęły. Prowincja dojeżdżająca do Warszawy przewaliła się przez Dworzec Centralny. Jak można żyć w taki sposób? Dwie godziny rano w zatłoczonym pociągu i taki sam powrót późnym popołudniem. Nigdy na coś takiego by się nie zdecydowała.

Zapowiadano odjazd pociągu do Łodzi Fabrycznej kursującego według zmienionego rozkładu. Za kilka minut pojawi się pani Genia z koszami kwiatów i rozstawi je naprzeciwko klatki dla kulturystów. Skrzywiła się. Raman przyrządza kolejnego obrzydliwego kebaba. W

sektorze zajmowanym przez kwiaciarkę przystanęła grupka zakonnice. Z niechęcią odwróciła głowę w stronę półki z tribulusem.

– Jakaś przesyłka do pani - usłyszała męski głos.

Odwróciła się. Na ladzie stała paczuszka owinięta w szary papier. To nie były nowe odżywki. Otworzyła drzwi i chciała zawołać mężczyznę, który pozostawił przesyłkę, ale zrezygnowała. Zresztą tamten i tak znikł za zakrętem.

Uśmiechnęła się. Nie, nie musiała za nim biec. On był tylko posłańcem. Pewnie jakiś kolega Marka, który przyniósł prezent na przeprosiny. Postanowił zrobić jej niespodziankę.

Sięgnęła po paczuszkę. Coś w środku zachrobotalo. Coś konkretnego. Z pewnością nie były to maseczki do twarzy, które kupował jej na allegro. Nie był to też pierścionek, o który prosiła go od dawna.

Rozerwała szary papier i otworzyła pudełko. Zobaczyła pięć rozprostowanych palców. I jeszcze pięć.

– Ale ja już mam rękawiczki - szepnęła nie wiadomo do kogo: do siebie czy do Connie.

Wtedy zrozumiała.

Przygryzła paznokcie i zaczęła kręcić głową.

Z krzykiem wybiegła przed sklep.

Wrzeszczącą i próbującą coś nieskładnie wyjaśnić dziewczynę otoczyły zakonnice. Pierścień gapiów stopniowo się powiększał. Raman wyszedł przed budkę z kebabami i patrzył na kłębiącą się grupkę.

Jedna z zakonnice podeszła do lady i z ciekawością zajrzała do paczuszki.

– O mój Boże... - rozległ się jęk siostry. - O mój Boże!

Przez gęstniejący tłum przebiła się dwóch policjantów z dworcowego komisariatu.

Pociąg do Łodzi Fabrycznej odjechał z toru piątego przy peronie pierwszym.

8

Ktoś do ciebie. Czeka na dole. Mówił, że musi się koniecznie z tobą zobaczyć. - Kobuz podniósł głowę znad teczki z dokumentami.

- To niech czeka - mruknął Heinz i sięgnął po nicorette.

Był w tak zwanym nastroju nieprzysiadalnym. Kiedyś usłyszał gdzieś piosenkę, w której opisywano ten stan ducha. Zapewne wtedy komisarz miał podobny nastrój, bo utwór bardzo mu się spodobał. I zapamiętał go.

- On jest z telewizji. I przedarł się już przez zasieki.

Heinz westchnął. Pijar. Public relations. Troska o wizerunek. Nowe zakłęcia w polskiej policji. Nawet statystyki wykrywalności zeszły na dalszy plan. Staliśmy się zakładnikami mediów. Konsultantami seriali kryminalnych. Niedługo zaproszą któregoś z nas do *Tańca z gwiazdami*.

Wstał i sięgnął po marynarkę wiszącą na oparciu krzesła.

- Założ może coś odświętnego - spośród kłębowiska akt dobiegł głos Kobuza.

Komisarz spojrział na stojący w kącie pokoju wieszak i zaczepioną na nim górę munduru. W niektórych miastach policjanci dostali rozkaz, by przy każdorazowym kontakcie z dziennikarzami występować w służbowym stroju. Tu, w Katowicach, szczęśliwie ich to ominęło. Troska o wizerunek przegra tym razem z abnegacją i alergiczną niechęcią Heinza do oficjalnych uniformów. Wszystko

jedno, czy chodzi o mundur, czy o garnitur i wykrochmaloną koszulę.

Abnegacja? Raczej rezygnacja. Jego dni i tak są policzone. Finałowe odliczanie rozpoczęło się. Dostał ochłap. Jakąś absurdalną sprawę wymyśloną przez przeżarty sterydami mózg naczelnika. Otrzymał historię z kosmosu, którą nie miał ochoty się zajmować.

– Tobie się wydaje - powiedział - że jestem jakiś kapitan Żbik? - Raz jeszcze spojrzął na mundur. - Chrzanię to - dopowiedział cicho, nie wiadomo, czy do Kobuza, czy do siebie.

Zszedł na parter. Spośród kilku oczekujących osób wyłowił wzrokiem mężczyznę przyciskającego telefon do ucha i wykonującego ożywione ruchy wolną ręką. Debiutanci, którzy wkraczają w świat komendy, zwykle są spięci i bardziej powściągliwi w zachowaniach, ten wyglądał na starego wyjadacza.

Ich spojrzenia spotkały się. Heinz zdecydowanym krokiem podszedł do blondyna.

– Zdaje się - położył mu rękę na ramieniu - że to pan ma sprawę do mnie. A ja nie zamierzam czekać, aż skończy pan telefoniczną burzę mózgów.

O ile ty i twój rozmówca jesteście obdarzeni takimi organami.

Blondyn wyszeptał kilka słów do telefonu i rozłączył się.

– Przepraszam. Rozumiem, że komisarz Heinz? Wiele słyszałem o panu, ale nigdy nie spotkałem najszynniejszego policjanta z Katowic.

Heinz nie był pewien, czy w głosie mężczyzny nie pobrzmiwała nutka drwiny.

– Nazywam się Andrzej Kolba. Robię dokument o seryjnych mordercach ze Śląska.

- To proszę się zwrócić do archiwum albo do rzecznika - przerwał. - Na pewno chętnie panu pomogą.

- Nie pozwolił mi pan dokończyć. - Kolba uśmiechnął się. - Może też nie wyraziłem się precyzyjnie. Nie chcę odgrzewać starych kotletów. Chciałbym zająć się sprawą Urbaniaka... Inkwizytora, jak pan woli. Zresztą to przecież pan tak go nazwał. Można by rzec, że jest pan jego ojcem chrzestnym.

Heinz poczuł ucisk w żołądku. Patrzył na dziennikarza. Teraz istniał dla niego tylko ten człowiek. Świat wokół nich, krzątający się policjanci i głosy interesantów znikły.

- Zdziwię się, jeśli będzie chciał z panem rozmawiać. - Starał się, by jego głos brzmiał naturalnie. Dobry dziennikarz wyłapie różnicę w brzmieniu i fałsz w tonacji. A ten Kolba był niezły, to widać. Heinz nie miał wątpliwości, że blondyn z uśmiechem błakającym się na twarzy rozmawiał już z Urbaniakiem. A to znaczyło, że naprawdę jest dobry.

- Nie docenia mnie pan, komisarzu - powiedział łagodnie Kolba. - Nie odmówił, zgodził się wystąpić w moim serialu.

- „Nie” to najpewniej pana ulubione słowo. - Twarze Heinza i Kolby dzieliło teraz trzydzieści centymetrów. - Więc mam nadzieję, że nie poczuje się pan rozczarowany, jeśli ja też powiem: nie. Tyle o tym.

Heinz odwrócił się.

- Proszę zaczekać! - krzyknął Kolba. - Wie pan, dlaczego on się zgodził? Znalazłem coś, czego nikt nie znalazł! Nawet pan!

Heinz zmienił decyzję. Zrobił zwrot w miejscu i popatrzył na dziennikarza. Nie odejdzie. Chociaż bardzo by chciał, impuls okazał się silniejszy. Sprawa Inkwizytora nawet po wielu latach działała na

niego jak magnes. Kilku policjantów przyglądało się im ciekawie. Jeszcze chwila i będzie tu przedstawienie.

– Przewietrzmy się - szepnął Heinz. - Mamy złotą polską jesień. Pan ma ciepłą kurtkę, ja tylko marynarkę. Przewaga po pańskiej stronie.

Stanęli na parkingu przed budynkiem komendy. Dziennikarz powtórzył swoją rozmowę z Inkwizytorem. Na koniec zostawił to, co budziło jego największą wątpliwość.

– Jest jeszcze jedna sprawa, panie komisarzu - powiedział z wahaniem w głosie. - Ktoś z policji dawał Urbaniakowi cynk, to pewne. Ale na koniec powiedział coś o panu.

– O mnie? Co powiedział? - Tym razem Heinz nie kontrolował swojego głosu.

Kolba przestąpił z nogi na nogę. Widać było, że szuka właściwych słów.

– Powiedział coś takiego, że intuicja go nie zawiodła. Że dobrze zrobił, gdy chciał pana spalić. Radził mi, bym dobrze się zastanowił, dlaczego próbował to zrobić. Dlaczego wybrał właśnie pana.

Kilku kolejnych godzin Heinz nie pamiętał. Przeglądał papiery, zdawkowo odpowiadał na pytania Kobuza, który w końcu zamilkł.

Przypomniał sobie sprawę sprzed siedmiu lat. Coś wówczas przeoczył. Skupił się na Inkwizytorze, a nie dostrzegł odprysków tej sprawy. Czy to możliwe, że popełnił taką pomyłkę? Czy wszyscy, którzy prowadzili to śledztwo, mogli tego nie zauważyć? On, poparzony, walczył w szpitalu o życie. Policjanci ze Śląska odetchnęli z ulgą, gdy seria okrutnych morderstw zakończyła się. Nikt nie pomyślał o tym, w jaki sposób Inkwizytor typował ofiary. Wszyscy przyjęli jako pewnik, że wyłowili je jakoś, gdy był

duchownym. Jakoś... W końcu ksiądz słyszy to i owo o ludziach. Taki argument wystarczył. Nikt wówczas nie pomyślał, że dziwkę i alfonsa mógł mu wystawić policjant. Policjant i kapłan. Mieszanka wybuchowa. Szalona kombinacja. To nie mieściło się im w ograniczonych głowach. Potem, przez siedem lat, zdarzyło się tyle, że tylko nieliczni pamiętali już o Inkwizytorze. A z pewnością nikt nie zastanawiał się nad subtelnościami tej sprawy.

We wspomnieniach Heinza, zdarzenia sprzed lat powracały nieubłaganie w nieregularnym cyklu. Może dlatego postanowił spotkać się z Inkwizytorem w ubiegłym roku? Już wtedy, gdy odwiedził go w szpitalu psychiatrycznym, ten skurwiel coś sugerował. Dawał do zrozumienia, że chciał się odpłacić Heinzowi za jego winy. Za grzechy wypalane żywym ogniem.

Wówczas myślał, że Urbaniak wciąga go w jakąś dziwną grę. A teraz Kolba przywołał znów wszystko i zasiał w nim niepokój. Inkwizytor powtórzył teraz to, co powiedział Heinzowi rok wcześniej. Niebawem Kolba zrobi z tych sensacji właściwy użytek, o ile on do tego dopuści. Musi powstrzymać nadciągającą lawinę zdarzeń i jakoś je zneutralizować.

Z odrętwienia wyrwał go dźwięk telefonu. Z niedowierzaniem wpatrywał się w wyświetlacz komórki. Nacisnął przycisk z zieloną słuchawką. Od chwili gdy Krygier awansował i przeprowadził się do Warszawy, dzwonił dopiero drugi raz. Heinz wsłuchiwał się w głos dawnego przełożonego z napięciem. Wreszcie poderwał się gwałtownie z krzesła, trzasnął drzwiami i wybiegł przed budynek.

Gdy wrócił za biurko, był innym człowiekiem.

Raz jeszcze czyjaś śmierć sprawiła, że miał okazję się odrodzić. Zbrodnia popełniona przez jakiegoś zwyrodnialca dała mu jeszcze

jedną szansę.

Kobuz ślęczał przy aktach sprawy i spojrzał na komisarza, jak gdyby nic się nie stało.

9

Wrócił do mieszkania, włączył pierwszą płytę Zeppelinów i zaczął się pakować. Dwie bluzy polarowe, kilka koszul. Nadciągała jesienna wilgoć, poranne i wieczorne chłody, a wraz z nimi... Wsunął głowę w czeluście szafy. Niezbędnik męczyzny po czterdziestce ograniczony do minimum. Wahał się, czy zabierać ze sobą maszynkę do golenia i piankę. Czuł się trochę tak, jakby wyruszał w trasę koncertową. Tournée po scenach zbrodni. Krygier nie raz widział go z niechlujnym zarostem zalegającym na policzkach tygodniami, ale inni go tak nie widzieli. Nie wiadomo, na kogo się trafi. Z trudem wcisnął piankę do niewielkiej kosmetyczki. Otworzył szufladę i wyjął glocka. Od chwili, gdy syn wyjechał na studia, przechowywał pistolet, nie zważając na procedury bezpieczeństwa. Przecież i tak nikt się do niego nie włamie. Chyba że jakiś pomyleniec albo desperat. Zasunął szufladę. Rano zda broń, która i tak do niczego nie była mu teraz potrzebna.

Gdyby miał ją przy sobie siedem lat temu, zabiłby tamtego psychopata. Strzeliłby do Inkwizytora w obronie własnej i byłoby pozamiatane. A tak... Przypomniał sobie rozmowę z Andrzejem Kolbą. Pistolet i Kolba. Dobre połączenie. Do takich facetów należy najpierw strzelać, a dopiero potem pytać się, po co przyszli. Jeśli jeszcze żyją. Wyjątkowa hiena. Dziennikarska niebezpieczna hiena.

Ubrania, kosmetyki i dwa wybrane na chybił trafił kryminały, spakował błyskawicznie. Teraz przyszła kolej na najważniejsze zadanie. Na półce, obok *Crime Classification Manual* Douglasa,

Resslera *Serial Murderers and their Victims*, klasyki znanej każdemu profilerowi, leżał dwustugigowy, zewnętrzny dysk. Teraz spośród dziewięciuset płyt, które Heinz zgrał z eMule'a, musiał stworzyć repertuar wystarczający mu na jakiś czas. Może na kilka dni, a może na kilka długich tygodni. Z tego, co usłyszał od Krygiera, ta sprawa może się ciągnąć. Może nawet nie mieć końca.

Zdecydował, że dwadzieścia płyt musi mu wystarczyć. Na zgrywanie pozostałych nie miał czasu. Poszedł do przedpokoju i wyjął komórkę z wewnętrznej kieszeni. Kilka nieodebranych połączeń. Dzwonili z komendy. Najwyraźniej Kościuk wiedział już o wszystkim. Nie, nie będzie oddzwaniał. Pierwszy raz od długiego czasu nie martwiły go układy panujące w firmie. Raz jeszcze spojrzął na wyświetlacz. Za kwadrans siódma. Musi się pospieszyć z tą dyskografią.

Za godzinę powinien być w City Rock Pub. Wprawdzie wiedział, że tramwajem dotrze tam szybko, ale na wszelki wypadek chciał mieć kilka minut zapasu. Nie mógł się spóźnić. Zapowiadała się niezła zabawa.

Tak naprawdę występ rozpoczął się wtedy, gdy zakończył długą telefoniczną rozmowę z Krygierem. Na parterze minął dwóch policjantów konwojujących aresztanta.

– Chłopaki, jak rany Boga, możecie mnie rozkuć! Spytajcie zresztą komisarza!

Heinz usłyszał charakterystyczny bulgot, występujący tam, gdzie powinna pojawiać się głoska „r”. Być może pół godziny wcześniej zignorowałby ten głos i poszedłby przed siebie. Jednak teraz, po rozmowie z Krygierem, wszystko się zmieniło.

Zatrzymał się.

– Jak się masz, Bizon! - Popatrzył na wychudzonego mężczyznę. - Jezu, człowieku, co się z tobą stało? Gdy szedłeś na wakacje, wyglądałeś inaczej.

– No i było super - zabalgotał Bizon. - Chwaliłem sobie. Siłownia, spokój, szacun chłopaków, te sprawy. Odsiedziałem swoje, a potem zaczęło się prawdziwe piekło. Zobacz, jak wyglądam. Pół człowieka.

No faktycznie. Bizon. Postrach Osiedla Tysiąclecia, tyle że z górnego Tauzena. Jeszcze jeden z pracowników firmy ochroniarskiej, który z nadgorliwości skatował klienta na dyskotece.

– To wszystko, Żydu. Młody Kościuk. Ale nie mogę o tym mówić, bo mnie tu... - Rozejrzał się jak zaszczute zwierzę.

Młody Kościuk. Brat naczelnika. Żydu? Przecież wołają na niego inaczej.

Heinz chwycił Bizona za łokieć i odciągnął go na bok. Spojrzał na konwojentów. W ich oczach dostrzegł wahanie. Uspokajającym gestem uniósł rękę do góry. Wszystko gra. Na pokładzie sami swoi. A tu być może pojawiła się niespodziewana szansa, by zrewanżować się naczelnikowi za jego ostatnie przyпіływy czułości.

– Co się stało?

– Żydu... Wrobił mnie w prochy... Nie miałem z tym nic wspólnego. Jak matkę kocham!

– Twoja matka nie żyje. - Heinz spojrział z politowaniem.

– Tym bardziej ją kocham! - zabalgotał Bizon.

– Dlaczego Żydu? - Heinz mocniej ścisnął Bizona za łokieć.

– Złamany nos. Piłką dostał. Już jako dziecko miał taką ksywę. Nienawidzi, gdy ktoś tak do niego mówi. Ale prochy i ja... To on! -

krzyknął zdesperowany mężczyzna.

Konwojenci zbliżyli się i chwycili go pod rękę.

– Ostatnie pytanie: gdzie go spotkam? - szepnął Heinz.

– City Rock Pub. Jest tam codziennie wieczorem. Prawie codziennie... Wie pan gdzie, komisarzu?

Chorzowska róg Sokolskiej. Heinz skinął głową. Zdaje się, że młody Kościuk mieszkał gdzieś obok, przy ulicy Grażyńskiego, w niskim bloku z trójkątnym niebieskim balkonem. Albo przy ulicy Olimpijskiej. Zresztą wszystko jedno. Może to on w pasażu handlowym, na wysokości szkoły tańca, wypisał sprayem „Gieksa po wsze czasy - fanatyczny styl życia”? Chociaż dla tego półmózga taka ortografia i przekaz mogłyby być zbyt skomplikowane.

– Nie rozkuwajcie go - powiedział do konwojentów. - Nie wiercie w żadne jego słowo - mrugnął do Bizona i odwrócił się.

Usłyszał rozpaczliwy bulgot. Zapewne było to przekleństwo na „k” z głoską „r” w środku. Ciekawe, kiedy zmienią mu ksywę i zaczną wołać na niego: Hydraulik. Gdy odgłos ustał, Heinz sięgnął po komórkę. Przez chwilę ważył ją w dłoni, jakby podejmował decyzję. W końcu wybrał numer.

Spotkanie z Bizonem przypomniał sobie w pubie, gdy wbił się w czerwone obicie fotela i wypił kilka łyków zimnego piwa. Wpatrywał się w bolid Formuły 1 zawieszony na ścianie, zakochaną parę, która wybrała sobie miejsce pod tą dziwną instalacją, patrzył na wiszące nieopodal pojazdu zdjęcie Hendriksa szarpiącego struny zębami.

I odwrócony plecami wsłuchiwał się w gardłowy śmiech grupki mięśniaków siedzących kilka stolików dalej. Czterech mężczyzn zachowywało się tak, jakby miasto należało do nich. Jeden

zastanawiał się głośno, kto ma lepsze parametry - dziewczyna czy wiszący nad nią bolid.

Do pubu wszedł mężczyzna w prochowcu. Długie siwe włosy spływały mu na ramiona. Usiadł przy wolnym stoliku i zaczął przeglądać kartę. Z głośników dobiegało *Born to be Wild* kapeli Steppenwolf, która pewnie poszłaby w zapomnienie, gdyby nie ten jeden utwór. Jak łatwo zyskać nieśmiertelność. Niektórym wydaje się, że należą do wąskiego grona niezatapialnych. Miody Kościuk z pewnością zaliczał sam siebie do tej elity.

Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Bójka, czyli jeszcze jeden barowy evergreen. Brunet w czarnym, opiętym T-shircie uniósł szklankę stojącą na ladzie, odwrócił się w stronę swojego stolika i wówczas zderzył się z siwym kloszardem.

– Uważaj, pętaku! - Szarpnął go za klapę prochowca.

Siwy musiał coś odpowiedzieć, bo szklanka w dłoni mężczyzny niebezpiecznie zatańczyła, a piwo rozlało się na podłogę.

T-shirtowiec sięgnął za pasek z tyłu spodni. Gdy wysunął dłoń, trzymał w niej jakiś przedmiot.

Siwy nie czekał. Odtrącił uzbrojoną rękę, a następnie niedostrzegalnym niemal ruchem uderzył otwartymi dłońmi w uszy napastnika. Wyglądał jak muzyk orkiestry symfonicznej, który wydobywa dźwięk z dwóch talerzy. Brunet zawył z bólu. Paralizator wypadł mu z dłoni. Po chwili rozległ się kolejny krzyk, gdy kloszard w prochowcu od niechcienia wysunął nogę do tyłu i trafił w podbrzusze drugiego z atakujących go mężczyzn. Ten zatoczył się i z całym impetem uderzył o ścianę, na której wisiał bolid. Samochód spadł z hukiem, a wrzeszcząca dziewczyna przy stoliku już nie sprawiała wrażenia zakochanej.

- Spokojnie - mruknął Heinz do siebie. - Policja jest na miejscu. Jak zwykle - dopowiedział przez zęby.

Jednym susem dopadł do baru, przy którym pojawił się kolejny napastnik. Heinz chwycił półmetrową gumową podstawkę z napisem „Vodka Belvedere. Na zdrowie”.

No to na zdrowie.

Wyrznął piegowatego rudzielca gumą w twarz. Chłopak zawył, padł na kolana i wypuścił z dłoni nadtłuczoną butelkę, potocznie zwaną tulipanem. Popatrzył w stronę toczącego się szkła. Przytrzymał się fotela, a krew, sącząca się z rozbitego nosa, wymieszała się z czerwienią obicia.

Heinz kątem oka spojrzał na stół. Co z czwartym gościem? Siedział nieruchomo jak wąż zahipnotyzowany przez fakira.

- Nawet nie myśl o tej butelce, bo oskarżą cię o napad na policjanta. - Heinz sapnął, wyjął z kieszeni policyjną blachę i zaczął machać nią jak świętą relikwią. - Zresztą to i tak jest napad na policjanta.

Gdy uznał, że sytuacja jest opanowana, podszedł do wijącego się na podłodze Kościuka.

Przykucnął.

- Zbyt często używasz tego paralizatora. Najwyraźniej weszło ci to w krew. Są świadkowie - spojrzał na skuloną parę, która jak sparaliżowana siedziała przy swoim stoliku - że zaatakowałeś człowieka. Tym razem nawet brat ci nie pomoże. - Zmrużył oczy.

- Zostaw go. - Siwy pochylił się nad Heinzem. - On chwilowo nie słyszy. A przynajmniej bardzo bym się zdziwił, gdyby było inaczej.

Dwie godziny później Heinz siedział na rozpadającym się krześle w mieszkaniu Kastoriadisa przy ulicy Zaborskiej. Rozejrzał się po

pokoju. Nic się nie zmieniło, odkąd był tu po raz ostatni. Na ścianie plakaty z wielkimi mistrzami karate: Funakoshim, Nakayamą, Nishiyamą, Kanazawą... W rogu poukładane, jedna na drugiej, tarcze do ćwiczeń i kije bambusowe. Na środku pokoju ciężki worek.

Kastoriadis wrócił z kuchni z kolejnymi czterema puszkami.

– Nigdy byś mnie na to nie namówił, gdyby nie to, że sam słyszałem o tym skurwielu. - Grek usiadł na krześle. - Pamiętasz, jak odwiedził mnie Milo?

Heinz pociągnął łyk i przytaknął. Milo, siostrzeniec Lambrosa Kastoriadisa. Gdy niedoceniana Grecja w 2004 roku zdobyła mistrzostwo Europy w piłce nożnej, dwaj Grecy wybiegli z mieszkania przy Zabrskiej owinięci niebiesko-białymi flagami, przebiegli obok zdumionych meneli wystających przy dawnym sklepie monopolowym, kilkakrotnie okrążyli plac Wolności, intonując grecki hymn, a potem ruszyli w stronę tawerny Afrodyta, gdzie zabawa trwała do świtu. Wówczas nikt nie zatrzymał tego radosnego i hałaśliwego korowodu. Miesiąc potem, gdy Milo, tuż przed planowanym wyjazdem z Polski, wdał się w jakąś awanturę, było inaczej. Wtedy ktoś potraktował go paralizatorem, inni dokończyli dzieła. Wyjazd opóźnił się o dwa miesiące, które siostrzeniec Lambrosa spędził w szpitalu. To nie był najlepszy pomysł na życie. Chyba, że ktoś lubi śruby tytanowe wkręcone w szczękę. Wiele wskazywało, że chłopak wdał się w awanturę z Kościukiem i innymi ochroniarzami, ale pewności nie było. Może to i lepiej: gdyby Kastoriadis znał sprawców pobicia, długo by nie pożyli. Zniknęliby w tajemniczych okolicznościach, jeden może

miałby szczęście: znaleźliby go w jakimś zaułku ze skrzyconym karkiem i doczekałby pogrzebu.

– Tak czy inaczej, temu Kościukowi należało się za całokształt.

– Co mu właściwie zrobiłeś? Zanim się zorientowałem, on już leżał.

Kastoriadis podszedł do Heinza i przytknął wewnętrzne części dłoni do małżowin usznych komisarza. Lekko docisnął, jakby miażdżył jakiś owoc. Heinz skrzywił się z bólu i lekko uniósł z krzesła. Czuł się jak kosmonauta w stanie nieważkości. W pewnym momencie nacisk zelżał. Policjant sapnął i z ulgą opadł na siedzenie.

– Nigdy nie daj się w ten sposób zaskoczyć. Takie uderzenie powoduje gwałtowne sprężenie powietrza w przewodzie słuchowym zewnętrznym. Błędnik zaczyna wariować, pęka błona bębenkowa. Powoduje to natychmiastową utratę słuchu, bardzo silny ból i krwawienie z ucha. - Kastoriadis przymknął oczy, jakby wygłaszał wykład. - Stara szkoła - kontynuował. - Ta technika nazywa się *kumade*, czyli niedźwiedzia łapa. Najpierw strzał dłońmi w uszy, a potem palcami odrywasz małżowiny.

Heinz wypił łyk i mlasnął z niesmakiem.

– Proszę, nie przy jedzeniu.

– Dawno nie byłeś u mnie. Hipis, na zajęciach, potraktujmy więc to dzisiejsze zamieszanie jako trening w plenerze. - Puszka Kastoriadisa otworzyła się z sykiem. - Tego Kościuka tylko lekko ogłuszyłem, oszołomiłem. Chodzi o to, by na kilka sekund zająć przeciwnika bólem. By myślał tylko o tym, jak bardzo boli. Ten czas musi ci wystarczyć, rozumiesz? By uciec, wezwać pomoc, zabić...

Zrobić cokolwiek. Zresztą nieraz ci to mówiłem. Dlatego ten twój numer z gumową podstawką był całkiem niezły.

– Myślałem, że tego nie widzisz - zdziwił się Heinz.

– Widzę więcej, niż ci się wydaje.

–A co powiedziałaś Kościukowi, że tak gwałtownie zareagował i rzucił się na ciebie?

Kastoriadis otworzył szeroko oczy.

– Naprawdę nie wiesz? Nazwałem go Żydem. - Uśmiechnął się. - Sam podsunąłeś mi ten pomysł. Pamiętaj, nie ma krótszej drogi od najkrótszej drogi.

Tym razem uśmiechnął się Heinz. Kastoriadis. Mistrz karate i twórca aforyzmów. Swoją drogą ten o najkrótszej drodze dobrze by zapamiętać.

Przypomniał sobie to powiedzenie, gdy wrócił do mieszkania. Mimo późnej godziny kusiło go, by upchać na zewnętrznym dysku kilkanaście kolejnych płyt. Powstrzymał się jednak. Najkrótsza droga. Te, które już nagrał, muszą mu w Warszawie wystarczyć.

Była pierwsza w nocy, gdy zadzwonił telefon. Numer prywatny. Kto to może być o tej godzinie?

Rozmówca milczał, ale nie rozłączał się.

– Młody, to ty?

Brak odpowiedzi. W tle dobiegał czyjś głos z włączonego telewizora albo radia. Nie, to nie syn. Nie dzwoniłby o tej godzinie, a jeśli już zdecydowałby się zadzwonić, to z pewnością by nie milczał.

– Kościuk? - zapytał niepewnie.

Usłyszał trzask w telefonie. Zapadła cisza. Ten ktoś rozłączył się.

Heinz odetchnął głęboko. Ktoś chciał go wyprowadzić z równowagi. Tym razem to się nie uda. Nikomu się nie uda. Rano rozpoczyna nowe życie. Krygier podsunął mu respirator, a on z niego skwapliwie skorzysta. Do snu włączył sobie Billa Frisella. Delikatne dźwięki gitary powiodły go na amerykańskie Południe.

Tej nocy spał dobrze. Nie prześladowały go ani senne koszmary, ani krzyki sąsiadów z góry, świadczące o pogłębiającym się kryzysie sektora bankowego.

Gdy obudził się o szóstej, czuł, że jest gotowy do drogi.

10

Załatwił wszystkie formalności w komendzie wojewódzkiej. Był pewien, że dojdzie do konfrontacji z naczelnikiem. Kościuk mu nie daruje akcji w City Rock. Tyle, że od wczorajszego popołudnia Heinz pracował na szczególnych prawach i był gotów o tym przypomnieć przełożonemu. Gdy jechał do komendy na ulicę Lompy, przygotował sobie nawet odpowiednią przemowę. Wskaże na ścianę, na której za czasów naczelnika Krygiera wisiało zdjęcie „zwyczajnego bandyty”, Janka Skuchy. Przypomni Kościukowi tę fotografię i zapyta, ilu on takich złapał. I dlaczego ich fotki nie wiszą na honorowym miejscu? To powinno wystarczyć. A w Warszawie spróbuje zaczepić się na stałe. Krygier na pewno go wesprze.

Odkąd syn się wyprowadził, Heinz czuł, że z Katowicami łączy go coraz mniej. Może nastał wreszcie ten moment, by zmienić otoczenie?

Kościuka jednak nie było. Szef ma ważną naradę. Sekretarka wręczyła Heinzowi lakoniczny dokument delegujący go do Warszawy. Tyle o tym. Chciał pożegnać się z Kobuzem, ale kolega

zza biurka także gdzieś znikł. Obok swojego komputera zobaczył niewielką kartkę. „Słyszałem, niezła akcja wczoraj. Powodzenia”, przeczytał i uśmiechnął się. Znał Kobuza. Nie pozostawiłby tej historii bez komentarza.

Przed wyjazdem pozostała mu jeszcze jedna sprawa do załatwienia. Udał się na drogę krajową, gdzie dawno temu postawił krzyż. Coś podpowiadało mu, że tym razem nie przyjedzie tu w połowie miesiąca, w dniu przypominającym tamten wypadek. Październikowy deszcz rozpadał się na dobre, gdy dotarł na miejsce. Zauważył, że tabliczka z imieniem żony zaczęła rdzewieć. Będzie musiał ją wymienić.

– Nie będzie mnie piętnastego - szepnął. - Mam nadzieję, że mi jakoś wybaczysz.

Gdy wsiadł do samochodu, poczuł, że ubranie ma do wyżęcia. Szyby w samochodzie błyskawicznie zaparowały. Zanim rozbrzmiały płaczliwe dźwięki gitary Jimmy'ego Page'a, zrozumiał, że z Katowic nigdy się nie wyprowadzi.

Zebranie grupy specjalnej w komendzie stołecznej miało się rozpocząć o osiemnastej. W pokoju konferencyjnym Heinz pojawił się grubo przed czasem. Zapytał o Krygiera. Dawny przełożony podobno już przyjechał do firmy, ale nikt nie potrafił powiedzieć, gdzie teraz jest.

Sięgnął po komórkę, by do niego zadzwonić, i w tym momencie usłyszał sygnał nadchodzącego połączenia. Numer prywatny. Odebrał.

Jego głos trafił w pustkę. Żadnej odpowiedzi. Tak samo jak ostatniej nocy. Zaklął pod nosem i wsłuchiwał się w ciszę.

Zanim się rozłączył, poczuł uderzenie w plecy. Jakby ktoś kilofem trafił go między łopatki. Nie musiał się odwracać, by wiedzieć, kto stoi za jego plecami. Tak witał się z Heinzem tylko jeden człowiek.

– Ktoś, Karloff, przywita się kiedyś z tobą w taki sam sposób. Obyś trzymał wtedy kubek z gorącą kawą. Naprawdę gorącą, a nie tą naszą lurą.

Usłyszał śmiech za plecami. Odwrócił się i zobaczył potwora z blizną przecinającą twarz na pół. Nie przypadkiem Karloff dostał taką ksywę. W ułamku sekundy mignęły Heinzowi sceny sprzed półtora roku, gdy obaj pracowali nad sprawą zamordowanych kleryków z seminarium duchownego. Najwyraźniej ich drogi znów miały się skrzyżować.

– Myślałem, że rzucisz tę robotę. - Heinz wyprostował się. - Nie sądziłem, że znów się spotkamy.

– Złego diabli nie biorą - Karloff raz jeszcze uśmiechnął się, jakby przygotowywał się do konkursu na mistera Polski. - A ja myślałem, że to ty jesteś już szczęśliwym emerytem. Ale jak usłyszałem o tym pojebie, który morduje bezdomnych i odcina im dłonie, od razu pomyślałem o tobie.

– Ciekawe, kogo jeszcze dziś spotkam? - zapytał Heinz. - Będzie ta policjantka, jak jej... chyba Jolka. Ta na czarno, w głanach.

Uśmiech na twarzy Karloffa zgasł.

– Jeśli chodzi o Jolkę... - zawahał się. - Potem ci powiem.

Chciał coś jeszcze dodać, ale nie dokończył. W drzwiach pokoju konferencyjnego pojawił się Krygier. Za nim weszło troje umundurowanych policjantów. Inspektor podszedł i przywitał się z dawnym podwładnym.

Zupełnie jak Cezar w otoczeniu pretorianów, pomyślał Heinz. Widocznie praca w stolicy i władza zmieniają każdego.

– Zaczynamy. - Krygier klasnął w dłonie. - Mamy mało czasu.

Heinz był pewien, że wyczuł zapach nikotyny, którą przesiąknięte było ubranie szefa.

Sięgnął po nicorette.

– Ponieważ nie wszyscy tu się znacie, krótka prezentacja - ciągnął Krygier. - Podkomisarz Jowita Rut z komendy głównej. - Wskazał trzydziestolatkę w okularach z rudymi włosami na jeża. - Będzie koordynatorem między stołeczną a główną. Oraz podrzuci co nieco dziennikarzom. Zresztą już to zrobiła.

Policjantka zdjęła okulary i potarła dłonią oczy, jakby chciała podkreślić ogrom pracy, jaki ją czeka. Heinz zauważył, że ma zadbane paznokcie pociągnięte bezbarwnym lakierem. Zupełnie jakby przyszła tu wprost z salonu kosmetycznego.

– Podkomisarz... Zresztą akurat ciebie wszyscy znają, Karloff.

– Na dobre i na złe. - Przyszły mister Polski wykonał swój kolejny popisowy grymas.

– Twoje metody pracy są... - Krygier najwyraźniej szukał odpowiedniego słowa - są kontrowersyjne, ale przy takich sprawach jak ta musimy szukać rozwiązań niestandardowych. Karloff kieruje tym zespołem. I - spojrzał przeciągle - nadstawia głowę.

– Raczej rękę - wtrącił blondyn siedzący po prawej ręce Heinza.

Heinz nie wierzył własnym uszom. Karloff szefem zespołu? Czyżby Krygier postradał zmysły? Czy kryzys dotknął policję aż tak głęboko?

– A ten młody człowiek - Krygier wskazał na blondyna - to aspirant Prałat. Za chwilę zreferuje, co wiemy w naszej sprawie.

Starszy aspirant Andrzej Maciejewski to człowiek od czarnej roboty. Jego doświadczenie operacyjne z pewnością nam się przyda. Mamy do czynienia z ludźmi, ujmijmy to tak, ważącymi słowa. Bezdomni - uśmiechnął się kwaśno - jakoś nie łakną naszego towarzystwa.

Heinz spojrział na mężczyznę ze spuszczoną głową. Gdyby siedzieli w knajpie przy sąsiednich stolikach, nawet by nie zauważył jego obecności. Najwyraźniej nawyki wywiadowcy nie opuszczały Maciejewskiego nawet podczas służbowych zebrań.

- I wreszcie - Krygier spojrział na dawnego podwładnego - komisarz Rudolf Heinz z Katowic. Poprosiłem go o pomoc, bo ma doświadczenie w wypadkach takich jak ten. Heinz jest... - zawiesił głos -...krótko mówiąc: znamy się od lat. Będzie działał jako wolny elektron, ale jest członkiem zespołu. Pracujecie wszyscy razem. Na wspólne konto. Pracujemy - głos Krygiera stał się twardy - na wspólne konto. A oto, co wiemy. - Popatrzył na Prałata i klasnął w dłoń.

Zupełnie jak David Copperfield zachęcający publiczność do obejrzenia kolejnej sztuczki.

Jak na zawołanie. Prałat otworzył laptopa, zgasił światło i włączył ekran na ścianie.

11

Pierwszego mężczyznę znaleziono 7 października około dziesiątej rano. - Prałat kliknął przycisk w laptopie. Heinz zobaczył ciemny kształt zlewający się z rozmięktłą ziemią i brunatnymi kępkami trawy. - O zwłokach znajdujących się niedaleko wjazdu do kanałów ciepłowniczych na Żeraniu, powiadomił nas anonimowy rozmówca. Dzwonił z automatu w Auchan.

– Zapis z kamer jest taki, że pewnie filmowcy z „oszołoma” nie mają co liczyć na Oscara - wtrącił Karloff.

– Nie mają. Informatora nie ustaliliśmy, ale raczej wykluczamy go z kręgu podejrzanych.

– Dlaczego? - zapytał Krygier.

– Bo według ustaleń, zabójstwa dokonano poprzedniego dnia w godzinach popołudniowych lub wieczornych - wtrącił Maciejewski i uniósł głowę znad notatek. Heinz dostrzegł bliznę przy łuku brwiowym. - Morderca, gdyby chciał nas powiadomić, zrobiłby to od razu. Bałby się, że ktoś przeniesie ciało, a my nie dowiemy się o jego błyskotliwej robocie.

– Mało prawdopodobne, by ktoś postronny chciał przynosić zwłoki w inne miejsce - odezwała się Jowita Rut. - Zbyt duże ryzyko. I całkowicie zbędne. - Ostatnie zdanie wypowiedziała zdecydowanym tonem, jakby chciała przerwać wszelką dyskusję.

– To specyficzne środowisko - odpowiedział Maciejewski. - Kłoszardzi chcą mieć spokój, trup to kłopoty, a nikt nie życzy sobie policyjnego najazdu na swoim terenie, zwłaszcza oni. Ciało znajdowało się blisko wejścia do kanałów, a jednak nikt nas szóstego nie powiadomił. Przecież ktoś musiał je widzieć.

– Problem polega na tym, że nie jest to prymitywne zabójstwo, będące zwieńczeniem kłótni między kłoszardami. - Prałat najwyraźniej postanowił wkroczyć do akcji i wyświetlił kolejną fotografię. - W tej sprawie mamy szczególne okoliczności.

Zdjęcie przedstawiało mężczyznę w trudnym do określenia wieku. Twarz pokrywały skrzepy krwi i grudki ziemi. Rozchylone usta były napuchnięte. Ofierze brakowało górnych przednich zębów. Otwarte, martwe oczy wpatrywały się w ekipę śledczą.

Ile podobnych zdjęć w życiu widziałem?, pomyślał Heinz. Mógłbym z nich zrobić pokaźny album. I oglądać je z wnukiem przy kominku. I częstować go cukierkami. Udławić się można.

– Otrzymał cios, który zmiażdżył mu twarz. Prawdopodobnie dostał butelką. Świadczą o tym odłamki szkła w dziąsłach i podniebieniu. Nie to jednak było przyczyną śmierci. A również nie to.

Kolejne zdjęcie przedstawiało przedramiona mężczyzny. Oba kończyły się w tym miejscu, gdzie powinny zaczynać się dłonie.

– Morderca odciął obie ręce. - Prałat spojrzał na Heinza, jakby właśnie do niego skierowana była ta informacja. - Ofiara już nie żyła. Zwróćcie uwagę, że w miejscu przecięcia nie ma tak zwanych śladów przyżyciowości. Brakuje podbiegnięć krwawych, otarć naskórka, silnego krwawienia. Gdyby coś takiego zrobić żywemu lub człowiekowi w agonii, byłoby inaczej. Dłonie odcięto dość ciężkim narzędziem: tasakiem, siekierką, szablą albo czymś podobnym. Nie trzeba do tego zbyt dużej siły, mógłby to zrobić niemal każdy.

Kolejna fotografia pokazywała innego mężczyznę z ramionami rozrzuconymi nad głową. Skojarzył się Heinzowi z kibicem piłkarskim. Gdyby stał, mógłby w uniesionych rękach trzymać klubowy szalik. Mógłby. Gdyby miał czym.

– W podobny sposób odcięto dłonie mężczyźnie nieznanemu 10 października niedaleko kanałów przy Elektrociepłowni Siekierki. Zabójca zmiażdżył ofierze twarzoczaszkę zapewne cegłą, tak wynika ze śladów, które pozostały na twarzy. Tę cegłę morderca prawdopodobnie zabrał ze sobą, a potem wyrzucił. Wstępne oględziny potwierdziły, że przyczyna śmierci jest w obu wypadkach

taka sama, jakkolwiek są pewne różnice. W sprawie Siekierk czekamy na sekcję zwłok.

- Ma być zrobiona na cito. - Krygier bawił się paczką z papierosami. - Ta sprawa ma w Warszawie priorytet. Rozmawialiśmy już dzisiaj o tym - spojrzał na umundurowanych policjantów.

Na cito. Już to widzę, pomyślał Heinz. Czyli potrwa to dwa, trzy tygodnie.

- Wiemy natomiast, co się stało na Żeraniu. - Prałat wyświetlił zdjęcie pokazujące wychudzoną, pożółkłą klatkę piersiową zabitego kloszarda.

Kliknął kilka razy, by powiększyć zdjęcie.

Po lewej stronie klatki piersiowej, na wysokości serca, obrysowano na czerwono niewielki punkt.

- Zabójca unieszkodliwił ofiarę. Ogłuszył ją, a następnie zrobił jej zastrzyk prosto w mięsień sercowy. Zastrzyk - aspirant popatrzył po zebranych - z benzyny.

Cisza, która zapadła, także należała do rytuału policyjnych zebrań. Czy się tego chce, czy nie, przy każdej takiej sprawie reaguje się podobnie. Wieloletnie doświadczenie nic tu nie zmienia. Słyszeć było, jak Karloff pociąga nosem. Krygier bębnił papierosami o blat stołu.

- Czy wykonanie takiego zastrzyku wymaga kompetencji? - Jowita Rut przerwała milczenie. - Czy do tego trzeba...

- Nie, nie trzeba jakiejś szczególnej wiedzy - uciął Prałat. - Ta metoda zabijania kojarzy się nam z obozami koncentracyjnymi, ale tam uśmiercali w ten sposób nie tylko lekarze, ale także przyuczeni więźniowie. Poza tym - aspirant powiódł wzrokiem po zebranych

niczym profesor wygłaszający wykład - nie jest prawdą, że Niemcy w obozach dopiero eksperymentowali z zastrzykami. Mieli tę metodę, zresztą czasochłonną i pracochłonną, już wcześniej dobrze opanowaną.

- Byłbym rad, aspirancie - Krygier chrząknął - gdybyśmy przeszli do rzeczy.

- Właśnie to robię. - Prałat położył dłonie na stole. - W obozach wstrzykiwano fenol, formalinę i właśnie benzynę. Zastrzyk powodował niemal natychmiastową utratę przytomności i zatrzymanie pracy serca. A teraz - popatrzył na Jowitę Rut - wracając do twojego pytania. Powierzchnia do wbicia igły jest dość duża, oczywiście zdarzało się, że igła minęła serce i wtedy trucizna trafiała do worka osierdziowego albo płuc i więzień trochę się męczył, zanim umarł. Pojawiały się silne bóle w klatce piersiowej, drgawki, niepokój psychoruchowy.

- Daruj sobie szczegóły - syknęła policjantka.

- Okej. Tak czy inaczej: zastrzyk zrobiony w serce technicznie nie jest trudny i sprawia, że śmierć przychodzi niemal od razu. Tak właśnie stało się w wypadku naszego nurka z Żerania. I podobnie, za pomocą zastrzyku, zabito bezdomnego na Siekierkach. Ale tu na szczegóły musimy jeszcze poczekać.

- Co wiemy o zamordowanych? - Krygier popatrzył na prelegenta.

- Niestety nic. - Prałat rozłożył ręce. - Właśnie to w tych sprawach, gdzie pojawiają się kloszardzi, jest najtrudniejsze. Teraz, gdy mamy dłonie, wprowadziliśmy wzory linii papilarnych do AFIS-u, ale wyszukiwanie musi potrwać. Identyfikacja na podstawie innych śladów, małżowin usznych i tak dalej, nic nie dała.

– Prowadzimy rozpoznanie, ale na razie bez efektu - powiedział Maciejewski. - Musimy uzbroić się w cierpliwość.

– Tyle że moi przełożeni nie chcą się w nią uzbroić! - Krygier podniósł głos. - Nasi przełożeni - poprawił się. - Prokurator, z którym się dzisiaj widziałem, zaczyna się niecierpliwić, bo ci, co są z kolei nad nim... Sami rozumiecie... Zwłaszcza że, o ile znam takie sprawy, a znam je dobrze, to z pewnością nie koniec występów tego pojeba! Prawda, Heinz?

Oczy wszystkich zwróciły się w jego stronę. Wejście smoka. Na to czekali. Ale rozczarują się. Praca w specjalnie powoływanych zespołach nauczyła go, by nie wychodzić przed szereg. Przynajmniej by nie robić tego od razu. Gra na obcym terenie, na wyjeździe, nierzadko w otoczeniu megalomanów i ludzi z trudem skrywających swoje ambicje, ma swoje reguły, których nauczył się przez lata.

– Czy przy bezdomnym z Żerania znaleziono jego rzeczy? Taszczył jakieś rupiecie?

Karloff i Maciejewski popatrzyli na siebie.

– A jakie to ma znaczenie? - zapytał pierwszy. - Nic przy nim nie było, żadnej makulatury, wózka, jeśli o to ci chodzi.

– Kloszard wracał do kanału z codziennym urobkiem. Ktoś widział, jak leży nieprzytomny, i przejął jego towar. Uznał, że to jeszcze jeden z tych, którzy zachlali i zasnęli. Tak czy inaczej, ktoś go widział. Może widział jeszcze coś?

– Przepyтуjemy nurków. Na razie bez efektu - powiedział Karloff ponuro. - Jakby nabrali wody w usta. Hektolitry wody...

– Jeśli pozwolisz - komisarz zwrócił się do Krygiera - porozmawiałbym z tą dziewczyną, o której wspominałeś przez telefon. Tej, która dostała osobliwą paczuszkę z odciętymi dłońmi.

- Nasi ludzie z nią rozmawiali - wtrącił Maciejewski. - Ona nie ma z tym nic wspólnego. To czysty przypadek.

- Może tak, może nie. - Heinz przeczesał włosy dłonią. - Mało komu zostawia się takie prezenty, nie uważacie? Poznałem kiedyś Eda Sulzbacha, fajnego koleś z FBI, który zawsze powtarzał, że tak naprawdę w życiu rzadko zdarzają się dziwne zbiegi okoliczności. Więc pogadam z tą dziewczyną.

- A przez ten czas Doktor Śmierć znowu kogoś zabije - mruknął Karloff.

- Doktor Śmierć? Jaki Doktor Śmierć? - ożywiła się Jowita Rut.

- Tak nazwaliśmy naszego przyjemniaczka. Dla ścisłości... - Karloff zawahał się - ja go tak nazwałem.

Rut patrzyła z niedowierzaniem na Karloffa.

- Jeśli dziennikarze się o tym dowiedzą, rozszarpią nas na strzępy. Czyś ty, człowieku, oszalał? Sprzedałeś już komuś swój genialny tekst?

Wszyscy zaczęli mówić podniesionymi głosami. Wszyscy z wyjątkiem Heinza nerwowo szukającego gumy Nicorette. Nagle Krygier uderzył pięścią w stół i wszyscy umilkli.

- W ten sposób niczego nie załatwimy - powiedział. - Heinz, jakieś pytania?

Same pytania.

- Skoro już jesteśmy przy dziennikarzach - zwrócił się w stronę Jowity. - Co wiedzą?

- Staraliśmy się trzymać ich z daleka od tej sprawy. O kloszardzie z Żerania nie mieli przecieku. O odciętych dłoniach oczywiście wiedzą, ta kretynka z Centralnego im powiedziała - skrzywiła się. -

O zabójstwie na Siekierkach też są poinformowani, ale nie znają szczegółów. Na razie nie łączą tych spraw ze sobą.

– A wyniki sekcji zwłok? - Spojrzał na Prałata. - Jest tam jeszcze coś ciekawego?

Prałat przekartkował raport.

– Obecność alkoholu w organizmie. Ale w tym wypadku to żadna rewelacja. Ciekawe jest to, że wykryto też obecność środków nasennych. Sprawca mógł mu czegoś dosypać.

Heinz zacisnął usta. Prałat pewnie miał rację. Morderca pomyślał o wszystkim. Zastrzyk. Odcięte dłonie. Środki nasenne. W sumie powinien się tego spodziewać. Dobrze to z pewnością nie wróży. Nie zamkną szybko tej sprawy. O ile w ogóle kiedykolwiek ją pomyślnie zakończą.

– Ostatnie pytanie - zwrócił się do Krygiera. - Przyszliście na to zebranie w mundurach. - Obrzucił spojrzeniem Jowitę i Prałata. - Czy taka panuje teraz moda?

Krygier uśmiechnął się. Tego dnia zdarzyło mu się to po raz pierwszy.

– Mieliśmy najpierw spotkanie w komendzie głównej. Sam rozumiesz...

Heinz odetchnął z ulgą i odpiął górny guzik koszuli.

Po południu załatwił wszystkie formalności związane z pobytem w Warszawie. Odebrał służbowego nissana, w którym coś podejrzanie klekotało, i pojechał na Pragę do policyjnego hotelu. Przydzielono mu ten sam pokój, w którym był ostatnio, gdy wezwano go w sprawie zabójstwa dwóch kleryków. Wtedy udało się

sprawę doprowadzić do końca. Może ten pokój to dobry znak? Może jednak i tym razem się uda?

Rzucił torbę i położył się na łóżku. Zamknął oczy. Przypomniał sobie rozmowę z Maciejewskim po zakończonym zebraniu.

– Dlaczego uśmiechnął się pan, komisarzu, gdy szef wspomniał o moim doświadczeniu operacyjnym?

Niski brunet o mocnej budowie ciała patrzył mu w oczy. Przez chwilę Heinzowi wydawało się, że w spojrzeniu Maciejewskiego dostrzegł wesoły błysk.

– Myślałem, że tego nie zauważyłeś.

– A jednak.

Imponujące. Doprawdy.

– Zastanawiałem się, czy dekuje się tak samo z robotą. Skoro potrafisz tak dobrze zakamuflować swoją obecność.

Maciejewski roześmiał się.

– I co pan o tym wszystkim sądzi?

– Że znajdziemy więcej odciętych rąk. A poza tym, że Krygier przedstawił cię z imienia i nazwiska, czego nie zrobił w wypadku twojego elokwentnego kolegi.

– Co z tego wynika?

– Że byłoby dobrze, gdybyś to ty, a nie prymus Prałat jutro poszedł ze mną na Centralny. Da się zrobić?

Nie wiedział, kiedy zasnął. Obudził go dźwięk komórki. Spojrzał na wyświetlacz. Była szósta. Ktoś dzwonił z prywatnego numeru. Scenariusz taki sam jak zwykle. Głos Heinza i milczenie po drugiej stronie. Ciekawe, kto nęka go głuchymi telefonami? Podniósł się ze złością. Łóżko zaskrzypiało. Niepotrzebnie spał po południu, wieczorem znów będzie musiał nałykać się prochów, by zasnąć.

Wyjrzał przez okno. Ludzie kryli się pod parasolami. Poczł ucisk w żołądku. Od rana przecież nic nie jadł. Postanowił ruszyć się mimo parszywej pogody. Mógł zejść na dół do baru, ale nie miał dziś ochoty na wysłuchiwanie policyjnych wspomnień kolegów z branży. Wcześniej odmówił Karloffowi, gdy ten zaproponował wieczorne spotkanie, na którym powspominaliby stare czasy. Chyba tak to ujął.

Założył bluzę z kapturem i na wierzch czarną kurtkę. Deszcz przestał padać. Doszedł do Targowej i skierował się przejściem podziemnym na drugą stronę ulicy. Usiądzie w którymś z pubów przy Ząbkowskiej, wcześniej zje jakiegoś kebaba albo zapiekankę.

Ściemniało się. Poczł drobne kropelki na twarzy. Pogoda w sam raz taka, by wkłuć się igłą w serce, a potem odciąć dłonie. Swoją drogą musi sprawdzić, jaka była pogoda, gdy tamten zabijał na Żeraniu i Siekierkach. Tamten? A może tamta. Na tym etapie niczego ani nikogo nie można wykluczyć. No właśnie. Wprawdzie nie wierzył w istnienie psychopatów meteoropatów, rozmaitych „deszczowych zabójców”, ale trzeba też i to będzie sprawdzić. Pracował w tym fachu zbyt długo i widział wiele spapranych dochodzeń, bo ktoś czegoś nie dopilnował albo przeoczył jakiś drobiazg. Sam przecież nie był święty. Dobrze pamiętał sprawę sprzed kilku lat, gdy w Katowicach zaginął dziewięcioletni chłopiec. Był Biały Tydzień, chłopak wracał po mszy do domu, tyle że nigdy nie dotarł na miejsce. Jego twarz śniła się Heinzowi miesiącami. Sen powtarzał się niczym powracające poczucie winy. Komisarz czuł, że coś wówczas przeoczył. Coś oczywistego. Coś, co było na wyciągnięcie ręki. „Jeśli nie chcesz zwariować w tej robocie - powiedział mu kiedyś Zenon Szwedo - musisz oswoić nocne

demony”. Najwyraźniej jego pierwszy szef też wiedział coś o mrocznej stronie życia i śmierci, coś, czego nawet pasja wędkarska nie była w stanie przytłumić. Lata całe Heinz topił demony w alkoholu, okadzał je dymem papierosów, czasami opowiadał o nich psychiatrze, niekiedy zdawało mu się, że pozbył się ich na dobre. Że zmylił trop i zgubił złośliwe duchy raz na zawsze. W gruncie rzeczy wiedział jednak, że to nieprawda i że koszmary powrócą. Bo one zawsze wracają.

Na środku chodnika jakiś staruszek zaszedł mu drogę. Resztki kebaba wypadły komisarzowi z ręki. Sos spłynął po kurtce. Spod parasola dobiegło przekleństwo. Nawet nie widział, kiedy doszedł do skrzyżowania Ząbkowskiej i Brzeskiej. Na jednym biegunie ulicy Carrefour, na drugim, bliżej Dworca Wschodniego, kilka odrapanych kamienic z nieodłącznymi talerzami satelitarnymi - znakiem, że osławiony trójkąt bermudzki nieuchronnie przegrywa z cywilizacją. Budka z wietnamskim żarciem, a zaraz obok oddział Deutsche Banku i kiosk. O dziwo, kiosk, a nie salon prasowy. Bo teraz są salony, saloniki i studia. Studia paznokci. Galerie smaku, nie zaś bary szybkiej obsługi. To już nie była jego Warszawa. Ta, którą pamiętał z lat studiów i późniejszych zawodowych wypadów. Wszystko się zmieniło.

Niespodziewanie dla samego siebie pomyślał o synu. Ciekawe, jak młodemu w Gdyni? Powinien wreszcie odezwać się do niego, pogadać z nim. Tyle że to będzie wyglądało, jakby przyznawał się do błędu, pokazywał, po czyjej stronie była racja podczas ich ostatniej kłótni. Zresztą... Nie miał już ochoty na przeciąganie tej liny. Postanowił, że wieczorem, z hotelowego pokoju, zadzwoni.

Bezładne skojarzenia piętrzyły mu się w głowie. Gdy przyjechał studiować do Warszawy, dostał energetycznego kopa. Zdawało mu się, że świat stoi otworem, a on jest młodym bogiem.

Teraz było inaczej. Założył kaptur i poczłapał z powrotem w kierunku Targowej na przystanek tramwajowy. „Trójką” dojechał do Wiatracznej. Wszedł do pierwszego napotkanego baru. „Kawiarnia Rambo”, przeczytał na szyldzie.

Rambo. Brzmi nieźle. W sam raz dla niego. Dla weteranów, którzy ponieśli klęskę na całej linii.

Usiadł przy niewielkim kwadratowym stoliku przy oknie i wypił kilka łyków tyskiego. Dopiero wtedy poczuł, że oderwane od siebie myśli przestały wirować. Wszystko wracało na swoje miejsce. Odetchnął głęboko. Gdy kończył piwo, poczuł, że ktoś trąca go w ramię. Zbliżają się kłopoty, pomyślał i odwrócił się.

Pochylał się nad nim mężczyzna w rozpiętej koszuli. Na żylastej szyi dyndał mu medalik z pierwszej komunii. W dłoni trzymał butelkę.

– To piwo od tamtego faceta w rogu - wskazał na uśmiechającego się mężczyznę. - Mówi, że zapuszkowałeś go na Śląsku na dziesięć lat. Masz dziesięć sekund, by wypić ten browar. A potem spierdalaj i tu nie wracaj!

Rambo. Ciekawe, jak zachowałyby się w tej sytuacji.

Heinz wstał i podszedł z butelką do narożnego stolika.

Mężczyzna wciąż się uśmiechał. Przymknął lewe oko. Heinz zamarł. Wydawało mu się, że na powiece oprych ma wytatuowane jego nazwisko. Poczuł, że mięśnie odruchowo się napinają. Nie. To nie było jego nazwisko. Tam było inne słowo. „Hell”.

Istne piekło. Krygier ma jednak rację. Świat jest pełen popieprzeńców. Tylko dlaczego wciąż napotykasz ich na swojej drodze?

– Wypij to sam, Jakubas. Nie wiem, czy nie nasikałeś do środka.

– Morda, psie! - wychrypiał mężczyzna.

Heinz czuł, że za moment nie będzie już szansy, by się wycofać. Ostatnie, na co miał ochotę, to zadyma z Jakubasem, który w ataku szału zadał dziewięćdziesiąt cztery ciosy nożem swojemu sąsiadowi i nie bez powodu został w Katowicach obdarzony ksywą Durszlak. Najwyraźniej lokal przy Wiatracznej upodobali sobie także i tacy weterani. Nie odwracając się, ruszył w stronę drzwi. Lepiej mieć Jakubasa cały czas przed sobą. Gdy wyszedł na Grochowską, poczuł, że twarz ma mokrą od potu.

Na dziś miał dosyć wrażeń. Dojechał do Bazaru Różyckiego. W Grosiku kupił trzy piwa i wrócił do hotelu.

Zbliżała się dziesiąta wieczorem, gdy podłączył zewnętrzny dysk do laptopa. Wcześniej wykonał trzy nieudane podejścia, by dodzwonić się do syna. Za każdym razem po pięciu sygnałach włączała się poczta głosowa. Kolejny młody bóg nabrał wiatru w żagle na Wybrzeżu i ani myślał odbierać.

Nie to nie.

Wybrał *Exile on Main Street* Rolling Stonesów, legendarną płytę zespołu z początku lat siedemdziesiątych. Zabrzmiał *Ventilator Blues*, arcydzieło stworzone przez zamroczonego narkotykami Keitha Richardsa. Gitara obsesyjnie powtarzała dwa akordy. Wtedy postanowił uporządkować myśli.

Dwa zabójstwa i zapowiedź ciągu dalszego. Zastrzyki. Odcięte dłonie podrzucone na dworcu. Pozostawił je dopiero po drugim

zabójstwie. Dlaczego? Bo po pierwszym nic się nie działo, nie nadano sprawie odpowiedniego rozgłosu. Nie przeczytał o sobie w gazetach, nie zobaczył poruszonych reporterów pokazujących miejsce zbrodni.

Otworzył piwo.

Naprawdę źle to wróży. To raczej nie jest przypadek mordercy celebryty, maniaka zabijającego dla sławy. Raczej nie o to chodzi. Sprawca po prostu chce, by jego dzieło nie przeszło bez echa. To jeszcze jeden z tych, którzy będą zabijać, dopóki nie zostaną schwytani. Zabijanie jest jego opowieścią. Niekończącą się historią. Nie mają co liczyć, że zabójca nasyci się swoimi zbrodniami, ulituje nad stróżami prawa i przestanie działać.

Sięgnął po kartkę oraz długopis i zaczął robić notatki. Mordercy mają swoje nawyki, on miał własne. Od lat przy każdej sprawie postępował tak samo. Kobuz sporządzał tabelki w Excelu, on reprezentował wymierającą starą szkołę.

Kilka hipotez można wykluczyć niemal od razu. Tych zbrodni nie popełnili neofaszyści, *modus operandi* nie pasował także do prostego mechanizmu zemsty i zbrodni w afekcie. Wprawdzie oba tropy będą badane, ale doświadczenie podpowiadało mu, że śledztwo powinno zmierzać w innym kierunku. To prawda, że skinheadzi co jakiś czas urządzali dla sportu polowania na bezdomnych z kanałów, ale z zasady używali pięści i kijów bejsbolowych. Odcinanie dłoni to nie ich specjalność. Z zabójstwem popełnionym w stanie silnego wzburzenia jest podobnie. Im więcej manewrowania przy ciele ofiary, tym większa pewność, że w zbrodniach nie ma nic osobistego. Na ogół tam, gdzie chodzi o prywatne pobudki, wystarczy sam akt zabójstwa. Sprawca się w nim wyładowuje,

wyczerpuje swoje zasoby agresji, frustracji i krzywdy. W przypadkach, które miał teraz przed sobą, było inaczej.

Nie powinien oczywiście wykluczyć, że nietypowa aranżacja została przygotowana przez mordercę, by odwrócić ich uwagę. Komisarz napisał na kartce słowo „zmyłka” i postawił przy nim znak zapytania.

Zabrzmiał klasyk Roberta Johnsona *Stop Breaking Down*, a potem znów utwory skomponowane przez samych Stonesów.

Zabójcą może być też fanatyk Trzeciej Rzeszy, który postanowił sprawdzić, jak to jest, gdy robi się komuś zastrzyk z benzyny. Paru takich się zawsze znajdzie. Trzeba sprawdzić i to.

Najpewniej jednak jest to jeden z tak zwanych artystów. Planuje zabójstwa, odtwarza je wielokrotnie w wyobraźni, zanim się dokonają, wybiera ofiarę. Naniósł na kartkę kolejne słowo. Ofiary. W jaki sposób je wybiera? Dlaczego kloszardzi? Dlaczego konkretnie ci, a nie inni? Jeden na Żeraniu, drugi - z przeciwnej strony miasta. Jakby dla podkreślenia, że nie ma między nimi żadnego związku. A jeśli jakiś jest? Czy coś mogło łączyć tych ludzi ze sobą?

Zapisał kolejne pytanie i podkreślił je podwójną kreską. Chciało mu się palić. Sięgnął po nicorette. Ostatnia w opakowaniu. Gównu daje żucie tych gum.

Coś nie dawało mu spokoju. Nie zgadzało się. Włożył do laptopa płytę ze zdjęciami z miejsc zdarzeń. Aspirant Prałat wykonał swoją robotę perfekcyjnie, przygotował materiały jak trzeba.

Perfekcja. O to właśnie chodzi.

Zabójca przygotował się starannie. Wybrał ofiarę i miejsce. Zabrał ze sobą strzykawkę i tasak albo jakiś podobny przedmiot. Na wszelki wypadek przygotował środki nasenne.

Jeśli chodzi o prochy, jestem specjalistą, sukinsynu. Mógłbym ci nawet dać kilka rad, pomyślał gorzko.

Więc najpewniej dosypałeś te prochy do jakiegoś płynu, wódki albo wina. Nie zadrżała ci ręka, gdy wbijałeś igłę w serce, a przecież nie każdy by się na to zdobył. Trzeba zimnej krwi, by zadać śmierć w taki sposób, gdy ma się bezpośredni kontakt z ofiarą. Gdy czuje się ciężar ludzkiego ciała w agonii we własnych dłoniach.

Zabójstw dokonano w odstępie trzech dni. Sprawca działał szybko. Zwykle okres wyciszenia jest znacznie dłuższy. Jeśli Doktor Śmierć szukał na swój temat wzmianek w gazetach, to po drugim ataku powinien poczuć się dowartościowany. Heinz z uznaniem pomyślał o Jowicie Rut, która dozowała informacje przekazywane dziennikarzom. O ile w czasach wszędobylskich mediów da się jeszcze kontrolować wyciek wiadomości. Morderca robi sobie teraz przerwę. Poczeka, co o nim napiszą. Da im czas, którego zawsze brakuje, i stworzy szansę. Tylko czy potrafią z niej skorzystać?

Patrzył na zdjęcia przedstawiające zmasakrowane twarze. Zabójca zrobił z nimi coś takiego, jakby chciał pozbawić je ludzkich cech, odczłowieczyć, zamieniając oblicza kloszardów w magmę ludzkich tkanek i kości.

A może, przygryzł końcówkę długopisu, on zwyczajnie przestał panować nad sobą. Zmasakrowane twarze nie były częścią planu. Po prostu coś wyprowadziło go z równowagi, sprawiło, że w tym wypadku emocje wzięły górę nad zimną kalkulacją.

Coś wprowadziło cię w szal. I na Żeraniu, i na Siekierkach. Ale co? Co sprawia, że nagle przestajesz panować nad sobą? Myśli kłębiły się w głowie.

Wybierasz ofiarę, kontrolujesz sytuację do momentu, w którym coś wytrąca cię z równowagi. Co konkretnie tak na ciebie działa? Smród wydzielany przez nurków? Brudne szmaty? Oddech przeżarty alkoholem? Coś uruchamia twoje wspomnienia i nie potrafisz się już zatrzymać. A później wybuch agresji się kończy i znów działasz precyzyjnie.

Dlaczego Doktor Śmierć przeistacza się w dziką bestię?

Obejrzał pozostałe zdjęcia i włączył raz jeszcze tę samą płytę. Błądzą po omacku, tak jak Stonesi w 1972 roku. Tylko ja to robię z dużo gorszym efektem.

Napisał na kartce: „planowanie - agresja”. Podkreślił oba słowa.

Instynktownie czuł, że tej nocy znów powróci koszmar sen. Zasnął, gdy *Ventilator Blues* rozbrzmiewał po raz trzeci.

Śniło mu się, że dostał bilet na koncert Rolling Stonesów. Zabłądził, zoczył z drogi i zatrzymał się przed domem z czerwonej cegły. Wydawało mu się, że jest w Katowicach, na Nikiszowcu. W holu ujrzał człowieka przywiązanego do krzesła. Jakaś postać krążyła wokół więźnia. W dłoni trzymała kanister z benzyną.

– Urbaniak?! - krzyknął Heinz.

Człowiek z kanistrem nie zareagował. Wyciągnął z pudełka zapałkę i potarł ją o draszkę. Heinz usłyszał suchy trzask. Zapałka pękła na pół. Widział tę dłoń jak na filmowym zbliżeniu.

– Inkwizytor! - ryknął komisarz.

Mężczyzna wyjął drugą zapałkę i podpalił benzynę. Krąg ognia otoczył związaną ofiarę. Oprawca roześmiał się i odwrócił w stronę policjanta.

To nie był Urbaniak. Był od niego znacznie młodszy. Płomienie rozświetlały twarz mordercy. Heinz ujrzał swojego syna. Jego

śmiech mieszał się ze skowytem więźnia skwierczącego na krześle.

Heinz obudził się z krzykiem. Spojrzał na zegarek. Była trzecia nad ranem. Krople deszczu uderzały miarowo o rynnę.

Nie pierwszy raz koszmar zerwał go na równe nogi. Tym razem nie chodziło jednak o twarz syna wykrzywioną w strasznym grymasie. Chodziło o coś innego. Dłoń trzymająca zapalniczkę. Ręka.

Odpalił laptopa i raz jeszcze włożył płytę ze zdjęciami. Szybko przewinął kilkanaście pierwszych zdjęć. Wpatrywał się w dwie kolejno następujące po sobie fotografie. Na pierwszej dłonie - jedna olbrzymich rozmiarów, druga trochę mniejsza - ułożone obok siebie leżały w pudełku. Na kolejnym zdjęciu ułożono je na stole sekcyjnym.

Jak mógł tego wcześniej nie zauważyć?

Powiększył zdjęcia. Odcięte dłonie kloszardów pokrywały blizny, jednak obie były czyste i miały krótko obcięte paznokcie. Morderca umył je starannie i przygotował do wysyłki. Komisarz wyobraził sobie dwie ręce spoczywające w umywalce i zabójcę, który oczyszcza je z zegarmistrzowską skrupulatnością.

Ciało komisarza przeszył dreszcz. Nie był pewien, czy zareagował tak pod wpływem emocji, czy zimna, które nagle zaczęło mu dokuczać. Dotknął kaloryferów. Były lodowate. Ciekawe, pomyślał, czy awaria, czy też w hotelu oszczędzają. Zbliża się zima. Znienawidzona pora roku. Odruchowo spojrzął na swoje ręce. Powoli zginał palce, jakby szukał zwiastunów bólu. Choroba, na którą cierpiał, z pewnością powróci wraz z zimnem i stresem. Lekarz w Instytucie Reumatologii nie robił mu złudzeń. Z zespołem Raynauda będzie musiał żyć przez kolejne lata. Z przerażeniem

pomyślał o chwili, gdy bezwładne palce nie będą w stanie docisnąć strun do gryfu gitary.

Heinz sięgnął po bluzę z kapturem i zarzucił ją na plecy. Usiadł na łóżku i oparł się plecami o ścianę. Wiedział, że nie zaśnie.

Byle dotrzeć do świtu. Potem jest łatwiej.

13

Andrzej Kolba wysiadł z pociągu i spojrzął na zegarek. Był spóźniony dziesięć minut. Mało co tak wyprowadzało go z równowagi jak niepunktualność własna i innych. Tym razem był jednak spokojny. Wiedział, że kobieta, z którą się umówił, będzie na niego czekać.

W pierwszej chwili nie chciała z nim rozmawiać, ale przecież on miał swoje sposoby. Najbardziej skuteczny polegał na rozniecaniu nadziei. Mógłby porównać tę strategię do wzniesienia pożaru. Najpierw iskra, później niewielki płomień, a na końcu... Uda się to załatwić, proszę być dobrej myśli, poruszymy niebo i ziemię, to zdumiewające, że do tej pory nikt się nie zainteresował, niech się pani nie martwi. Legitymacja dziennikarza telewizji lokalnej otwierała przed nim niejedne drzwi.

Z wdową po policjancie było podobnie jak z innymi. Nikt nie lubi rozmawiać o śmierci, zwłaszcza gdy ta dotyczy najbliższej osoby, która odebrała sobie życie. Najpierw więc twarda nieufność, a potem nadzieja tłąca się w głosie.

– Bo może jednak uda się, proszę pani, wywalczyć odszkodowanie. Chcemy - przekonywał Kolba - powrócić do tej sprawy, ktoś powinien naprawić krzywdy, należy się pani zadośćuczynienie. To jeszcze jeden przykład, jak państwo traktuje swoich najlepszych funkcjonariuszy.

Skierował się w stronę bloków przy szybie Krystyna. Kobieta po śmierci męża sprzedała mieszkanie w Katowicach, kupiła mniejsze i znacznie tańsze w Szombierkach. Za trzy minuty powinien być na miejscu. Na szczęście Szombry mają to do siebie, że wszędzie jest tu blisko. I na dworzec, i do centrum Bytomia. Może też, pomyślał dziennikarz, powinien coś tu kupić, póki ludzie za bezcen wyzbywają się mieszkań. A za kilka lat sprzedać ze sporym zyskiem.

Odnalazł właściwą klatkę schodową i numer mieszkania. Przy dzwonku wisiała kartka: „Proszę pukać, dzwonek nie działa”. Najwyraźniej nie miał kto go naprawić.

Justyna Pełka była kobietą drobnej budowy ze śladami siwizny przezierającymi spomiędzy niestarannie ufarbowanych na czarno włosów. Gdy stawiała przed Kolbą herbatę, dziennikarz zauważył, że drżą jej ręce.

– Aby zająć się tą sprawą, muszę mieć więcej informacji - powiedział. - Dowiedzieć się kilku szczegółów o przebiegu kariery pani męża. O ile wiem - zajrzał do notatek - pan Łukasz zaczynał w drogówce.

– Tak. Pracował tam od 1989 roku. - Kobieta upiła łyk herbaty, przytrzymując filiżankę obiema dłońmi. - Do kryminalnych przeszedł dwa lata później.

– Nie podobało mu się machanie lizakiem i ściganie pijanych kierowców? - Kolba uśmiechnął się.

– Nie, to nie tak. Lubił tę pracę, aż nagle coś w nim pękło. To stało się latem 1991 roku - ściszyła głos. - Łukasz jakby... jakby się załamał. Stał się małomówny, zamknięty. Tak jakby coś ukrywał. Myślałam nawet, że... Rozumie pan?

Dziennikarz pokiwał głową.

– Ale to nie chodziło o kobietę. Wiedziałabym to. Już wtedy - podniosła oczy - uważałam, że powinien zmienić pracę, że ta policja to nie dla niego.

– I nie wie pani, dlaczego tak się wtedy zmienił?

– Nigdy mi nie powiedział. Pił wtedy sporo, chociaż nigdy wcześniej nie był dobrym kompanem do kieliszka, inaczej niż jego koledzy. To naprawdę był dobry chłopak - westchnęła.

– Co było dalej?

– Odżył, gdy przeszedł do pionu kryminalnego. Prostyucja, nieletni uciekinierzy... Obyczajówka to była jego specjalność. Tak naprawdę powinien być nauczycielem, ale nie chciało mu się skończyć studiów. Zaczął nawet chodzić do kościoła...

– To chyba nieczęste wśród policjantów. - Kolba dyskretnie rozglądał się po pokoju, ale nigdzie wśród tandetnych pejzaży z zachodami słońca nie dostrzegł krzyża.

– Może i nieczęste - kobieta nerwowo skubnęła rękaw fioletowego swetra - ale on tak miał. Cieszyłam się z tego nawet. Nagle... to był 2002... chyba 2002... przestał chodzić na msze i znowu zaczął zaglądać do kieliszka. Coś się z nim porobiło. - Ponownie zacisnęła dłoń na rękawie. - A potem, rok przed śmiercią, znów zaczął opowiadać, że wiara w niego wróciła. Że na nowo odnalazł Boga.

– Proszę pani, jak to - Kolba zaakcentował słowo - się stało? Przepraszam, muszę zapytać. Śmierć pani męża jest bardzo ważna.

Nie odpowiedziała od razu. Wyszła na balkon i zapaliła papierosa. Zaciągnęła się kilka razy, strzepnęła popiół do pustej doniczki i wróciła do pokoju.

– Byłam na drugiej zmianie w szpitalu. Łukasz nie odbierał telefonu. Często to się zdarzało, ale tym razem miałam złe przeczucia. Człowiek czuje, gdy dzieje się coś złego. Gdy wróciłam, zobaczyłam go w fotelu... W pierwszej chwili myślałam - zadrżały jej usta - że śpi. Czasem tak zasypiał. Ciągle to widzę - uniosła palce do skroni - jakby zdarzyło się wczoraj...

Rozmawiali jeszcze pół godziny, ale myślami Kolba był już gdzie indziej. Spojrzał na zegarek i uniósł się z kanapy.

– Proszę być dobrej myśli. Poruszymy niebo i ziemię, by dostała pani to odszkodowanie. Nie mam wątpliwości, że stres i wypalenie zawodowe doprowadziło do tego nieszczęścia. Trzeba naprawdę być pozbawionym uczuć, by nic w tej sprawie nie zrobić. Mówię o jego przełożonych. Dzwonili chociaż?

– Jeden jedyny raz. Nie miałam siły rozmawiać.

Uścisnął kobiecie rękę.

– Poza tym, mam tu w okolicy znajomego elektryka. Naprawi pani dzwonek.

Justyna Pełka uśmiechnęła się.

– Aha, bym zapomniał - dziennikarz odwrócił się w drzwiach - czy pani mąż wspominał kiedyś o Rudolfie Heinzu? To taki policjant z Katowic. Komisarz...

Kobieta zacisnęła usta.

– Nie... nie przypominam sobie takiego nazwiska, chociaż... - w jej głosie dało się wyczuć wahanie. - Może kiedyś coś bełkotał takiego, gdy się napił, ale... Nie, naprawdę nie pamiętam.

– Gdyby coś się pani przypomniało, proszę o telefon. Zresztą i tak będziemy w kontakcie. Gdyby ten komisarz Heinz też się pani jakoś skojarzył...

W pociągu wyjął kartkę. Starszy aspirant Łukasz Pełka miał skomplikowane życie. Na koniec strzelił sobie w głowę ze służbowej broni. Wdowa myliła się. Jej mąż bardziej powinien być księdzem niż nauczycielem. Może nawet byłby w tej samej parafii z Urbaniakiem? Zapisał dwie daty. 1991 i 2002. Ponad dziesięć lat. Co łączy je ze sobą? Dopisał kolejne cyfry. 2006. Wtedy Pełka skończył ze sobą. Oczywiście żadnego odszkodowania nie będzie, ale telewizja to potęga. A nadzieja umiera ostatnia.

Pociąg zahamował gwałtownie. Siła szarpnięcia niemal rzuciła Kolbę na siedzącą naprzeciwko dziewczynę. Uśmiechnął się i wymamrotał przeprosiny. Wiedział, co musi zrobić. Rano odbierze samochód z warsztatu. Jego passat zaczął się sypać, ale to nic, niedługo kupi sobie porządną brykę. A potem sprawdzi kilka hipotez. Popatrzył na zapisane daty. Nie powinno być to trudne.

Czuł, że jest blisko. Andrzej Kolba zacisnął pięść, jakby wygrażał nią całemu nieprzychylnemu światu.

14

A jednak piętnastego wyrwał się do Katowic. Śledztwo toczyło się ślamazarnie, brakowało punktów zaczepienia, które mogłyby pchnąć sprawę do przodu. Wprawdzie dostrzegł, że morderca umył odcięte dłonie, ale niewiele to zmieniło. Nie rozumiał, jakie znaczenie zabójca nadał temu gestowi. Nikt w zespole nie podsunął przekonującego pomysłu. Heinz mógł powiedzieć tylko tyle, że Doktor Śmierć działa w sposób bardziej zorganizowany, niż się zdawało. Nie tylko wybiera ofiarę, sposobność i miejsce, nie kończy, gdy ofiara umiera, ale ma plan, co później zrobić z odciętymi częściami ciała.

Jakie masz zamiary? Jak mam je przejrzeć?

- Chcesz jechać do Katowic, to weź dzień urlopu - usłyszał od Krygiera. - Nie dam ci delegacji, bo mnie rozszarpią. Już teraz każdą oglądają tak, jakbym był oszustem, i kręcą nosem. I pozdrów moją starą - roześmiał się w słuchawkę.

Krygier przeniósł się do Warszawy sam. Stanowisko w komendzie głównej było zwieńczeniem jego policyjnej kariery. Żona stanowczo odmówiła wyjazdu.

- Do Warszawy to mogą jeździć górnicy na demonstracje. Ja nie mam tam nic do załatwienia - powiedziała twardo.

I postawiła na swoim. Jak zwykle. Zatem to Krygier, gdy tylko mógł, gnał do Katowic, gdzie czekała na niego ulubiona rolada po sztygarsku.

Heinz wyjechał pociągiem wcześniej rano. Zajrzał do mieszkania, wsiadł w samochód i pojechał w stronę Bogusławic. Po drodze kupił świeże kwiaty i znicz. Ostatni punkt prywatnego rytuału dokonywał się w drodze powrotnej. Jak zwykle włączył trzeci album Zeppelinów. Niespodziewanie, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów, kompakt zaczął się zacinać. Ze złością wyłączył muzykę. Będzie musiał kupić nową płytę.

Prywatny rytuał został zakłócony. W pewnej chwili pomyślał o odciętych, umytych dłoniach. O co w tym wszystkim chodzi? Kiedy u ciebie coś potoczy się nie tak? Gdy przyjeżdżał w to miejsce oznaczone czarnym punktem przy drodze, starał się zapomnieć o prowadzonych sprawach, odcinał się od nich tak, jakby terażniejszość nie istniała. Tym razem było inaczej. Stopniowo zaczął zjeżdżać na lewy pas. Gdy zobaczył migające światła samochodu z naprzeciwka i usłyszał rozzwierający dźwięk klaksonu, gwałtownie odbił kierownicą w prawo.

Zanshin, Heinz. Musisz być bardziej uważny. Kastoriadis zawsze ci to powtarza. I wówczas, gdy walczysz, i wtedy, gdy wkładasz widelec do ust. By nikt nie przebił ci nim podniebienia.

Przyjechał tu, jak zwykle, piętnastego, ale tym razem, może po raz pierwszy, nie był pewien swoich intencji. Może dlatego omal tej wyprawy nie zakończył zderzeniem czołowym.

Czy na pewno pojawiłby się dzisiaj przy przydrożnym, własnoręcznie postawionym krzyżu, gdyby nie wczorajszy telefon?

Zadzwoił Adam Marciniak, drugi gitarzysta w zespole.

– Nie robię sobie wielkich nadziei - zaczął - bo wiemy, że jesteś w Warszawie. Jutro gramy seta w Garażu. Zupełnie niespodziewanie. Oczywiście możemy we trzech...

Nagle zapragnął oderwać się od śledztwa. Na kilka godzin zapomnieć o kloszardach i zastrzyku z benzyny.

– Pytasz o której? Dwudziesta. Ale musimy być wcześniej. Będziesz? - zapytał Marciniak z nadzieją w głosie. - Jak przyjedziesz, rzucimy ci się na mercedesa 300. Adenauera.

Old Timers Garage znany był nie tylko z soczystego grania, ale także zabytkowych samochodów, które nadawały klubowi staroświecki klimat. Oldskulu nigdy za wiele. Jednym z modeli było ulubione auto niemieckiego polityka.

– A dorzucicie gratis urnę z prochami Kanclerza?

Marciniak zarechotał.

– Trupów to masz chyba na co dzień pod dostatkiem.

Dwa pierwsze utwory były katastrofą. Nic nie brzmiało jak trzeba, bas i perkusja rozjeżdżały się niebezpiecznie, Heinz kilka razy powędrował poza tonację. Zaczął żałować, że zgodził się zagrać i przyjechał. Zlepione od potu włosy Marciniaka zasłaniały mu twarz,

ale i tak kilka razy podchwycił pełne przerażenia spojrzenie gitarzysty. No tak. I śmieszno, i straszno.

– Do domu! - krzyknął ktoś z publiczności, gdy skończyli drugi ze standardów.

Przy *Love Me Two Times* Doorsów coś wreszcie zaskoczyło. Gdy zagrali *When the Music's Over*, sekcja funkcjonowała już jak sprawna maszyna. Pot spływał po skroniach Heinza, gdy bas grał hipnotyczny pochód, a on kończył gitarową solówkę długim pasażem. Następnym razem nie będzie pisał się na takie granie. Najpierw próby, potem koncert. Nie jest ani McLaughlinem, ani Santaną.

Gdy skończyli i usiedli przy piwie, kilka osób poklepało go po plecach. Było to nawet przyjemne.

Bóg zapłać dobrzy, przygłusi ludzie.

Pod „kukurydzą” dotarł przed jedenastą.

Mimo późnej pory pod blokiem kłębili się ludzie. Ktoś skoczył z okna, to była pierwsza myśl, która przeszła mu przez głowę.

Przecisnął się przez tłumek i ujrzał sąsiada z dołu, Karolaka. Emeryt stał w rozpiętej flanelowej koszuli w kratę. Dwie kobiety kurczowo trzymały go za ręce. Jedna z nich, ta, która płakała, była żoną sąsiada.

– Zabiję tego łysego skurwysyna! Zabiję gnoja! - ryknął Karolak.

– Co mu się stało? - Heinz odwrócił się do stojącej obok kobiety.

– To pan nie wie? - zdziwiła się. - Przegraliśmy w piłkę ze Słowacją i nie wytrzymał. Jakby szaleju się najadł. Wyrzucił telewizor przez okno.

Dopiero teraz dostrzegł szczątki roztrzaskanej obudowy i kineskopu rozprysnięte na asfalcie.

Jaka reprezentacja, taki telewizor.

– Będzie mi płacił odszkodowanie! - wydierał się Karolak. - I za mojego samsunga, i za straty moralne! I za leki nasercowe!

Żona szeptała coś staruszkowi do ucha.

Dźwięk policyjnej syreny stawał się coraz wyraźniejszy.

Dwie godziny później, gdy zasypiał, rozległ się kobiecy krzyk u sąsiadów na górze. Nasłuchiwał, ale nic się nie działo. Zaległa cisza. Musiało mu się zdawać.

15

W ciągu ostatnich kilkadziesiąt godzin jej życie nabrało gwałtownego przyspieszenia. Przy sklepie z odżywkami dwa razy pojawiła się telewizja, udzieliła wywiadów trojgu dziennikarzy z gazet. Niestety, nie spytała z jakich. Udzieliła wywiadu. Wy-wia-du. Boże, jak to brzmiało, w salonie fryzjerskim na dworcu, w tym samym ciągu, w którym stał jej sklep, jeszcze bardziej rozjaśniła włosy, a później odwiedziła znajomą manicurzystkę. Sąsiadka po raz pierwszy od wielu lat powiedziała jej „dzień dobry”, nawet Karol, właściciel stoiska z odżywkami i suplementami, zaczął żartować, że jego buda stała się modnym punktem w mieście. Wypadało tu być. Jeszcze chwila, mówił, a pojawimy się w dodatku „Co Jest Grane” i pismach lajfstajlowych.

Mimo jesiennych chłódów, chodziła w bluzeczkach z krótkim rękawkiem i odważnym dekoltem. Może, popatrzyła na plakat z Connie Garner, zła passa się wreszcie skończy. Może ktoś, jakiś specjalista od reklamy albo producent telewizyjny, nareszcie ją dostrzeże. W końcu wiele dziewczyn tak zaczynało. Nagły błysk, przypadek, chemia, a potem... A potem zobaczyła tych dwóch mężczyzn i marzenia prysły w mgnieniu oka.

Ten starszy, siwiejący, z niechlujnym zarostem, ubrany był w spraną bluzę nieokreślonego koloru. Krępy niski brunet miał na sobie czarną skórzaną kurtkę. To nie byli faceci z jej bajki. Jakby na potwierdzenie brunet wyjął z kieszeni policyjną blachę.

– Jezu, już wasi tu byli - mruknęła. - Straszycie mi klientów.

– Byli. Ale nie tacy przystojni jak my. I z pewnością nie było wśród nich hipisa. - Maciejewski spojrzał na Heinza.

Hipis. Komisarz wrócił z Katowic lekko zużyty. Na przedpołudniowym zebraniu, gdy kolejny raz opowiedział o umytych dłoniach, Krygier zwrócił się do niego w ten sposób. Przyzwyczajenia trudno kontrolować. Mówił tak w Katowicach, a teraz dał przyzwolenie, by i tu zwracali się do niego w taki sposób.

– Czy wpuści nas pani do środka? - zapytał Heinz lekko zachrypniętym głosem. - Czy będziemy tu rozmawiać o odciętych dłoniach? Opowieści z dreszczykiem - dodał z ironią - to coś w sam raz dla dresiarzy, którzy wpadają do pani na herbatkę.

Dziewczyna westchnęła i otworzyła drzwi. Kolejny raz opowiedziała o paczuszcze z dłońmi. Z przykrością zauważyła, że Maciejewski częściej patrzy na plakat z gwiazdą fitnessu niż na nią.

– Rozumiem, że go pani nie widziała - drażył brunet. - Ale może w jego głosie było coś charakterystycznego, nietypowego...

– Miał taki zachrypnięty, nieprzyjemny głos. Zupełnie jak pański kolega. - Popatrzyła na Heinza. - A tak przy okazji, wiecie już, co to za dłonie?

Twojej matki. I ojca też.

– Jakiś głupi żart - powiedział Heinz. - Pracujemy nad tym.

Akurat żart. Dziennikarze mówili coś innego, pomyślała. Kretynki to obok. W budzie z zapiekankami.

– Może pani chłopak miałby jakieś skojarzenia związane z tą dziwną przesyłką?

– To już nie jest mój chłopak - powiedziała zdecydowanym głosem.

– A co, wystrzelił się w kosmos? - zaciekał się Maciejewski.

Wzruszyła ramionami.

– Po prostu wystawiłam mu negatywa. Poza tym, on i skojarzenia - prychnęła. - Macie poczucie humoru!

– Proszę pani - ściszył głos Heinz. - Ktoś podrzucił tu ludzkie dłonie. Tu - wskazał palcem na pomieszczenie. - Nie u kwiaciarki naprzeciwko i nie w księgarni. Tu - powtórzył. - Ja po prostu nie wierzę w przypadki. Wie pani, po sterydach ludziom czasami miesza się w głowie, koks tak działa. Nikt taki się pani nie kojarzy?

Zmarszczyła czarne brwi. Nie kojarzył się.

– Poproszę jeszcze o imię i nazwisko. - Heinz przybrał oficjalny ton i sięgnął po notatnik.

– Joanna Lorek. Przecież wiecie, jak się nazywam. Znajomi mówią do mnie Jo Lo, nieźle, nie?

Usłyszeli perlisty śmiech.

– Jo Lo? - zdziwił się komisarz.

– Jak Jennifer Lopez. Widać, że pan niedzisiejszy!

Heinz poczuł, że czerwienieje na twarzy. Dziewczyna o perlistym śmiechu. Na głowie platyna, a w środku czarna dziura.

– Może ma pani rację. Tak czy inaczej, proszę pomyśleć o nakoksowanych chłopakach. A to, jeśli coś się pani przypomni. - Sięgnął po wizytówkę.

– Dajcie jej spokój. Ona przecież nic nie wie. - W drzwiach stanął zwalisty pięćdziesięcioletni blondyn z wydatnymi zakolami.

-A ty kto jesteś? - Maciejewski podniósł głowę. - Do Wu?

-Kto?

- Nieważne. To twoja buda, prawda? - Nie czekał, aż tamten potwierdzi. - Ciekawe - rzucił wymowne spojrzenie na półki - czy masz tu przeżeniony towar z Chin? Wiesz, sterydy z dodatkiem mąki i takie tam... Uważaj na siebie, szefie. Naprawdę uważaj.

Mężczyzna otworzył usta, ale Maciejewski nie miał ochoty go słuchać. Podniósł rękę w geście pożegnania i otworzył drzwi.

Szli w kierunku Pałacu Kultury. Galeria Północna, Galeria Południowa. Podziemia Dworca Centralnego stały się miastem w mieście, miały swoją logikę, topografię, mieszkańców. W ciągnących się kilometrami kanałach ciepłowniczych było podobnie. Być może, aby znaleźć mordercę, trzeba będzie poznać tamten świat i panujące w nim reguły. Minęli graffiti z przekreślonym emblematem Polonii Warszawa i podpisem „Śmierć Czarnym Pedałom!”.

- Skoro już tu jesteśmy, zrobmy jeszcze jedno - powiedział Maciejewski. - Przejdźmy się obok Dworca Śródmieście. Kiedyś, jak pamiętasz, stały tam szczęki, dziś to zagłębienie żuli. Nawet przy tak kiepskiej pogodzie znajdzie się ich kilku.

Szczęki. Heinz do dziś był w stanie wskazać, gdzie stały jego ulubione budki z pirackimi kasetami z rockową klasyką.

Maciejewski przystąpił do przepytывania kloszardów. Komisarz stał dyskretnie z tyłu. Zdjęcia martwych mężczyzn nie robiły na nikim wrażenia. Niektórzy wpatrywali się w fotografie niewidzącym wzrokiem i bełkotali coś, inni układali je w dłoni, jakby szukali odpowiedniej perspektywy.

Jak w czeskim filmie: nikt nic nie wiedział. Rano dowiedzieli się, że analiza odcisków palców z odciętych dłoni dała wynik

negatywny. Nie było takich w policyjnej bazie danych. Zbliżyli się do ostatniego żula. Na ławce obok brodacza w czapce Che Guevary siedziała małpka. Mężczyzna w dłoni trzymał karton z napisem: „Zbieram na karmę i banany”.

– Jak tam, Oleś? Widziałeś ich kiedyś? - Maciejewski pokazał zdjęcia.

Z ust mężczyzny wydobył się jakiś szmer. Heinzowi wydawało się, że słyszy powracające w dziwnych ciągach głoski „k”, „g”, „h”. Jak pokaleczony język duński. Facet miał uszkodzoną krtań. Kiedyś komisarz widział coś podobnego w filmie o Wieniedikcie Jerofiejewie, autorze *Moskwy-Pietuszki*, ulubionej książki Heinza z czasów alkoholowego sturm und drangu. Umierający pisarz mówił podobnie, przykładając do gardła specjalny aparat. Oleś takiego urządzenia nie miał.

– No dobra - przerwał Maciejewski, który najwyraźniej rozumiał narzecze, w jakim porozumiewał się żul. - Które z was je karmę, a które banany? - Zaśmiał się i wskazał na małpkę.

Oleś gwałtownie zamachał rękami i coś odpowiedział. Domyśl się, człowieku, co.

– Sam się pałuj! - warknął aspirant.

Aha, wszystko jasne.

Poszli na Dworzec Średnicowy do baru wietnamskiego Adam. Heinz zamówił kurczaka po chińsku, Maciejewski wziął wołowinę z grzybami mun.

– Wie pan... wiesz - poprawił się aspirant. - Myślę o twojej hipotezie z naszprycowanymi osiłkami. Pomyślałem jeszcze o jednym. Gangsterskie ostrzeżenie, rozumiesz? Odcięte dłonie, uszy, genitalia...

Dobry strzał. Nie wpadł na to. Siłownia, sterydy i chłopaki z miasta. Trzeba przyjrzeć się bliżej temu blondynowi z potężnym karkiem i nie mniejszymi zakolami, właścicielowi kramu na Centralnym. Spojrzał na Maciejewskiego z uznaniem i pokiwał głową.

Kurczak zniknął z jego talerza w zastraszającym tempie. Najwyraźniej zaczął zajadać stres. Tempo sprintera. Zaraz przekroczy dziewięćdziesiąt kilogramów i nawet Kastoriadis ze swoimi morderczymi treningami nic nie poradzi. Poza tym zaczął jeść łąpczywie.

Wyluzuj, Heinz, zwolnij. Zaczął rozglądać się po barze. Adam, sajgonki, kuliste abażury z Ikei i plakat „Zakochaj się w Warszawie”. Zwariować można.

– A ty w ogóle lubisz chińskie żarcie? - zapytał Maciejewski.

– Uhm. - Heinz przełknął kolejny kęs. - Za Rondem Wiatraczna jest takie fajne miejsce. Nazywa się Hao-hao.

– Hao, hao! Tam na pewno przerabiają psy na kurczaki w pięciu smakach.

Komisarz skrzywił się i popatrzył na pusty talerz. Nagle coś mu się przypomniało.

– Słuchaj, dlaczego nazwałeś tego gościa na Centralnym Do Wu czy jakoś tak podobnie?

Kawałek wołowiny osiadł w kąciku ust Maciejewskiego.

– Ona Jo Lo, a on Do Wu. Dobry Wujek. Do Wu... - zamyślił się. - Też orientalnie brzmi, nie?

O siódmej wieczorem zapukał do mieszkania przy ulicy Białobrzeskiej. Gdy Karloff zaprosił go do siebie, komisarz zawahał

się. W pierwszym odruchu chciał odmówić. Po chwili namysłu uznał jednak, że powinni się spotkać. Ostatecznie to ten policjant o twarzy monstrum kierował grupą śledczą. Nie mógł tego faktu lekceważyć. Wprawdzie Heinz należał do zespołu na szczególnych prawach, ale nie chciał się na nie powoływać. Przynajmniej nie za często. Żaden policjant tego nie lubi, a Karloff na pewno nie należał do wyjątków. Poza tym jego pomoc może być jeszcze nieraz potrzebna.

– Miałem inne wyobrażenia o śląskiej biesiadności - westchnął Karloff, gdy komisarz wręczył mu zgrzewkę piwa.

– I tu się mylisz. Wprawdzie to tylko cztery piwa, ale wszystkie są dla ciebie. Ja poproszę herbatę z dzikiej róży.

Karloff znieruchomiał.

– Żartowałem. - Heinz roześmiał się.

Szczęk dwóch otwieranych puszek rozległ się niemal w tym samym momencie. Jakby się umówili. Usiedli w kuchni. Piekarnik pokryty był żółtymi skrzepami tłuszczu. Zupełnie jak u mnie, pomyślał komisarz. Jak u wielu policjantów żyjących bez kobiety. Na półce, tam gdzie inni trzymają książki kucharskie, stało kilka albumów na temat broni palnej. Na ścianie wisiał dyplom - pamiątka ze zlotu miłośników militariów w Bornem Sulnowie. Można by pomyśleć, że gospodarz dodaje proch strzelniczy do rosółu.

– Słyszałem, że trudne życie masz tam w Katowicach. - Karloff nadgarstkiem wytarł usta. - Nowy naczelnik i tak dalej... Mam kilku kolegów na Śląsku - dodał szybko, jakby chciał się usprawiedliwić. - Gdy okazało się, że znów mamy pracować razem, zasięgnąłem języka.

- Wieści szybko się rozchodzą - odpowiedział Heinz. - Nie jest lekko. Co jeszcze słyszałeś?

Sięgnął po gumę Nicorette. Z malutkiego radia dobiegała lista przebojów. Rihanna albo jakoś podobnie. Zresztą i tak wszystko jedno, nie jego klimaty.

- Pamiętasz tego księdza z seminarium?

Zaczyna się. Pamiętał aż za dobrze. Przy tamtej sprawie spotkali się po raz pierwszy. Ciekawe, dlaczego wraca do niej? Dlaczego o to pyta?

Heinz wzruszył ramionami. Ten gest mógł oznaczać w zasadzie wszystko.

- Śledztwo już zamknięto. Sprawcy nie wykryto. - Karloff uśmiechnął się. - Najpewniej mord na tle rabunkowym.

Obaj dobrze wiedzieli, że prawda była inna. Ktoś wymierzył tamtemu sadystycznemu draniowi w sutannie sprawiedliwość na własną rękę. Osądził go po swojemu. A Heinz przyczynił się do tej egzekucji. Wskazał katu ofiarę. Nie miał z tego powodu wyrzutów sumienia. Drugi raz postąpiłby tak samo.

- Wiesz co, Karloff, rozmowy z tobą to podróż w prawdziwą krainę łagodności.

- No to wyobraź sobie, jak cierpki potrafię być dla innych! - Policjant potrząsnął puszką. - Dlatego kieruję tym zespołem. A ciebie naprawdę lubię, w sumie jesteśmy dość podobni.

Podobni. Tego jeszcze brakowało.

- To jest taka sprawa. Hipis, że trzeba grać ostro. Tak jak wtedy z tym księdzem, gdy pokazałeś, że masz jaja. Żaden tam Ritz i smokingi, tak kloszardzi nie będą z tobą gadać. Ostro. Hardcore. Nie tylko z nimi. Gdy powiedziałeś mi przez telefon o gangsterskim

wątku, zacząłem grzebać. A kiedy już się dogrzebałem do tego, co trzeba, pojechaliśmy jeszcze raz przesłuchać szefa przybytku ze sterydami na Centralnym, ale gdzieś przepadł. Telefon ma wyłączony, w domu nic nie wiedzą.

Do Wu. Dobry Wujek zniknął.

– Zaraz okaże się, że razem z Maciejewskim widzieliśmy go ostatni.

– Możesz się śmiać, ale gościa nie ma. A teraz ci powiem, do czego się dogrzebałem. Gdy zniknął ostatni raz, siedem lat temu, znaleźli go po trzech dniach wycieńzonego i przywiązanego do drzewa. Od tamtego czasu wyleczył się ze złych nawyków i złego towarzystwa, przynajmniej tak wydawałoby się...

– A wtedy to co się stało? Był na kursie survivalu? Czy wprowadzili go kosmici z *Archiwum X* ?

– Zdarzyło się mniej więcej coś takiego - przytaknął Karloff. - Opowiadał, że porwali go przez pomyłkę. Nieporozumienie, pomyłka, przysięgam, nie znam tych ludzi i takie tam pierdoły.

Heinz skrzywił się.

– Facet milczy dopiero kilka godzin, za chwilę się znajdzie, a ty podnosisz alarm. Poza tym... - zawahał się - poza tym ta hipoteza mafijna ma kilka słabych punktów. Dlaczego chłopaki z miasta mieliby uśmiercać nurków? Dlaczego w taki sposób? A już z pewnością żaden nie umyłby odciętych dłoni. To nie manicurzyści jacyś, nie marzy im się ukończenie kursów kosmetycznych.

Karloff sapnął. Heinz zamknął oczy i odruchowo cofnął głowę, ale i tak odór piwa uderzył go w twarz. Prezenter radiowy zapowiadał pierwsze miejsce na liście przebojów. Komisarz wsłuchał się w kilka taktów i skrzywił się ponownie.

– Więc co o tym sądzisz? Dlaczego te ręce są umyte? To robi jakiś MPO?

– Kto? - zdziwił się komisarz.

– MPO. Czyściciel. Ktoś, kto czyści miasto z odpadków, brudów...

Sam myślał o tym od wielu godzin. Nie wiedział, dlaczego ktoś uśmierca bezdomnych, co gorsza, postać mordercy nie rysowała się nawet w najogólniejszych zarysach. Oczyszczone dłonie. Oczyszczenie. Coś w rodzaju prywatnego rytuału, egzorcyzmu odprawianego przez mordercę. Może zabójstwo sprawia, że ofiary przechodzą przemianę. Że już nie są brudnymi kloszardami z kanałów. A może sprawca sam dzięki temu oczyszczeniu się zmienia. Może bezdomni zabijani są z litości. Może z innego powodu. Może.

Nie potrafił odpowiedzieć na te pytania. Chciało mu się palić.

– Krążymy po omacku. Tak naprawdę nie mamy nic oprócz mgławicowych hipotez. Musimy być cierpliwi.

Karloff zaklął.

– Tak to mydlimy sobie oczy na zebraniach. Tak lekarze mówią do Jolki! Musi być pani cierpliwa i liczyć na cud - zmienił głos, jakby kogoś przedrzeźniał.

– Jolki? Co z nią? - Heinz odruchowo ściszył głos. Zupełnie jakby rozmawiali nad łóżkiem chorego.

– Pytałeś o nią, więc ci powiem. Bed njus. Ona umiera, Heinz, rozumiesz, umiera!

Przypomniał sobie brunetkę w czarnych glanach z pomalowanymi na czarno paznokciami. Gotycka Jolka. Tak ją nazwał. Równie dobrze zamiast w komendzie policji mógł ją zobaczyć na okładce rockowej płyty. Miał nie pić drugiego piwa, nie chciał ryzykować

spotkania z jakimś narwanym patrolem. Zmienił jednak zdanie i otworzył puszkę. Cierpliwie czekał, aż Karloff wypije kilka sążnistych łyków.

– Rak piersi, przerzuty. Zaatakowane węzły chłonne i mózg. Przyjmuje teraz drugą chemię. Chciała cały czas pracować, ale czuła się tak źle, że... Sama uznała, że nie da rady. Myślę, że się poddała.

Karloff zerwał się z krzesła i ruszył do łazienki.

On też nie wytrzymuje. Otacza mnie śmierć, jest wszędzie wkoło, pomyślał komisarz. Kilka razy sam był jej posłańcem, gdy musiał powiadomić o zdarzeniu rodzinę ofiary. O zdarzeniu. Bed njus. Przykro mi, ale mam dla państwa bardzo złe wiadomości. Przez te lata nauczył się także rozmawiać ze zmarłymi. O tak, w tym był naprawdę dobry. Tańczący z trupami, pomyślał o sobie z goryczą. Najwyraźniej śmierć zaraża, atakuje tych, którzy mają z nią kontakt. Jak w kiepskim horrorze. Tym razem padło na Jolkę.

Karloff wrócił po kilku minutach i miękkim ruchem opadł na krzesło. Heinz popatrzył w oczy wychudzonego policjanta. Gdy pracowali razem półtora roku temu, wyglądał inaczej. Teraz zostało pół człowieka. Komisarz znał powód tej przemiany. Karloff, amator białego proszku, z zakatarzonym nosem jako skutkiem ubocznym, żył pełnią życia.

– Już w porządku - usłyszał szept. - Wszystko w porządku.

W dłoni Karloffa zaszeleściła paczka chipsów.

– Zapomniałem położyć od razu, no to chociaż teraz...

Gdy wracał do policyjnego hotelu, nerwowo rozglądał się za radiowozami czyhającymi na pijanych kierowców. W oddali majaczył szkielet przyszłego Stadionu Narodowego. Czerwone punkciki świeciły na dźwigach, podkreślając skalę przedsięwzięcia.

Położył się na łóżku i zadzwonił do syna. Po drugim sygnale usłyszał głos młodego. Odetchnął z ulgą. Odgłosy w tle wskazywały, że Heinz junior bawił się na jakiejś imprezie. Rozmowa nie kleiła się. W końcu nic nowego. Tak było zawsze. Tańczący z trupami to kiepski partner dla żywych.

– Cieszę się... że mogliśmy pogadać - wykrztusił komisarz, gdy rozmowa zbliżała się do końca.

– On też chętnie by z tobą pogadał, tato. - Dziewczęcy śmiech w tle stał się głośniejszy.

– On? Kto? - Heinz czuł, jak napinają się jego mięśnie.

Wiedział już, jaką usłyszy odpowiedź.

– Dziadek. Dałem mu twój numer telefonu.

Już nie leżał. Stał jak sparaliżowany i przytrzymywał się stołu. Młody też zamilkł. W słuchawce rozbrzmiewały rytmy ska.

Głuche telefony z prywatnego numeru. Wszystko jasne. Nawet nie wiedział, kiedy skończyli rozmowę.

Gdy pół godziny później usłyszał sygnał, z wściekłością chwycił telefon. Numer zastrzeżony.

– Jeśli to ty, nigdy nie dzwoń do mnie, skurwysynu! - krzyknął z wściekłością i rozłączył się.

Nastała kolejna noc, podczas której bał się zasnąć. Znowu powróci koszmar, jak niezdarny refren piosenki, którą słyszał u Karloffa. Jeśli w tym śnie jego własny syn jest mordercą, to kto może być ofiarą? Wolał nie poznać odpowiedzi na to pytanie.

Tej nocy jednak nie śniły mu się koszmary. Zdawało mu się, że jest jednym z czerwonych punkcików krążących nad stadionem. Unosił się nad Pragą i rozświetlał fale Wisły, gdy usłyszał dźwięk telefonu.

Wtedy czerwony punkcik runął w dół i znikł w czeluściach gigantycznej budowli.

17

Musimy być cierpliwi - warknął Karloff. - O to ci chodziło? No to doczekaliśmy się.

Heinz wpatrywał się w skulone na ziemi ciało. W migającym świetle policyjnych latarek dostrzegł zdarte zelówki butów. Ręce ofiary były rozrzucone na boki i ginęły w kępkach trawy. W swoim życiu często widział ofiary wczepione palcami w ziemię tak, jakby kurczowo chwytaly się życia. W tym wypadku było jednak inaczej. Nie musiał zbliżyć się do ciała, by wiedzieć, że obie ręce zamordowanego kończą się w okolicy nadgarstków.

Spojrzał na zegarek. Była czwarta nad ranem. Czwarta nad ranem i nie kończył się grudzień, jak w piosence Leonarda Cohena. Było znacznie gorzej. W chłodną październikową noc, która nie chciała ustąpić, siąpił deszcz, systematycznie zacierając wszelkie ślady. Komisarz patrzył na gorączkową pracę policyjnych techników, którzy w białych uniformach przypominali zjawy. Wygrodzony obszar podzielono na sektory. Każdy z nich przeczesywany był przez dwóch ludzi. Technikowi towarzyszył policjant z dochodzeniówki. Ponad dwadzieścia osób postawiono tej nocy na nogi. Heinz nie liczył tych, którzy zabezpieczali miejsce przed ewentualnymi amatorami mocnych wrażeń. Już ta liczba zaangażowanych osób podkreślała rangę śledztwa. Policyjne wozy rozstawione wzdłuż ulicy Grochowskiej pulsowały na niebiesko. Neon z napisem „King Cross”, zwykle rozświetlający okolice, tej nocy był przepalony.

Dźwięk telefonu o trzeciej nad ranem był równie przyjemny jak kontakt dentystycznego wiertła z odsłoniętym nerwem. Zapamiętał

tylko adres: King Cross, Jubilerska, róg Grochowskiej. Wiedział, gdzie to jest. Półprzytomny, zaczął się ubierać. Nawet nie umył zębów.

Zionął piwem. Miał to gdzieś. Zimne krople spływały mu po twarzy. Czuł, że ma przemoczone buty i że boli go głowa. Niewiele różnił się w tej chwili od kloszarda leżącego na ziemi. Poza tym, że należał do żywych. I że trzymał zmarznięte dłonie w kieszeniach kurtki. Że nie odciął ich żaden psychopata. W najgorszym razie dopadnie je zespół Raynauda.

Ciało znalazł student czekający na nocny autobus. Postanowił się odlać w pobliskich krzakach. Nie po raz pierwszy to mu się w tym miejscu zdarzało. Wcześniej natknął się na mamroczącego żula, więc tym razem poszedł dalej niż zwykle. Minął kanałek oddzielający garaże i sklepy od reszty terenu. Najpierw zobaczył foliową torbę z butelkami po piwie. Rozejrzał się. Gdy dostrzegł ciało, pomyślał, że to jakiś metyl. Noc deszczowa, ale jeszcze ciepła, nic mu nie będzie. Zostawi go, nie będzie budził. Coś jednak nie dawało mu spokoju. Podszedł bliżej i chwycił pijaka za rękę. A wtedy... Wtedy... - Chłopak nerwowo przelykał ślinę, nie mogąc skończyć zdania. Zgłoszenie przyjęto o drugiej trzydzieści. Pierwszy radiowóz pojawił się dziesięć minut później.

No to doczekaliśmy się.

Heinz oddalił się od ekipy. Stuknął butem o krawężnik, by strzepać błoto, i popatrzył na ciąg małych sklepów po drugiej stronie ulicy. Na jednej z reklam zachęcających do kupna rowerów ujrzał Stanisława Królaka. Na czarno-białej fotografii twarz kolarza finiszującego na stadionie wykrzywiał grymas wysiłku. Chętnie bym

się z tobą zamienił, pomyślał Heinz. Ciekawe, co byś zrobił na moim miejscu?

Stało się to szybciej, niż się spodziewali.

Na pierwszy rzut oka było widać, że morderca zmodyfikował sposób działania. Przede wszystkim zmienił miejsce. Widocznie uznał, że kolejny atak w kanałach ciepłowniczych może być obarczony zbyt dużym ryzykiem. Co prawda, to prawda. W strategicznych miejscach na Żeraniu, Siekierkach i w Kawęczynie kręciło się kilku tajniaków w śmierdzących ciuchach, którzy klęli na przydzieloną im robotę. Tak czy inaczej, zabójca nie wybrał tym razem odludnego miejsca, mogli więc znaleźć się jacyś świadkowie. Może przynajmniej komuś coś się przypomni albo skojarzy.

Policjanci przesłuchiwali mamroczącego żuła, ale równie dobrze mogliby rozmawiać z butelką denaturatu. Inni udali się do pobliskiego ośrodka o wdzięcznej nazwie Turysta, przy sąsiadującej z miejscem zabójstwa ulicy Kokoryczki. W ośrodku tym, w blachopodobnych, przeżartych korozją pudełkach, koczowali Rumuni i jak określił to jeden z policjantów, alternatywni ekolodzy: Józek „Puszka”, Heniek „Tektura” i inni zbieracze surowców do recyklingu. Niewykluczone, że zabity nurek był częścią tej wesołej brygady. Wiele wskazywało na to, że tym razem policjantom się poszczęści. Nawet jeśli nie ustalą personaliów ofiary, czegoś dowiedzą się na jej temat. Zdobędą jakiś punkt zaczepienia. W Turyście szykuje się dziś niespokojny poranek.

Po drugie Doktor Śmierć najwyraźniej popełnił błąd. *Nobody's perfect*. Nawet ty, sukinsynu, pomyślał komisarz. Coś tym razem poszło nie tak. Wskazywały na to wstępne oględziny miejsca. Kilka metrów od porzuconej torby z butelkami, policjanci znaleźli

strzykawkę wypełnioną jakąś substancją. Kilka kropel wystarczyło, by rozpoznać charakterystyczną woń benzyny. Z jakichś względów morderca nie mógł się nią posłużyć. Zgubił ją, może wypadła mu z ręki. Coś tu się stało. Heinz czuł, że prezent spadł im z nieba. Lepszego już nie dostaną. Rozmiękła od deszczu ziemia w jednym miejscu była rozorana. To oczywiście nie musi mieć związku ze sprawą, ale muszą te ślady zabezpieczyć. Ustawiono lampy, by sfotografować ten fragment terenu. Jak na sesji zdjęciowej. W rozmokłej ziemi nie było szans na zrobienie dobrego odlewu. Przy zwłokach postawiono tabliczkę z jedynką. Przy strzykawce - tabliczkę z trójką. Obie cyfry znajdowały się w odległości około ośmiu metrów od siebie. Dlaczego strzykawka leżała tak daleko od ciała?

Na sygnale podjechał kolejny policyjny samochód. Heinz ze zdumieniem zobaczył szefa. Krygier podszedł do techników i coś mówił, jakby chciał ich zdopingować do pracy. Popatrzył na ciało i podszedł do Karloffa. Przez chwilę rozmawiali. Wreszcie odnalazł komisarza. Położył mu rękę na ramieniu i ścisnął obojczyk, jakby chciał powiedzieć: „Znajdź go”. Potem bez słowa skierował się do samochodu.

Deszcz przybrał na sile i zamienił się w jesienną ulewę. Policjanci przykrywali folią wydzielony teren. Teraz każda minuta działała na ich niekorzyść. Heinz wiedział, że przez następnych kilka, a może kilkanaście godzin obszar ten będzie jednym z najlepiej strzeżonych w mieście. Wiedział także, że czeka go długi dzień.

Nieopodal zamajaczyła sylwetka Karloffa. Heinz nie miał ochoty na rozmowę. Wsiadł do samochodu i papierową serwetką wyniesioną z wietnamskiego baru wytarł twarz. Poczuł ból w

dłoniach. Jesienny chłód i wilgoć zapowiadały nawrót choroby. Wprawdzie, pocieszał się, bóle reumatyczne nie zabijają, ale skutecznie mogą ograniczyć zdolność poruszania się. Gwałtownymi ruchami pomasaował wierzch dłoni. Ból ustąpił. Tej jesieni dał znać o sobie pierwszy raz.

Do kolumny radiowozów podchodzili ludzie czekający na pierwsze poranne autobusy. Kolejny parszywy poranek zaczął się dla nich inaczej niż zwykle. Przynajmniej będą mieli o czym opowiadać w pracy.

Minęła godzina, odkąd wrócił do siebie, a on ciągle się trząsał. Przekonywał sam siebie, że to z zimna, ale takie tłumaczenia na niewiele się zdawały. Nie powinien się oszukiwać. To nie jesienna pogoda sprawiła. Znow się bał. Nienawidził takiego stanu. I nienawidził siebie. Drzenie ciała przywodziło wspomnienia o wilgotnej, zatęchłej piwnicy, czekaniu na ból i panicznym strachu. Oraz o kobiecych krzykach, które budziły go po nocach. Kiedy wreszcie, pomyślał ze złością, stracę pamięć? Kiedy te koszmary z przeszłości przestaną mnie dręczyć?

Po raz pierwszy od wielu lat żałował, że nie ma w domu grama wódki albo koniaku. Kiedyś obiecał sobie, że nie będzie pił. Ale teraz... Teraz był szczególny moment. Podniósł kubek z gorącą herbatą i zawiesił rękę w powietrzu. Dłoń drżała już mniej. To dobrze. Musi się skupić. Odetchnął głęboko i przymknął oczy. Zapalił davidoffa. Na więcej błędów nie może sobie pozwolić.

Tym razem nie zaplanował polowania. Nie wiedział, jak to się stało, że zapragnął kolejnego trofeum. Może dlatego, że swój niezbędnik - plecak ze starym rozciągniętym swetrem, strzykawkami i sekatorem - woził od wczoraj w bagażniku? Może dlatego, że nie

zapolował poprzedniego wieczoru na Kawęczynie? Nawet jeśli policja obserwowała tam teren, i tak chciał zrobić swoje, nie zważając na ryzyko, jakie wiąże się z taką akcją. Myśl, że może być nie tylko myśliwym, ale też poszukiwaną, cenną zwierzyną, nie dawała mu spokoju.

O szóstej po południu był gotowy do drogi. Niespodziewany telefon klienta sprawił, że musiał zmienić plany.

Dziś było inaczej. Nie miał ochoty zabijać. Poczeka na lepszą chwilę. Nie zabije nikogo w rocznicę jej śmierci. Pojechał na cmentarz i zauważył, że ruch się nasilił. W pobliżu bramy trudno dziś było znaleźć miejsce. Zbliżało się Święto Zmarłych. Kupił chryzantemy i zapalił na grobie znicz. Uprzątnął stare kwiaty przesłaniające napis: „Ukochanej Żonie, Mamie i Siostrze”.

Jeszcze raz podniósł biały kubek z wizerunkiem szarego kota o długiej sierści. To był jego ukochany kot. Zdechł przed rokiem. Kubek dostał kilka miesięcy temu w prezencie. Ręka przestała drżeć, ciało nabrało pewności. Poczuł, że wszystko wróciło do normy. To dobrze. Czekająca go jeszcze praca. Podszedł do wieży i włączył płytę. Rozbrzmiały pierwsze niskie dźwięki *III Symfonii* Henryka Mikołaja Góreckiego. Symfonia pieśni żałosnych. W sam raz na taki wieczór. Zaplanował zresztą, że dziś tego utworu posłucha, nie spodziewał się jednak, że sprawy przybiorą tak nieoczekiwany obrót.

Po południu źle się poczuł. Może to wizyta na cmentarzu tak go rozstroiła, a może wróciły kłopoty z sercem. Umówienie w Polsce wizyty do kardiologa z dnia na dzień jest niemal niemożliwością, ale jemu jakimś cudem się udało. Zadzwoił do lekarza, u którego leczył się od wielu lat. Ulżyło mu dopiero, gdy sam zobaczył zapis

EKG. Wszystko było w normie. Postanowił, że przed powrotem do domu zrobi jeszcze zakupy w pobliskim Realu.

Wtedy to się stało. Gdy podjeżdżał na parking, dostrzegł za ogrodzeniem kloszarda z wypchaną torbą. Jakiś impuls podpowiedział mu, co musi zrobić. Otworzył bagażnik i wyjął plecak. Działał jak automat. Założył sweter. Szybkim krokiem wydostał się poza teren supermarketu. Na przystanku pod wiatą skryło się kilka osób. Ruszył w stronę drzew. Nerwowo wypatrywał mężczyzny, który gdzieś znikł. Nagle z prawej strony dobiegi go dźwięk tłuczonego szkła i wybełkotane przekleństwo.

Rozpoczęła się druga część symfonii. Wszystko toczyło się zgodnie z planem. Poczestował kloszarda papierosem, wyciągnął pustą butelkę ze stojącej obok nich torby i wyrzucił ją szkłem w czoło. Gdy pochylał się z igłą, stało się jednak coś, czego się nie spodziewał. Przerazone i całkiem przytomne oczy spojrzały na niego. Bezdomny chwycił za strzykawkę, wyrwał mu ją z ręki i odrzucił gdzieś w bok. Następnie chwycił kurczowo za sweter, jakby chciał się podciągnąć i powstać. Rozległ się trzask pękającego materiału. Kloszard krzyknął, jakimś nadludzkim wysiłkiem podniósł się i chwiejnym krokiem zaczął uciekać. Przebiegł kilkanaście kroków, potknął się o własne nogi i zarył w ziemię. Wtedy kolejna butelka rozbiła się o jego potylicę. Było po wszystkim. Wciąż zastanawiał się, co powinien zrobić. Zaczął panikować. Pomyślał nawet o ucieczce. Czuł, że nie ma czasu na szukanie strzykawki z benzyną. Pamiętał chwilę wahania, gdy sięgał po drugą. Musiał dokończyć to, co zaczął. Nawet jeśli ten zastrzyk sprawi, że policja złapie ślad. Z plecaka wyjął sekator, płaszcz przeciwdeszczowy i foliową torbę.

Symfonia brzmiała coraz ciszej, gdy łącznikiem przechodził do drugiej części budynku. Powinien przygotować przesyłkę. Dłonie leżały na stole. Palce jednej z odciętych rąk były zaciśnięte. Z trudem rozwarł je i znieruchomił. Między palcami zobaczył strzępy swojego czarnego swetra. Zaciśnął zęby. Następnym razem nastrój chwili nie może decydować za niego. Będzie musiał się przygotować, i to dobrze. Za dużo błędów jak na jeden raz. Zdecydowanie zbyt wiele.

Popatrzył na kalendarz wiszący na ścianie. Spojrzał na grupę Hindusów pogrążonych w modlitwie. Przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Nie. Nie wyśle w paczuszcze dłoni. Trochę skomplikuje zadanie swoim myśliwym. Wrócił do części mieszkalnej. Rozbrzmiewały finałowe takty *III Symfonii*. Z górnej półki zdjął płytę CD z zapisanymi zdjęciami. Podróż po Indiach. Tak. Da im do myślenia. Przerzuczał pliki, aż znalazł właściwą fotografię. Rozległ się dźwięk uruchomianej drukarki. Załączy coś jeszcze. Na wypadek gdyby nie skojarzyli od razu. Otworzył plik tekstowy i napisał daty:

07.10.2008

10.10.2008

20.10.2008

Obok każdej z dat dopisał lokalizację: Żerań, Siekierki, Jubilerska.

To powinno wystarczyć. Założył rękawiczki i włożył dwa wydruki do koperty. Miał już ją zakleić, gdy powstrzymała go pewna myśl. Naprawdę da im do myślenia. Znow zaczął stukać w klawiaturę.

Przesyłka była gotowa. Nawet nie zauważył, kiedy skończyła się płyta. Postanowił, że włączy do snu coś innego. Wyjął składankę z największymi przebojami The Cure. Gdy Robert Smith zaczął śpiewać *Lullaby*, położył się na kanapie.

Na ekranie komputera wciąż migotał napis, który niedawno wydrukował.

NASTĘPNA BĘDZIE KOBIETA

No sam nie wiem. - Heinz przeczesał dłonią skronie. - To jakiś blef. Chyba że... - Potarł palcami czoło. - Jedno jest pewne: nasz Doktor Śmierć obdarzony jest swoistym poczuciem humoru.

Dochodziła czternasta. To była druga narada tego dnia z udziałem Krygiera i wszystkich członków ekipy. Pół godziny temu dostali przesyłkę ze śródmiejskiego komisariatu. Wystraszony posterunkowy, który ją przyniósł, opowiedział, jak list trafił na ulicę Dzielną. Znalazł go mężczyzna zgłaszający kradzież samochodu. List znajdował się przy drzwiach wejściowych i przyciśnięty był kamieniem. Ktoś, prędzej lub później, musiał go zauważyć. Jeśli nie zrobiłby tego właściciel ford, byłby właściciel - szybko poprawił się młody policjant - z pewnością znalazłby go ktoś inny.

Poza tym bed njus, jak powiedziała by Karloff. Nikt niczego nie widział.

Pierwsze poranne zebranie przebiegło w innej atmosferze. Wszyscy mieli poczucie, że wreszcie chwycili trop i przestaną tkwić w miejscu. Entuzjazm udzielił się nawet Heinzowi. Kleiły mu się oczy, ale przemógł zmęczenie. Głównie mówili o strzykawce napełnionej benzyną, którą zabójca porzucił z nieznanych powodów. Pozostały na niej odciski palców. Specjalista od daktyloskopii powiedział krótko: fifty-fifty. Ale pięćdziesiąt procent szans, że uda się odtworzyć linie papilarne, to więcej niż nic, a tyle mieli dotychczas.

- Módlmy się do Matki Boskiej od Daktyloskopii i Systemu AFIS, by i tym razem się udało - Krygier wznosił oczy do sufitu.

Przeczuwali, że w sprawie nadchodzi przełom. Doktor Śmierć zaczął się mylić. Poczł się zbyt pewnie i ta nieostrożność w końcu go zgubi. Wybrał nieprzygotowane miejsce, niedbale namierzył

ofiare. Wstępne oględziny ciała wskazywały, że mężczyzna otrzymał dwa ciosy, jeden z przodu głowy, drugi z tyłu. Dlaczego dwa? Prawdopodobnie stawiał opór, być może uciekał. Taki wniosek można było wysnuć ze śladów pozostawionych na miejscu zdarzenia. Ale morderca dopadł kloszarda. Był oczywiście przygotowany. Wziął ze sobą drugą strzykawkę. Zabił podobnie jak nurka z Siekierek. Zgon nastąpił zapewne w godzinach wieczornych. Nie wystarczyło mu czasu, by w trawie odnaleźć tę pierwszą, napełnioną benzyną. Albo - co bardziej prawdopodobne - puściły mu nerwy, wpadł w panikę i po prostu uciekł.

Popołudniowa przesyłka sprawiła, że nastrój w ekipie gwałtownie siadł. Dobrze, że ci z Dzielnej nie potraktowali listu jako głupiego kawału, skojarzyli daty i fakty, potem zadzwonili do Pałacu Mostowskich.

Gdy odprawili posterunkowego, sami zaczęli przeglądać zawartość koperty. Krygier popatrzył uważnie na każdą z trzech kartek włożonych w osobne folie i bez słowa sięgnął po papierosa.

- Ożeż kurwa mać! - wycedził przez zęby Karloff. - W zeszłym tygodniu dostaliśmy w dupę od Słowaków, a teraz to.

Pozostali oglądali w milczeniu. Prałat pozbył się kartek szybko, jakby parzyły albo były nasączone jakąś trucizną. Maciejewski i Jowita Rut oglądali przesyłkę najdłużej. Nikt nie chciał zabierać głosu.

Krygier popatrzył na Heinza.

- Jak to widzisz. Hipis? Swoją drogą, co to za bezczelny skurwysyn! - krzyknął. - Zanieść taki list na komisariat! No więc - uspokoił się i ponownie spojrzał na komisarza - jakie jest twoje zdanie?

– Powiem wam, dlaczego uważam, że jest to blef - odparł cicho.

– Chcesz powiedzieć, że tego nie wysłał zabójca? - zapytał szybko Krygier.

– To on. Tylko on zna te wszystkie fakty. On - zawiesił głos - albo ktoś z nas.

Ich spojrzenia były ciężkie jak ręka George'a Foremana trzymającego Pismo Święte. Wytrzymał jednak ten atak. Jowita otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale zrezygnowała.

– To on. Tylko że coś się nie zgadza. Za szybko dostaliśmy ten list. Doktor Śmierć to morderca zbieracz. Kolekcjoner, jeśli wolicie. Nie każdy z seryjnych morderców kolekcjonuje części ciał. Ci, którzy tak robią, niechętnie rozstają się ze swoimi eksponatami.

– Nasz też nie chce się z nimi rozstać - wtrąciła Jowita Rut. - Wysłał nam po jednej dłoni z Żerania i Siekierek, więc dwie ma u siebie. A teraz podesłał to zdjęcie, czyli te dwie wczorajsze są u niego.

– W sumie ma cztery. - Prałat zaprezentował błyskotliwy popis zdolności matematycznych.

Heinz wpakował kolejną gumę antynikotynową do ust i ciągnął:

– Oni nie tylko nie chcą pozbywać się tych szczątków. Lubią też napawać się ich posiadaniem. Tajemnicą, która temu towarzyszy. To taka część ich prywatnej liturgii. Częścią tego rytuału jest też swoista gra, jaką prowadzą z nami.

– Częścią gry jest to, że ci pojebańcy ślą nam mesydz, ale nie tak od razu? - Karloff wziął ponownie kartki do ręki.

– Dokładnie. Oni lubią czekać. Wyczekują, zanim znów zabiją, mają fazy remisji. Słyszeliście o Ponurym Śpiochu?

Maciejewski parsknął śmiechem.

- Dobrze. Będę mówił tak do mojej żony.

-Amerykanie nazwali tak zabójcę, który lata całe pozostawał w uśpieniu, nie ujawniał się, aż tu nagle... Do dziś go nie złapali. Z tymi listami jest podobnie. Zabójca nie tylko odtwarza w głowie popełnione zbrodnie, nie tylko tworzy scenariusze nowych, ale delektuje się też naszą bezradnością. Gdy uzna, że jesteśmy rozłożeni na łopatki albo, że co gorsza, nasze zainteresowanie sprawą słabnie, wysyła nam przynętę. Czekanie i cierpliwość należą do reguł gry, w którą z nami gra.

- A ten, komisarzu, zadziałał za szybko. - Prałat jako jedyny zwracał się do niego, używając stopnia.

- Po pierwsze, sporo ryzykował, podrzucając list na komendę. Musiał mieć pewność, że ta wiadomość nie będzie zignorowana. Dlatego zaryzykował. By nie było wątpliwości, z kim mamy do czynienia, wyłożył kawę na ławę, wypisał daty zabójstw i miejsca zbrodni. Po drugie, nie wysłał nam dłoni, tylko jakieś zdjęcie. To zmiana sposobu działania. I jest zapowiedź kolejnej zmiany...

- Następna będzie kobieta. - Prałat wpatrywał się w kartkę, jakby uczył się wiersza na pamięć.

- I tu przesadził - Heinz zacisnął palce w pięść. - Na tym, moim zdaniem, polega fałsz. *Modus operandi* jest w naszych sprawach wyraźny. Doktor Śmierć morduje kloszardów, zabija mężczyzn, robi im śmiertelne zastrzyki, odcina dłonie. Dłonie... Męskie dłonie, nie kobiece, są tu ważne...

- Kobiece dłonie kojarzą mi się z czymś innym. - Karloff uśmiechnął się do swoich myśli.

- Z czym kojarzą się wam dłonie?! - krzyknął niespodziewanie Prałat. - Pomocna dłoń, nieprzyjacielska dłoń...

- Tak, tak... - przerwał Karloff. - Nie strzela się do pianisty, nie obcina się rąk gitarzystom. - Spojrzał na Heinza. - Do dupy z taką burzą mózgów!

Prałat poczerwieniał na twarzy.

- On wie - Heinz podniósł głos, by zakończyć tę zbędną wymianę zdań między policjantami - że wczoraj popełnił błąd. Wie, że znaleźliśmy strzykawkę. Że mamy wreszcie coś konkretnego. I próbuje odwrócić naszą uwagę. Stąd taka determinacja i tempo działania. Zapowiedź zmiany, zdjęcie...

- Wiecie, co jest na tym zdjęciu? - zapytała Jowita.

Prałat wpatrywał się w fotografię włożoną do torebki foliowej, wzrokiem Anthony'ego Hopkinsa. Jeszcze chwila i zacznie przepowiadać przyszłość.

Bardzo chciałbyś wiedzieć, synku. Chciałbyś błysnąć.

- Bo ja wiem - dodała. - Ten pomnik jest w Indiach, w Czandigarhu. To projekt Le Corbusiera, podobnie jak samo miasto. Nazywa się Pomnik Otwartej Ręki albo jakoś podobnie...

Heinz raz jeszcze popatrzył na dłoń z palcami skierowanymi do góry, wzniesioną na postumencie.

Dobrze, że czegoś takiego nie ma u mnie na Tauzenie.

- Brakuje nam, kurwa, tego - Jowita Rut mówiła cicho i dobitnie - by okazało się, że to jakiś mistyk. Najpierw odbył swoją podróż na Wschód, a teraz ma misję i odcina dłonie.

Wszyscy spojrzeli na Jowitę ze zdumieniem.

- To amatorskie zdjęcie - ciągnęła. - Nie ma żadnej daty, nie wiemy, kiedy zostało zrobione, ale możemy przyjąć, że on tam był.

- Równie dobrze mógł nam przysłać widokówkę z Tadź Mahal. - Rumieniec zniknął z policzków Prałata. - Podobno budowniczym

odcinano dłonie albo palce, by nie mogli postawić w przyszłości czegoś równie pięknego.

A jednak masz, synku, swoje pięć minut. Musisz się popisać.

Krygier zabębnił palcami w stół.

- A co ty sądzisz o tej fotografii. Hipis?

Heinz podrapał siwą szczecinę na policzku.

- Oczywiście Jowita może mieć rację. Problem w tym, że wciąż niczego nie możemy wykluczyć. To może być jakiś szaleniec, który doznał *satori*, objawienia, i teraz kieruje nim głos Boga...

Mrugnął oczami. Przez chwilę miał wrażenie, że słucha go ktoś jeszcze. Między Krygierem i Karloffem mignęła mu postać mężczyzny z siwymi, krótko przyciętymi włosami. Od tego człowieka nie uwolnię się nigdy, pomyślał.

Heinz zacisnął powieki.

- Dobrze się czujesz? - Głos Krygiera był przytłumiony, jakby dobiegał zza ściany. - Wszystko w porządku?

Podniósł głowę i otworzył oczy. Niepewnie spojrzął w stronę, gdzie zobaczył Inkwizytora. Nikogo tam nie było.

- Przepraszam - powiedział. - Wszystko gra. Jestem po prostu zmęczony. Wracając do rzeczy: nie powinniśmy lekceważyć tego tropu, który podsunęła Jowita. Niczego nie możemy lekceważyć. Nawet tego, co wydaje się niemożliwe. - Rozejrzał się po zebranych. - Tego, że nasz doktorek poczuł siłę, nabrał pewności i rzuca nam wyzwanie. I rzeczywiście chce zabić kobietę.

Tym razem Krygier przymknął oczy i założył ręce za głowę.

- Co powinniśmy robić? - zapytał. - Wszczynamy alarm?

- Media trzymajmy jak najdalej od tej sprawy. - Głos Jowity brzmiał zdecydowanie. - Brakuje nam tylko paniki w mieście i

ogólnopolskiego polowania na mordercę. Cyrk na całego! Musimy działać dyskretnie, pogadać raz jeszcze z nurkami, przynajmniej z tymi stacjonującymi w newralgicznych miejscach.

– I liczyć na Matkę Boską od Daktyloskopii - mruknął Maciejewski.

Rozdzielili zadania i rozeszli się. Heinz spojrział na Jowitę. Policjantka wpatrywała się w fotografię przedstawiającą pomnik dłoni w Czandigarhu i przygryzła górną wargę.

19

Jedziesz ze mną? - zapytał Maciejewski. - Będą niezłe jaja.

– Gdzie się wybierasz?

– Na audiencję. Do króla kanałów. Superszczura zastaniemy w barze Pod Rurą.

Bar Pod Rurą. Lata całe tam nie był. Oficjalna nazwa baru to Syrenka, ale nigdy nie słyszał, by ktoś tak nazywał ten przybytek. Jedna ze stacji pijackiej drogi krzyżowej, szlaku orlich gniazd, podobnie jak Rybitwa na Powiślu albo bar, nie mógł przypomnieć sobie nazwy, przy rondzie Starzyńskiego. Rybitwy, wedle słów Maciejewskiego, już nie było, ten drugi lokal chyba spłonął w tajemniczych okolicznościach. Akurat tajemniczych. Albo porachunki między chłopakami, albo wyłudzenie odszkodowania. Obaj pamiętali, że przy sfajczonej mordowni był sklep z ciuchami. Tara. Na cześć bohaterki jakiegoś starego australijskiego serialu.

Ale bar przy moście Gdańskim trwał. W studenckich czasach przesiadywał tam długie godziny, wysłuchując kibiców rozprawiających o wydarzeniach ostatniej kolejki ligowej. Jak w hipnotycznym transie, przy czwartym lub piątym piwie wpatrywał się w gigantyczną zielonoszarą rurę podwieszoną do mostu. A może,

kilka razy zadał sobie takie pytanie w stanie upodlenia, to Gdański podwieszony był do rury?

– Często ci się to zdarza? - Maciejewski nagle spoważniał.

– Co? - uśmiech znikł z twarzy Heinza. Pytanie sprawiło, że z odległych wspomnień powrócił do terażniejszości.

– Przebitki. Takie jak podczas zebrania. Fleszbeki.

A więc zauważył. Pewnie nie on jeden. Oczywiście, że się zdarzają. W snach, na skrzyżowaniu ulic, w robocie podczas przesłuchań.

– Czasami - mruknął. - A dlaczego pytasz?

Maciejewski milczał. Jechali Wisłostradą. Po lewej stronie minęli Zamek Królewski. Zaraz będą na miejscu.

– Pracuję tu dziewięć lat. Czasem zastanawiam się, co mnie czeka, jeśli jeszcze parę lat posiedzę w tej robocie. Zresztą pochodzę ze spsiałej rodziny. Dziadek Zyga był policjantem w Lublinie, ojciec też, wujek też. Może mam jakiś gen, który sprawi, że nie zwariuję.

Heinz nie odpowiedział. Twoi przodkowie z milicji i policji nie przekazali ci żadnego genu. I nie czeka cię nic dobrego. Ale sam się o tym przekonaj.

Służbowy opel zatrzymał się przy barze. Część parasoli z napisem „Królewskie” stała zwinięta w rogu. Znak, że najlepsza część roku się kończy. Przy wejściu stały dwa przypięte rowery. Za jego czasów cykliści tu nie bywali.

Wystarczyło jedno spojrzenie, by wiedział, do którego stolika mają się kierować. Spaślak w skórze właśnie odstawił pusty kufel i podchwycił spojrzenie komisarza. Zrezygnowany, pokręcił głową i otarł czoło palcami grubości serdelków. Jak zabraknie kiełbasek w barze, będą w sam raz.

Maciejewski zamówił wodę i dwa piwa. Jedno postawił przed Heinzem, drugie przed siedzącym naprzeciwko mężczyzną. Odkręcił butelkę z wodą i wypił kilka łyków.

– Patrz - gruby wyciągnął palec w kierunku Heinza - twój kolega wodę pije! Zupełnie jak zwierzę!

Roześmiał się, ukazując symetryczne braki w uzębieniu. Brakowało mu obu górnych czwórek.

– Ty uważaj, Szrek - Maciejewski odstawił butelkę - bo przetrzepię ci królestwo. Jak się nazywa ten twój rewir w kanałach? Jamajka? Eldorado?

– Możesz szukać. Nie mam nic trefnego. Ale z nowości mam fajną meblościankę. Po jednym takim, co zachlał się na śmierć. Spodobałaby ci się. A poza tym był już od was jeden i mnie straszyl.

Wyglądał tak niewinnie, że jego podobizna mogłaby trafić na słoiczki Gerbera.

– Po trupach nie biorę - warknął Maciejewski. - Straszyl cię? Kto?

Na czole grubasa pojawiły się kropelki potu. Na twarzy wystąpiły nieprzyjemne wspomnienia.

– Gość miał taką gębę, że nawet w kanałach takiej nie spotkasz codziennie. Groził mi, że mnie do prądu podłączy. Że wywiezie do lasu. Oglądałem kiedyś *Leona zawodowca* i tam był taki policjant świrus. Ten jest taki sam.

Karloff. To mógł być tylko on.

– On jest gorszy niż Joseph Fritzl - powiedział Heinz. - Potwór z Amstetten. Pewnie kojarzysz?

Szrek kiwnął głową.

– Potwór... Fritzl... A to dobre!

Jego śmiech przerodził się w duszący kaszel. Pod skórzaną kurtką grubasa komisarz dostrzegł koszulkę z napisem „Slayer” i rysunek kościotrupa. Szrek wciąż kaszłał, a szkielet tańczył na jego brzuchu.

Maciejewski wyjął plik odbitek ze zdjęciami zamordowanych kloszardów.

– Więc jeśli nie chcesz, by Fritzl cię nachodził, rozpytaj porządnie o tych trzech. Masz swoje kontakty, znasz ludzi, w końcu jesteś, że tak powiem, kimś w rodzaju kanałowego menadżera.

Kościotrup na T-shircie ponownie zatańczył. Szrek zapalił papierosa i wypuścił dym nosem. Rozparł się na krześle. Wydawało się, że stary trzeszczący mebel nie wytrzyma takiego ciężaru.

– Człowieku, tobie wydaje się, że w kanałach wszyscy znają wszystkich. A przecież to takie samo miasto jak tu. - Zatoczył łuk ręką. - Tam możesz spotkać każdego. Znałem profesora matematyki, który wylądował pod ziemią. Jeden miał odłożoną kupę kasy, znał się na giełdzie, inwestował w jakieś papiery, a włóczył się po śmietnikach. Wiesz dlaczego? Bo to lubił. Inny miał dosyć rodziny i zwyczajnie spieprzył.

– Czyli jednak kogoś znasz - Maciejewski uśmiechnął się.

– Ale tych trzech nie widziałem na oczy!

– No to inni widzieli. Jest jeszcze jedna sprawa. Dostaliśmy pewną informację. Ten człowiek groził, że robi to znowu. - Aspirant przysunął swoje krzeselko do grubasa i mówił coś cicho. Szrek niemal niedostrzegalnie potakiwał głową. - Nasze kłopoty - ostatnie zdanie dotarło do Heinza - to także twoje kłopoty. Ogromne kłopoty. Pomyśl o tym.

Wstali od stolika. Komisarz nie był pewien, czy nakłonili grubego do współpracy. Nawet groźba kolejnych zabójstw mogła nie

wystarczyć. Ostatecznie Szrek mógł mieć to gdzieś. Jemu nic nie groziło. Kanałowy menedżer wygodnie żył z lewych interesów i prowizji pobieranych od podrzędnych nurków.

Jednak nie wytrzymał. Byli przy drzwiach, gdy komisarz odwrócił się i podszedł do stolika, na którym pojawił się kolejny napełniony kufel.

Pochylił się nad Szrekiem.

- Na twoim miejscu naprawdę bym uważał - szepnął. - Sam lepiej nie pchaj się do kanałów. Zaczopujesz się w rurze i nikt nie uratuje twojej grubej dupy. A trupów mamy już dosyć. Tyle o tym.

Gdy wyszli, głęboko odetchnął. Kiedyś Pod Rurą były lepsze klimaty.

W pokoju hotelowym rozłożył na biurku plik fotografii. Przyjrzał się twarzom ofiar. Szukał między nimi jakiegoś podobieństwa. Zabójca musiał przecież kierować się jakimś kluczem. Zacisnął zęby. Nie dostrzegł cech wspólnych. Różnili się kształtem twarzy, kolorem i osadzeniem oczu, długością włosów. Łączył ich brak lub degradacja uzębienia i coś, co można nazwać zmęczeniem materiału przyspieszającym proces starzenia, ale trudno spodziewać się, by morderca przyjął takie kryterium wyboru. Spojrzał do notatek. Budową ciała także się różnili. Obejrzał dwie kolejne fotografie. Dłonie. Męskie ręce o odmiennych rozmiarach. Obie mocno zniszczone. Ale przecież zabójca, obserwując swoje ofiary z pewnej odległości, raczej nie widział dłoni, które były najwyżej detalem. Poza tym nic nie wiedzieli o rękach ostatniego z zabitych, tego spod King Crossa. Brakowało materiału porównawczego.

W komórcie przeczytał przychodzącą wiadomość. „Pogoda była zmienna. Prognozy też. Pozdrawiam. P.”. A więc Prałat sprawdził

nawet ten mgławicowy ślad. Od początku wiedział, że to nie żaden Deszczowy Morderca. Znowu nic.

Jego myśli powędrowały gdzie indziej. Przypomniał sobie, jak czytał kiedyś Chandlera i zauważył, że autor często pisał o rękach i kobiecych czerwonych paznokciach. Detektyw, pomyślał wtedy, musi nieustannie patrzeć na ręce.

Nigdy nie wiadomo, czy obejmą kochanka, czy ujrzy w nich pistolet. Ale tym razem nawet Chandler mu nie pomoże.

Bukka White, pieśniarz z Delt, skończył kolejnego bluesa. Dłonie. Nie po raz pierwszy Heinz czuł, że przeoczył coś ważnego. Coś, co przemknęło mu przez głowę i zaginęło w kotłowaniu innych myśli. Co to mogło być? I kiedy? Dlaczego Doktor Śmierć myje dłonie ofiar? Co to dla niego znaczy? A jeśli rację ma Jowita i to jakiś domorosły mistyk zainfekowany hinduizmem, New Age'em albo czymkolwiek innym? Wziął kartkę i napisał cztery słowa: obmycie - oczyszczenie - przemiana - reinkarnacja. Postawił duży znak zapytania i podkreślił go.

Pytania gęstniały w zastraszającym tempie. Ale tak powinno być. Wiedział, że musi trzymać się rady Kastoriadisa, który ciągle powtarzał: *Enzanonmentzuke*, Hipis. *Enzanonmentzuke*.

Głowa dwa metry nad górami. Na przeciwnika trzeba patrzeć perspektywicznie, ogarniać tło, a nie tylko skupiać się na jednym punkcie.

W tej sprawie musi postąpić tak samo. To nie była z jego strony żadna asekuracja, gdy podczas zebrania powiedział, że niczego nie można wykluczyć. Intuicja i doświadczenie podpowiadały mu, że list od mordercy ma ich zaprowadzić w ślepą uliczkę. Ale... Pozostawała niepewność. Mogło być tak, że Doktor Śmierć będzie

zabijał, bo to polubił. Gdy to robi, ma poczucie władzy i panowania. Ostatnio zaryzykował. Uderzył niemal na oczach klientów supermarketu i pasażerów czekających na przystanku. Skoro aż tyle zmienił w swoim działaniu, być może dokona kolejnej modyfikacji. Zabije kobietę. Chociaż tym razem przeskok byłby naprawdę duży. Okaleczeni mężczyźni kojarzą się z zemstą. Seryjni polują na kobiety z pobudek seksualnych, rabunkowych, resentymentu. Albo ze wszystkich tych powodów naraz.

Popatrzył na fotografię z Czandigarhu. Poczuł złość. Zabójca pogrywa sobie z nami. Nasza bezradność jest jego siłą. Do czasu, sukinsynu. Do czasu. Miał dość. Jednym ruchem strącił zdjęcia ze stołu. Fotografie wirowały po pokoju i opadły na wykładzinę. Rano je pozbiera i przejrzy nie wiadomo który już raz.

Blind Willie Johnson śpiewał *Dark was the Night*. Komisarz czuł się jak ślepiec. Co przeoczył? W którym momencie?

Usłyszał znajomy szum za oknem. Padało kolejną noc.

Tego wieczoru nie tylko Heinz wpatrywał się w fotografię przedstawiającą dzieło Le Corbusiera.

Jowita Rut zgasła światło w małym pokoju i przykryła syna kołdrą. Niebawem powtórzy tę czynność, bowiem pięciolatek posiadał umiejętność błyskawicznego rozkopywania się. Włożyła mrożoną lazanie do piekarnika i zmniejszyła temperaturę. Spojrzała na zegarek, wróciła do pokoju i wzięła odblask do ręki.

Amatorskie, źle skadrowane zdjęcie, w dodatku lekko poruszone. Otwarta dłoń uchwycona jest z prawej strony, fotograf za bardzo zbliżył się do monumentu. Pewnie sam uznał to zdjęcie za niezbyt udane. Może ktoś go potrącił, gdy naciskał spust migawki? Albo był po prostu kiepskim fotografem.

Na prawo od dłoni, gdzieś w oddali, zieleniły się drzewa. W dolnym rogu zdjęcia, na drugim schodku od góry, siedział młody mężczyzna w T-shircie. Turysta pochylał się nad czymś, zapewne nad jakimś przewodnikiem.

Uniosła głowę i przebiegła wzrokiem półkę z książkami. Bez trudu znalazła albumy poświęcone Le Corbusierowi. Od czasu gdy chciała zdawać na architekturę, minęło wiele lat, ale niekiedy powracała do starej pasji, śledząc wytwory geniuszu i szaleństwa francuskiego wizjonera. Wizjonerzy i szaleńcy. Przekonała się, że nie trzeba studiować architektury, by spotkać ich na swojej drodze.

Na zdjęciu z Czandigarhu obok siedzącego mężczyzny był ktoś jeszcze. Stał plecami do posągu i profilem do fotografa.

Najwyraźniej wychylił się lekko do przodu, bo w kadrze zmieścił się tylko skrawek głowy.

Zrezygnowana, wsparła głowę na splecionych dłoniach. Nie. To donikąd nie prowadzi. Usłyszała dzwonek w drzwiach. Podbiegła i otworzyła. Piotr przestąpił próg mieszkania. Byli razem od ośmiu lat, święty węzeł małżeński nie był im do niczego potrzebny. Tworzyli, jak się to mówi, nowoczesny związek i nie chcieli tego zmieniać. Chociaż parę spraw nadawałoby się do poprawki. Na przykład to, że w ostatnich miesiącach zaczął wracać coraz później do domu. W innych domach byłby to powód do podejrzeń i kłótni. W innych, ale nie tu.

Mężczyzna zdjął krawat i z wściekłością rzucił go na łóżko.

– Znów nas dzisiaj przeczołgali. A poza tym mieliśmy kolejny pogrzeb.

– Pogrzeb?

- No znowu jednego zwolnili. Szalonego Ola... Był u nas na imprezie. Wezmę prysznic i ci opowiem.

Po kilkunastu minutach wszedł do kuchni w czarnym T-shircie z napisem „Thriatlon Oslo 2007”.

-I co z tym Olem? - zapytała, wyjmując z lodówki napoczętą butelkę wina.

- Pamiętasz faceta? - Piotr nalał dwa kieliszki. - Olo pracował w firmie siedem lat, dłużej niż my wszyscy. Życie tam stracił.

Słyszała o tym. Znała historię menedżera, który zatracił się w pracy tak, że nie zauważył, kiedy jego małżeństwo zamieniło się w ruinę. Po rozwodzie Olo lekko ześwirował. Zresztą... Takich opowieści znała więcej.

- Więc dzisiaj wezwali Ola, coś mu gadali o obniżonej dynamice kreatywności, nie dziw się - złapał jej spojrzenie - właśnie tak powiedzieli. A potem wręczyli mu wypowiedzenie. A wiesz, co było najgorsze? - Upił kolejny łyk. - Na końcu pokleпали go w ramię i pożegnali takim tekstem: „Proszę pamiętać, traci pan pracę, ale nie traci przyjaciół”. Wyjątkowej klasy skurwysyństwo!

Zobaczyła, że się trzęsie. Może z gniewu, a może boi się, że będzie następny do odstrzału. Przytuliła się do niego.

- Mam nadzieję, że prałeś tę koszulkę od zeszłego roku. - Skrzywiła się. - A może razem pouprawiamy thriatlon?

Nie zdążył odpowiedzieć, gdy wybiegła do pokoju. Thriatlon Oslo 2007. Cholera. Chwyciła zdjęcie z Czandigarhu. Obaj turyści uchwyceni w lewym dolnym rogu mieli takie same jasnoniebieskie T-shirty. To z pewnością nie był przypadek. Ten, który stał, miał na rękawie jakąś naszywkę. Firmowe koszulki. Oni są w firmowych T-

shirtach! Jeśli uda się odczytać napis... Najchętniej teraz wsiadłaby w samochód i pojechała do laboratorium kryminalistycznego.

Czuła, że pojawia się szansa. Jakby ktoś nagle kopniakiem otworzył zatrzaśnięte drzwi.

Poczuła rękę na karku. Zadrżała.

– Mówiłaś coś o thriatlonie? - usłyszała szept.

Odłożyła zdjęcie. Z pokoju obok dobiegł płacz dziecka.

20

Mowa ciała.

Lata praktyki sprawiły, że Heinz nauczył się rozpoznawać niedostrzegalne dla innych gesty i odruchy. Umiał oszacować ich wartość, określać sens i znaczenie. Obserwacje te sprawdzały się najczęściej w wypadku dwóch grup. Jedną stanowili podejrzani, których często gubiła zbytnia pewność siebie i towarzysząca jej wylewność ruchów. Drugą byli policjanci. Ile razy obserwował ożywienie w pierwszej fazie śledztwa i stopniowe zapadanie się dochodzenia! Brak postępów sprawiał, że zapadali się w sobie także ci, którzy prowadzili sprawę. Garbili się, kulili, spuszczaali głowę. Tak jakby chcieli zniknąć. Jakby pragnęli, by ich nie było.

Tym razem mowa ciała policjantów wskazywała, że stało się coś istotnego. Krygier siedział wyprostowany jak struna i omiatał wzrokiem zebranych. Pozostali zachowywali się podobnie. Jakby nagle wyłonili się z czeluści. Wyjątek stanowił Karloff. Podkrążone oczy, czerwona twarz i taki sam nos. Przyjaciel czerwonoskórych. Wciąż wczorajszy.

– Wreszcie to mamy. - Krygier trzymał w dłoni plik kartek. - Wyniki sekcji zwłok z Siekierok.

Rozdał każdemu po egzemplarzu.

– Aspirant Prałat zapoznał się już z tym materiałem i zaraz nam wszystko zreferuje.

Zdawało mu się, że w głosie szefa usłyszał lekko wyczuwalną drwinę.

– To cito trochę w tym przypadku trwało. - Prałat obok ekspertyzy położył swoje notatki - ale medycy sądowi chcieli mieć absolutną pewność. Zdaje się, że tym razem rzeczywiście coś mamy - potoczył wzrokiem po zebranych.

– Streszczaj się - mruknął pod nosem Karloff.

– Za pierwszym razem, na Żeraniu, mieliśmy zastrzyk z benzyny w serce. Tym razem zastrzyk wykonano w zbiornik mózdkowo-rdzeniowy.

Zbiornik mózdkowo-rdzeniowy. Brawo. Nawet nie zajrzał do notatek.

– Zbiornik ten inaczej nazywa się *cisterna magna*. Jego rola polega między innymi na amortyzacji wstrząsów. Możemy wyobrazić sobie, że mózg pływa w tym płynie mózdkowo-rdzeniowym jak w akwarium. Zastrzyk z alkoholu wykonany w *cisterna magna* spowodował śmierć.

– Z alkoholu? - Maciejewski uniósł brwi.

– Tak, tym razem morderca posłużył się spirytusem. Pytałem medyków, jak to się odbyło. Morderca odsłonił tył głowy ofiary, o tak - Prałat dotknął brodą do klatki piersiowej - a następnie wkłuł się w dolną część. A teraz to, co najciekawsze.

Tym razem zerknął do notatek, jakby chciał osiągnąć lepszy efekt.

– Zabójca przekuł oponę twardą, *dura mater*, i pajęczynówkę, czyli kolejną błonę. I wstrzyknął spirytus. Opona miękka nie została

naruszona.

Uwaga wszystkich skupiona była na aspirancie.

– Chcesz powiedzieć, że zabójca zrobił to jak należy? Fachowo? - zapytała Jowita.

– Dokładnie tak. To już nie zabawa z wkłuwaniem się w serce. Tym razem mamy pewność, że zastrzyk zrobił ktoś, kto naprawdę zna się na rzeczy, słowem...

– Słowem miałem rację, nazywając go Doktor Śmierć - powiedział Karloff.

– Okej. - Krygier wyjął papierosa z ust. - Praktycznie rzecz ujmując, ogranicza to krąg poszukiwań, ale korzyści dla śledztwa płyną z tego niewielkie. Mamy do czynienia z kimś, kto miał lub ma praktyczny kontakt z medycyną. To może być też jakiś student albo wykwalifikowana pielęgniarka... Będziemy przesłuchiwać cały personel medyczny na terenie Warszawy albo województwa?

Heinz siedział nieruchomo ze wzrokiem wbitym w stół. Kawa, której nie tknął od początku zebrania, dawno wystygła. Mózg. Przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Musi to sprawdzić po zebraniu.

– Jeśli nie będzie innego wyjścia, sprawdzimy wszystkich - powiedziała twardo Jowita. - Zacniemy od praktykujących lekarzy.

– Zdaje się, że nie mamy wyjścia. - Krygier obracał w palcach zapalniczkę. - Czy wiemy coś o odciskach palców znalezionych na strzykawce?

– Jeszcze nic - odpowiedział Prałat. - W laboratorium robią, co mogą. Musimy czekać.

– Od czekania to dupa boli - warknął Karloff.

Heinz po zebraniu został sam w pokoju. Upił łyk kawy i skrzywił się. Była bardziej lurowata niż zwykle. Poczuł, że przyspiesza mu tętno. Tak było zawsze, gdy natrafiał w sprawie na coś ważnego. Najpierw zastrzyk w serce, teraz w mózg. To nie mógł być przypadek. To musiało coś znaczyć.

Z kieszeni wyjął komórkę. Głuche telefony skończyły się tamtej nocy, gdy wydarł się na tajemniczego rozmówcę. Wybrał numer Jerzego Taranienki, medyka sądowego z Katowic. Chciał już się rozłączyć, gdy usłyszał znajomy głos.

– Jesteś przy stole? - zapytał.

– Za stołem. Kroję. Ale schabowego. Właśnie jem obiad. - Taranienko przeżuwał coś w ustach.

– Nie chcę ci psuć przyjemności spożywania posiłku. Ale przyzwyczajony jesteś, przeżyjesz jakoś.

Krótko zreferował raport z sekcji zwłok.

– *Cisterna magna, duramater...* Doksztalcasz się. Hipis, po godzinach - usłyszał pochwałę. - A czy masz tam napisane, że wasz przyjemniaczek ugotował ofierze mózg?

– Co zrobił? - Palce komisarza zacisnęły się na telefonie.

Taranienko westchnął.

– Po wstrzyknięciu spirytusu nastąpiła koagulacja. Mówiąc potocznie: ścięcie białka. Efekt taki, jakby ugotować mózg.

Dopijał kawę, nie zważając na jej ohydny smak. Uśmiercone serce. Organ, który kojarzy się potocznie z odczuwaniem, emocjami. Ugotowany mózg. Instrument poznawania i myślenia.

Teraz był już pewien. Doktor Śmierć zabijał nie tylko dosłownie. W gruncie rzeczy zgon ofiary był dopiero początkiem. Ten człowiek, Heinz skrzywił się, słysząc własne myśli, dobrze wiedział, co robi.

Uśmiercał ofiary symbolicznie. Za pierwszym razem serce, za drugim mózg. Odczuwiał ciała. Pozbawiał ludzkich właściwości... Ale później mył odcięte dłonie. Jakby na nowo włączał ofiary do ludzkiego świata. Koniecznie muszą się dowiedzieć, pomyślał, co stało się z tym trzecim znalezionym przy King Crossie.

Coś cię kiedyś spotkało, że teraz tak się mścisz?

Postara się odkryć, co zaszło w życiu mordercy. Wydrzeć tę wiedzę wszelkimi sposobami. Bez tego nie posunie się dalej.

W laboratorium Jowita Rut pochylała się nad powiększonym zdjęciem. Interesował ją jedynie ten fragment fotografii, na którym znajdowali się turyści w T-shirtach. Sylwetki rozmyły się i zamieniły się w rozległą niebieską plamę. W jednym miejscu pojawiły się jaśniejsze punkty układające się w napis.

– Powiedźcie, że wam się udało - powiedziała błagalnie.

Kobieta w białym fartuchu uśmiechnęła się.

– Pół na pół. Jak w *Milionerach*.

Podeszły do monitora.

– Na początku mamy kłopot. - Powiększyła obraz. - Ten pierwszy znak to chyba cyfra. Dwójka. Dalej nie mamy szans.

Wprawnym ruchem nacisnęła kilka klawiszy.

– Teraz słowo zaczynające się na N, a może M. Ostatnia litera L. A teraz coś, co cię ucieszy. Mamy dwa ostatnie wyrazy. Tu nie ma wątpliwości.

Na ekranie pojawiły się słowa: „Summer Camp”.

– Jeśli masz rację, to jest to pamiątkowa koszulka z jakiegoś zjazdu. Diabli wiedzą jakiego. Dwójka na początku. Musisz szukać od 2000 roku.

Podziękowała i wyszła. Pół na pół. Po raz pierwszy chciała, by Piotra dziś też dłużej zatrzymali w pracy. Czuła, że czeka ją długi wieczór.

21

To kiedyś wyglądało jak porsche.

Starszy aspirant Mateusz Bednarek przełknął ostatni kęs kanapki z salcesonem i wytarł dłonią wąsy. Nie bez satysfakcji obserwował zachowanie siedzącego naprzeciwko mężczyzny.

Andrzej Kolba przyjrzał się fotografii i odruchowo cofnął głowę. To, co zobaczył, nie przypominało samochodu. Była to raczej jedna z tych instalacji, jakie oglądać można na wystawach sztuki współczesnej. Z pewnością nie było to ekskluzywne auto. Czerwona blacha karoserii owinęła się wokół masywnego pnia. Wyglądało to tak, jakby drzewo przyobleczono w pancerz, który przestał już chronić kierowcę. Wypadek zdarzył się zimą. W kilku miejscach śnieg zmienił kolor i zabarwił się na czerwono. Nieopodal wraka leżała urwana na wysokości ramienia ręka. W prawym górnym rogu ujrzał jeszcze kilka cyferek informujących o dacie i godzinie wykonania fotografii.

– Dużo masz jeszcze tego? - Zirytowany, spojrzał na aspiranta.

Wydobycie informacji, które go interesowały, okazało się trudniejsze, niż się spodziewał. Dwóch policjantów, których poprosił o, jak to ujął, przyjacielską przysługę, kategorycznie odmówiło. Bednarek wahał się, lecz ostatecznie zgodził się pomóc. Siła telewizji, pomyślał Kolba. Nie ma dziś takich, którzy nie mieliby parcia na szkło.

Bednarek odsłonił kolejne zdjęcie gestem pokerzysty pokazującego ostatnią kartę. Fragment potężnego motocykla

tarasował jezdnię i przygniatał ciało pechowego kierowcy. Trudno to było oszacować, ale prawdopodobnie w odległości kilkunastu metrów od szczątków maszyny leżał czarny kask.

– Przyjrzałeś się uważnie? - zapytał Bednarek.

Uczynił to dopiero teraz. To nie był tylko kask. Wypełniała go jakaś zawartość. Domyślił się, co tkwiło w środku. Zbierało mu się na mdłości, jakby sam zjadł kanapkę z salcesonem.

– Kiedyś takich wypadków było mniej. Osiemnaście lat temu motocykliści tak nie szaleli.

– I nie mocowali sobie stalowych linek wokół szyi, by w razie wypadku zginąć na miejscu.

Bednarek popatrzył z politowaniem.

– Nie wierz w to. Pętla śmierci to środowiskowy mit. A co my tu jeszcze mamy? - Przerzucił kilka zdjęć. - Czołówka z tirem, czworo zabitych, cała rodzina, dwa plus dwa, idealnie, jak za Gierka. Dziecko na przejściu dla pieszych. Rowerzysta potrącony przez karetkę pogotowia. O, to jest dobre...

Kolba nie chciał oglądać kolejnych zdjęć.

– Po co mi to pokazujesz?

– Podobno interesuje cię śmierć naszego kolegi. - Bednarek odwinął z folii następną kanapkę. - Chciałem ci pokazać, że Pełka nie pracował w przedszkolu. Pourywane nogi, zmasakrowane ciała, ranni krzyczący z bólu albo powypadkowego szoku. Trupy śnią ci się po nocach. Nie wszyscy to wytrzymują.

– Prosiłem cię o ten wykaz. Masz go dla mnie?

– I teraz wyobraź sobie, że widzisz takie obrazki każdego dnia. - Policjant zignorował pytanie. - Pod względem liczby wypadków

jesteśmy najlepsi w Europie razem z Grecją i Rumunią. Pracujesz u kryminalnych i podziwiasz takie widoki raz na jakiś czas, a tu...

Bednarek sięgnął do torby i wyjął kilka kartek. Na pierwszej pozostawił tłusty odcisk palca. Dziennikarz przebiegł wzrokiem dokumentację. Rzeczywiście, sporo tego. Niemal codziennie mniejsza lub większa sprawa. Popatrzył na daty. Wdowa mówiła, że z Pełką stało się coś latem. Może to nie było lato, ale późna wiosna? Czytał daty i lakoniczne opisy zdarzeń. Dotarł do 15 czerwca i jego serce zabiło mocniej. Przeczytał notatkę jeszcze raz.

– A ten wypadek? Bogusławice. Masz może zdjęcia?

Bednarek przejrzał fotografie i przecząco pokręcił głową.

– Rodzina H. - Kolba z napięciem wpatrywał się w wąsacza. - Czy to ten wypadek, w którym zginęła żona komisarza Heinza? To była głośna sprawa.

Miał wrażenie, że oczy policjanta stały się czujne. Ale równie dobrze mogło mu się tylko tak zdawać. Bednarek wolno przeżuwał kanapkę, jakby chciał zyskać na czasie.

– Myślałem - powiedział wreszcie - że interesuje cię Łukasz, a nie komisarz Heinz.

– Oczywiście. Chodzi mi o aspiranta Pełkę i należne rodzinie odszkodowanie - odpowiedział szybko. - Ale jestem dziennikarzem, a my dopytujemy o rozmaite sprawy. Zupełnie jak wy. - Bardzo się starał, by śmiech brzmiał szczerze.

– Nie pamiętam dokładnie. - Bednarek splótł dłonie na wydatnym brzuchu. - Może to ta sprawa, może inna.

– Wtedy - Kolba zmrużył oczy, jakby próbował coś sobie przypomnieć - prowadziła samochód żona komisarza.

Policjant popatrzył na niego przeciągle.

– Pod zły adres się skierowałeś. Co roku są setki takich spraw. Mój roboczy komputer - uderzył się w czoło - nie jest aż tak sprawny.

– Dobra - dziennikarz machnął ręką zrezygnowany - to i tak nie ma znaczenia, tak tylko pytałem. A masz tę drugą listę?

Bednarek podsunął kolejne kartki. Sprawy obyczajowe, którymi Pełka zajmował się w czasie, gdy zaczął zabijać Inkwizytor. Wykaz rozpoczął się wiosną 1999 roku. Uznał, że wcześniejszych wypadków nie ma co rozpatrywać. Z niezawodnością snajpera znajdującego się na dachu wieżowca namierzył dwa miejsca: Mysłowice oraz Tarnowskie Góry. Dziwka i alfons, których Pełka chciał wziąć w obroty.

Bingo. Miał to, co chciał.

– Sporządzenie tej listy sporo mnie kosztowało - sapnął Bednarek.

– Doceniam to. I to bardziej, niż myślisz. Dlatego niebawem rodzina i znajomi zobaczą cię w moim nowym reportażu. Będiesz naszym głównym ekspertem. A ekspertom - zawiesił głos - należy się stosowne honorarium.

Tym razem nie kłamał. Przyjacielska przysługa za przyjacielską przysługę.

Uścisk dłoni Bednarka był mocny.

– Pokazałem ci te zdjęcia także ku przestrodze - powiedział policjant. - Uważaj na siebie, bo inaczej rodzina nie ujrzy mnie w telewizji.

– To w waszym języku nazywa się pouczenie?

– Tak. Pouczenie.

Oczywiście, że będzie uważał. Wsiadł do samochodu i ruszył w stronę domu. Jak każdy dobry dziennikarz, miał nosa i szczęście. Do wyjaśnienia pozostała sprawa Bogusławic. A potem... Potem witaj,

wielki świecie. Zatrzymał się przed światłami. Poczuł, że pedał hamulca wpada głębiej niż zwykle. Ten passat nadaje się tylko na złom. Zaczął się sypać. Znow czekała go wizyta w warsztacie.

Bednarek wyjrzał przez okno. Passat wyjechał z parkingu, a on wciąż stał oparty o parapet. Starannie wytarł wąsy, jakby szykował się do ważnej, oficjalnej rozmowy. Wyciągnął komórkę i wybrał numer.

Mężczyzna sięgnął po ręcznik, otarł pot z czoła i odebrał telefon. Przez kilka minut uważnie słuchał swojego rozmówcy.

– Dlaczego w ogóle z nim gadałeś? - zapytał.

– Zanim się umówiliśmy, zaczął od tego, że chce przejrzeć listę wypadków z tamtego lata. A później, podczas rozmowy, miałem wrażenie, że bardziej interesuje go komisarz Heinz niż Łukasz Pełka. I tak by dotarł do tych papierów, więc chyba dobrze, że trafiło na mnie.

Przyjacielska przysługa za przyjacielską przysługę. Kilka lat temu ten mężczyzna uratował mu życie, gdy dwóch wyrostków kopało nieprzytomnego aspiranta Bednarka na przystanku tramwajowym przy placu Wolności.

– Powtórz raz jeszcze: jak nazywa się ten dziennikarz? - usłyszał lodowaty głos w słuchawce.

– Andrzej Kolba. Telewizja. Czasem też coś pisuje.

Mężczyzna podziękował i rozłączył się.

Aspirant stał oparty o ścianę. W opuszczonej dłoni trzymał telefon. Myślał o ostatnich słowach, które powiedział do dziennikarza.

Powinien uważać na siebie. I to bardzo. Kolba nic nie zrozumiał. To nie było pouczenie. Dziennikarz został ostrzeżony. Bardzo

poważnie ostrzeżony.

Część II Dwunaste piętro

22

Dobra, Kaszpirowski, jeszcze raz, krok po kroku. Pomału. Jak na spowiedzi - sapnął Maciejewski.

Heinz patrzył na paczkę mocnych leżących po drugiej stronie stołu. Dotychczas radził sobie z brakiem papierosów, ale czuł, że silna wola ulatuje z niego jak powietrze z przekłutego balona. Przesłuchanie rządzi się swoimi prawami. Ze świadkiem, a jeszcze bardziej z podejrzanym, trzeba się sztachnąć. Który już dzień nie palił? Przestał liczyć dokładnie. Będzie z półtora miesiąca.

Naprzeciwko nich siedział pięćdziesięcioletni mężczyzna z głową wciśniętą w ramiona. Mocno przerzedzone czarne włosy spadały na kark, układając się w coś na kształt fryzury czeskiego piłkarza albo Mcgyvera. Policzki niemal stykały się ze sobą, ale najbardziej charakterystyczne były u tego człowieka oczy. Wielkie, nienaturalnie wytrzeszczone i bez wątpienia przestraszone. Kilka razy Heinzowi zdawało się, że gałki wypadną mu z oczodołów i wylądują na biurku obok mocnych oraz zdjęć z twarzami ofiar i odciętymi dłońmi.

– Przecież już wam mówiłem, jak było. - Wypłosz wlepił wzrok w Maciejewskiego. - Jak to, jeszcze raz? - zapytał spanikowany.

– Tylko nie próbuj mnie zahipnotyzować - powiedział aspirant. - Nieczuły jestem na twoje wdzięki. Jeszcze raz. Po kolei.

Kaszipiowski wyjął papierosa, a Heinz poczuł ucisk w żołądku. Jak na złość gumy Nicorette skończyły się, drugi listek zostawił na stoliku w hotelu.

– Jak zwykle było. - Mężczyzna nazywany Kaszipiowskim zaczął opowiadać i czujnie rozejrzał się na boki, jakby wyczuwał, że ktoś jeszcze przysłuchuje się tej rozmowie. - Pracowałem koło Reala, jak każdy porządny dastman, a tu nagle parkuje fura i taki tęgi koleś z niej wysiada. Wiem, kto to jest, więc odkładam torbę, kłaniam się, a on mi z tymi zdjęciami wyjeżdża. Dwóch pierwszych nigdy nie widziałem, ale trzeci to Kolano. Kolano, jak nic.

Zakrztusił się dymem. Odruchowo chciał splunąć, ale w ostatniej chwili spojrzął na policjantów i się powstrzymał.

– Jak się nazywa ten Kolano?

Kaszipiowski wybałuszył oczy i zamilkł. Równie dobrze mógł patrzeć na Maciejewskiego, jak na dzielnicę sąsiadującą ze Śródmieściem.

– Słyszałeś pytanie? - warknął Heinz.

Z trudem powstrzymywał irytację.

Głowa Kaszipiowskiego podskoczyła do góry. Najwyraźniej w języku jego ciała był to ruch oznaczający wzruszenie ramionami.

– Człowieku, a skąd mam wiedzieć? Kolano to Kolano. Wystarczy. Gruby kazał mi przyjechać, powiedział, że jak się nie zgłoszę, to zgon. Po co ja mu się wygadałem - biadolił. - A Kolano? Może dlatego, że łysy był.

Co prawda, to prawda, skąd miał wiedzieć. Z Kaszipiowskim było podobnie. Żadnych dokumentów, NIP-ów, adresów, nie mówiąc o ubezpieczeniach i kontaktach bankowych. Gość statystycznie nie istnieje. Urząd skarbowy nie ma pojęcia o jego kruchej egzystencji i

zawodzie... Jakim? Jak on powiedział? Dastmana. I taki facet przeżył spokojnie kilkadziesiąt lat nienękany przez nikogo. Dlaczego w przypadku tego Kolany miało być inaczej?

– Dowiedziałem się, że tego Kolanę ktoś... - Przełknął ślinę. - No, wiecie... I od razu coś skojarzyłem sobie... To stało się w poniedziałek, prawda?

– W poniedziałek - potwierdził Maciejewski.

– A ja z nim w piątek albo w sobotę rozmawiałem. Opowiadał mi, jak w Wawrze kradli kabel ze słupa wysokiego napięcia. A potem mówił, że wtedy, kiedy oni zwijali ten kabel, na tym osiedlu kogoś zabili. Biznesmena jakiegoś... Kolano podobno kiedyś go poznał, ale pewno jak zwykle tylko się przechwalał.

– Mówił, kiedy to się stało?

– Niedawno. Koniec września jakoś.

Maciejewski ciężko westchnął. Pochylił się nad Kaszpi-rowskim, a prawą dłoń położył mu na ramieniu.

– I co? Ty, honorowy przyjaciel policji, uznałeś za stosowne nas o tym wszystkim powiadomić? Tak się przestraszyłeś Szreka?

Mężczyzna zaczął się nerwowo kołysać na krześle.

– To nie *You Can Dance!* - ryknął aspirant. - I nie *Taniec z gwiazdami!* Słuchaj - zwrócił się do Heinza - ja za chwilę przetrączę mu ten garb!

Heinz odciągnął Maciejewskiego w stronę drzwi. Coś mu szepnął do ucha. Aspirant popatrzył na niego zdziwiony, odwrócił się i trzasnął drzwiami.

Komisarz wrócił za biurko i ciężko opadł na krzesło.

– Widzisz, wyprowadziłeś mojego kolegę z równowagi - powiedział łagodnie.

- Tak naprawdę chodzi o to, że ja tego Kolana znałem - przekrwione białka wpatrywały się w Heinza. - Ktoś go zabił. Przestraszyłem się. Nie chciałem, by... - urwał.

- By zabójca uznał, że znałeś go lepiej, niż się zdaje, tak?

Kaszirowski przytaknął.

- A jak jeszcze zobaczyłem te odcięte ręce... Jezu... Ktoś chciał go ukarać.

Teraz to komisarz wpatrywał się w przesłuchiwanego. Na moment zapomniał o papierosach i głodzie nikotynowym.

- Możesz powtórzyć? - poprosił cicho. - Ostatnie zdanie.

- Ktoś chciał go ukarać. - Kaszirowski zdziwiony patrzył na policjanta. - Przecież są takie kraje, gdzie za kradzież odcinają ręce, prawda?

Do pokoju przesłuchań wrócił Maciejewski. W dłoni trzymał zwiniętą w rulon gazetę. Bez słowa wręczył ją Heinzowi.

Gdy przesłuchanie dobiegło końca, wypłosz odetchnął z ulgą. Próbował się nawet uśmiechnąć. Wszyscy trzej wyszli na korytarz. Maciejewski szedł z przodu, Heinz zamykał pochód.

- Dalej to ja już trafię sam, panie komisarzu - powiedział dastman.

- Sam to trafisz do piekła - mruknął Heinz.

Przechodzili obok męskiej toalety. Komisarz gwałtownie szarpnął garbusa za rękę, a barkiem naparł na przymknięte drzwi. Z impetem wpadli do środka. Młody policjant w mundurze, który stał przy umywalce, odwrócił się i popatrzył na nich z przerażeniem. Heinz wskazał głową na drzwi. Młody wytarł ręce w spodnie i wybiegł z toalety. Przy drzwiach natknął się na Maciejewskiego. Aspirant skrzywił się, jakby zjadł cytrynę, a potem zatarasował sobą wejście.

Przez parę minut nikt tam się nie dostanie. Przerwa techniczna. Jak w środku nocy na dworcu.

Heinz pociągnął Kaszpirowskiego w stronę okna. Wykręcił mu rękę i rąbnął nią o parapet. Mężczyzna jęknął i skulił się. Komisarz wciąż miał ze sobą zawiniątko. Wydobył z gazety bagnet i przystawił ostrą krawędź do nadgarstka.

– Jezu, co pan? - wyszeptał Kaszpirowski. Targały nim spazmy.

– Jezus ci nie pomoże. Ukrzyżowanie to mały pikuś. Zobaczysz zaraz, jakie ja urządzę ci rekolekcje - wycodził przez zaciśnięte zęby.

Był wściekły. W bluzie, którą miał na sobie, było mu zdecydowanie za gorąco. Krawędź bagnetu mocniej docisnęła nadgarstek.

– Złodziejom odcina się dłonie, tak? Nie wciskaj mi, Kaszpirowski, kitu - syknął. - Przyłazłeś tu śmiertelnie przerażony. Dlaczego? Byłeś tam wtedy nocą i razem z Kolanem kradłeś ten kabel? Mów!

– Panie komisarzu... - błagalnie zaczął Kaszpirowski.

– Nie interesuje mnie ten zasrany kabel! - ryknął komisarz. - Nie moja działka, rozumiesz? Ta rozmowa jest tylko między nami! Byłeś tam i powiedz, co widziałeś? Czego się boisz? Zabójca, takim jak Kolano, jak ty - popatrzył w wyłupiaste przerażone oczy - odcina dłonie. Właśnie tak! - Rączka bagnetu drgnęła w dół.

Po dziesięciu minutach wyszli z toalety. Kaszpirowski rozcierał sobie nadgarstek i mrucał coś pod nosem, jakby nie dowierzał, że wciąż ma całą rękę. Miał czerwoną twarz, jakby ktoś go nagle zawstydził. Czoło Heinza pokrywały kropelki potu.

– Gorąco, co? - zapytał Maciejewski.

Komisarz przytaknął.

– Prosiłem cię o zwykły nóż. Skąd wzięłeś bagnet?

Aspirant wzruszył ramionami.

– To dowód rzeczowy w jednej takiej sprawie. Porachunki między kibolami Polonii i Legiuni. Bałagan z tymi dowodami straszny, ale lepiej, by akurat ten wrócił na miejsce.

23

W milczeniu przekazywali sobie zdjęcie z rąk do rąk. Karloff odebrał telefon i gdzieś wyszedł. Heinz z roztargnieniem spojrzął na niebieską plamę i jaśniejsze punkciki układające się w jakieś litery.

Myślni był gdzie indziej. Odtwarzał w głowie rozmowę z Kaszpirowskim. Tę drugą. Gdy pogadali sobie szczerze. Tak od serca.

– Kosztowało mnie to zarwaną noc, ale chyba coś mamy - usłyszał głos Jowity.

Spojrzął na policjantkę. Czuł, że jest dumna ze swojego odkrycia. I że z trudem to skrywa. W kącikach oczu dostrzegł niewielkie zmarszczki, wcześniej dobrze ukrywane pod warstwą korektora.

– Morderca sfotografował nie tylko pomnik Le Corbusiera. Przypadkiem w kadrze znaleźli się dwaj turyści należący do zorganizowanej grupy, o czym mogły świadczyć identyczne T-shirty, które mieli na sobie. Poprosiłam nasze laboratorium o odczytanie napisu na koszulkach. Największy problem był z jednym słowem... Nie będę wam tego szczegółowo referowała. Ostatecznie zrekonstruowałam ten napis: Medical Summer Camp.

– Zjazd lekarzy. Doktor Śmierć... Nieźle. - Prałat z uznaniem patrzył na Jowitę.

– Poszperałam w Internecie. Tak naprawdę to zajęło najwięcej czasu. Koniec końców: mamy rok 2005, kwiecień i Medical Summer

Camp zorganizowany przez francuską firmę farmaceutyczną LaboFraC.

– LaboFraC? Na koszulce nie ma takiego napisu - zaprotestował Krygier, wpatrując się w odbitki.

– Owszem, jest. - Jowita założyła okulary, jakby chciała dodać sobie powagi. - Jest na plecach. Jak u piłkarzy. Oczywiście na tym zdjęciu tego napisu nie widać. Ale znalazłam w sieci inne fotografie z tego zjazdu lekarzy, więc wiemy to na pewno.

– Czyli co? - zapytał Maciejewski. - W 2005 roku odbyła się wycieczka do Indii dla zaprzyjaźnionych z koncernem lekarzy?

– Taka nagroda za lojalność i wciskanie pacjentom kitu w postaci firmowych produktów. Może chodzi nawet o jakieś testowane leki, zresztą to nieważne. Pomyślałam sobie, że nasz doktorek był wśród tych szczęśliwców. Dziś rano wysłaliśmy służbową drogą pytanie do Francuzów, czy w tej grupie byli lekarze z Polski, i...

I teraz czekasz na odpowiedź, siedząc jak na szpilkach, pomyślał Heinz.

– I na razie cisza - dopowiedziała.

– Naprawdę dobrze się spisałaś - powiedział Krygier.

Szef nie był skory do pochwał. Uważał, że dobre wykonywanie roboty jest czymś całkowicie naturalnym. W ciągu wielu lat, jakie przepracowali razem, Heinz usłyszał z jego ust pochwałę... No właśnie, ile razy? Dwa. Może trzy.

– A co z tym Kolanem? - Krygier zmienił temat. - Namierzyliście go? Wiemy coś o tym?

Heinz chciał odpowiedzieć, ale nie zdążył.

– Wiemy - usłyszeli głos w drzwiach.

Wszyscy spojrzeli na Karloffa. Tak musiał wyglądać Kolumb, gdy odkrył Amerykę.

– Matka Boska od Daktyloskopii nam pomogła. Mamy hit! Ślady na strzykawce udało się dopasować do tych, które są w naszej bazie.

Usiadł na krześle, odsunął słone paluszki i zdjęcie z niebieską plamą, jak gdyby unieważniając element śledztwa rozpracowywany przez Jowitę. Wątek z LaboFraC niespodziewanie znalazł się na marginesie. W tym momencie nikt już o nim nie pamiętał. Nikt poza policjantką.

– Andrzej Stopa. Lat czterdzieści osiem - zaczął czytać. - Dwadzieścia lat temu dostał trzyletni wyrok za udział w ciężkim pobiciu. Zwolniony po półtora roku za dobre sprawowanie. Później krótki wyrok za kradzież sprzętu AGD. Od tego czasu czysta karta, choć też nie do końca.

Przerzucił kolejną kartkę.

– W 1994 roku zdarzyła się dziwna historia. Stopa pracował na peryferiach Warszawy, w jakiejś szwalni...

– Szwalni? - zdziwiła się Jowita.

– Oczywiście nie pracował przy maszynie do szycia. Był kimś w rodzaju nadzorcy czy komendanta obozu. Wiecie, o czym mówię.

Oczywiście, że wiedzieli. Prywatne zakłady zatrudniające dziewczyny z Białorusi, Ukrainy, Mołdawii, a także innych byłych republik Związku Radzieckiego przypominały raczej obozy pracy niż przedsiębiorstwa. Otoczone murem i oświetlone reflektorami. Na miejscu wytresowane psy, pilnujące, by nikt niepowołany nie dostał się do środka. Paszporty składowane w sejfie i oddawane dopiero

przy wyjeździe. Praca dniami i nocami, wbrew wszelkim przepisom i normom. Walki bez zasad w klatce okolonej drutem kolczastym.

– Stopa - ciągnął Karloff - był zamieszany w gwałt na Ormiance.

– Co to znaczy: był zamieszany? - przerwała ostro Jowita.

– To znaczy, że figuruje w naszej bazie operacyjnej, ale zarzutów mu nigdy nie postawiono. Nikomu wówczas nie postawiono. Zresztą ta dziewczyna wyjechała z Polski i sprawę uznano za zamkniętą.

Jak wiele podobnych, pomyślał Heinz.

– Ten, u którego pracował, nazywał się Mateusz Dudziński? - zapytał komisarz.

– Skąd wiesz? - Kolumb zobaczył pierwszych Indian.

Jasnowidzenie. Rentgen w oczach. Kolejne nadludzkie przymioty komisarza Heinza.

Biznesmen. Kolano chwalił się, że kiedyś go poznał, przypomniał sobie fragment zeznania wypłosza. Jego oficjalnej części odbytej w pokoju.

– Razem z Andrzejem - komisarz spojrzął na Maciejewskiego - przesłuchiwałeś dziś świadka. - Zdobyliśmy, by tak rzec, pewną wiedzę operacyjną.

Aspirant zakrztusił się kawą. Omal nie chlusnął czarnym płynem na stół.

Heinz opowiedział, co zdarzyło się w jedną z parnych wrześnieowych nocy.

We czterech pojechali do Wesołej. Mieli ukraść kabel telefoniczny. Miedź to miedź. W punktach skupu dobrze płacą. Zaczęli grzebać przy studzience, gdy rozległ się dźwięk alarmu. Miesiąc wcześniej w tym samym miejscu udało im się bez problemu. Szybko się zebrali. Za kilka minut przy studzience z pewnością pojawiłyby się

samochody z ochroniarzami. Byli wściekli. Niepocieszeni, jak ujął to Kaszpirowski. Pojechali do Falenicy i wypili dwa jable. Wtedy Kolano wpadł na pomysł. Małe osiedle w pobliżu. Kilka domów na krzyż. Nie wyszło pod ziemią, wyjdzie nad ziemią.

Podeszli na osiedle i obserwowali teren. Ktoś wszedł na posesję Dudzińskiego. Znał ten teren, więc poszedł rozejrzeć się przed robotą. Ten ktoś miał kaptur na głowie. Najpierw skierował się w stronę okna, potem szybkim krokiem poszedł w lewo. Znikł. Nic więcej nie było widać.

Nie zaczęli ciąć od razu. Postanowili poczekać i pokłócili się. Najpierw poszło o ostatnią butelkę. Przecież wszyscy widzieli, że Kolano wypił więcej od innych. Co najmniej trzy łyki więcej. Potem posprzeczali się o to, który ma się wdrapywać na słup i ciąć. Wiadomo, czasem się na słup wejdzie, ale już z niego się nie zejdzie. W losowaniu wypadło, że po kabel pójdzie najmłodszy, taki szczaw jeszcze. Jak się nazywał? Tego Kaszpirowski nie powiedział. Mniej wiesz, krócej cię przesłuchują.

Zwijali kabel, gdy usłyszeli jakiś hałas. Od Dudzińskiego ktoś wychodził. Ta sama postać z zasłoniętą głową w obszernej bluzie, jak u hip-hopowców. Zagrzmiało i zaczęło padać. Ten ktoś pobiegł w stronę bocznej uliczki. Rozległ się dźwięk odpalanego silnika. Oni też działali w pośpiechu. Musieli zdążyć przed ochroną i pogotowiem energetycznym.

Ale banalna kradzież to nie wszystko. Jest jeszcze jedna niespodzianka. Kaszpirowski spotkał się z Kolanem dzień lub dwa przed jego śmiercią. Kolano wyjął z kieszeni skrawek gazety. Napisali o kradzieży kabli, ale głównie o tajemniczej śmierci biznesmena, Mateusza D. Znalezione go martwego w salonie na

krześle. Policja wyklucza udział osób trzecich. Przypuszczalna przyczyna zgonu: rozległy zawał serca. Ale przecież było inaczej. Kolano zauważył, że ktoś podchodzi do okna. A potem widzieli uciekającą postać. Pośmiali się z policji i wypili. Psy jak zwykle węższą nie tam, gdzie trzeba. A w poniedziałek... W poniedziałek Kolano nie żył. A jeszcze odcięte dłonie. To nie mógł być przypadek.

Heinz zreferował przebieg rozmowy w toalecie. Pomiął milczeniem udział Kaszpirowskiego w kradzieży kabla. Umowa zobowiązuje. Nawet zawarta z takim łachem.

W pokoju zebrania zapadła cisza. Który już raz zachowywali się w ten sposób? Śledztwo zbaczało na kolejny nieoczekiwany tor. Wątki rozjeżdżały się. Przypominały piłki w rękach niewprawnego zonglera. Za chwilę potoczą się po całej arenie. W tej sprawie od początku musieli pociągnąć za kilka sznurków naraz.

- To mamy pasztet - powiedział Krygier. - Pasztet z zielonymi odleżynami. Podsumujmy, co wiemy. - Sięgnął po papierosa i zapalił.

Gryzący dym zalegał nad konferencyjnym stołem. Gaz musztardowy użyty pod Ypres to było małe piwo. Prałat zaczął ostrzegawczo kaszleć, ale na Krygierze nie zrobiło to wrażenia.

- Morderca - zaciągnął się, gdy Heinz w akcie desperacji sięgnął po słonego paluszka - ma praktyczny kontakt z medycyną. Czekamy na odpowiedź od żabojadów. - Spojrzał na Jowitę. - Trop z LaboFraC jest rozwojowy. I mamy całkowicie coś nowego... - Popatrzył na Heinza i Maciejewskiego ciężkim wzrokiem. - Dzięki operacyjnym zdolnościom naszych kolegów. Ten cały Stopa... Stopa, Kolano, jak wolicie, miał to i owo na sumieniu. Ciężkie pobicie...

– Mało prawdopodobne, by ktoś się za to mścił po tylu latach. -
Prąłat odkaszlnął, zasłaniając usta dłonią.

Założ sobie maseczkę. Pożycz od Michaela Jacksona.

– Dlatego sprawdzisz ten ślad. Spróbuj odnaleźć jego rodzinę -
odpowiedział Krygier. - W końcu sam masz nieprawdopodobny
talent.

Karloff klepnął się z całej siły w uda i wyprostował na krześle.

– Jest jeszcze sprawa tej Ormianki i śmierć Dudzińskiego. -
Inspektor dusił niedopałek w prowizorycznej popielniczce z papieru.
- Ktoś tego magnata od tekstyliów odwiedził.

– Kolano to mitoman. Jak wielu do niego podobnych -
powiedziała Jowita. Heinz wyczuł w jej głosie urazę. Tak, jakby z
trudem skrywała żal, że odkrycie dotyczące LaboFraC zostało
zlekceważone. - Opowiedział tę historyjkę o Dudzińskim, by zrobić
wrażenie... Naciągnąć kumpli na kolejnego jaboła.

– Te sprawy się ze sobą łączą. Nie wiem jeszcze jak, ale się łączą -
zaprotestował Heinz. - Kolano miał skłonność do nadużywania
przemocy.

Mógłby dodać, że nie on jeden. Wśród policjantów, wspomniał
Kaszpirowskiego, też się to zdarza.

– Mamy ciężkie pobicie. Oraz tę Ormiankę. O tym wiemy. A może
jeszcze coś na koncie, o czym nam nie wiadomo? Jest wreszcie ten
biznesmen od szwalni.

– Przecież nikt go nie zamordował - zaproponował Karloff. - Pompa
mu siadła. Odcięli mu prąd. Dosłownie i w przenośni.

– Trzeba to jeszcze raz sprawdzić - upierał się Heinz. - Dudziński
jest wspólnym mianownikiem. Łącznikiem między gwałtem na

Ormianie, kradzieżą kabli, w której uczestniczył Kolano, wreszcie śmiercią tego ostatniego. I odciętymi dłońmi.

– Czy przy Kolanie znaleziono gazetę? - zapytał Maciejewski. - Tę, którą pokazywał Kaszpirowskiemu.

Tego nie wiedzieli.

– Może morderca miał powód, by zabrać tę gazetę ze sobą? - zapytał Heinz. - Zabrał ją, byśmy nie wpadli na właściwy ślad. Ten człowiek się mści, to pewne. Dotychczas nie wiedzieliśmy, dlaczego chce zemsty. Teraz mamy pewne poszlaki. I wreszcie zabójca ma kontakt z medycyną. Może nawet miał coś wspólnego z LaboFraC. Te tropy się nie wykluczają. One się krzyżują - powiedział, patrząc na Jowitę, jakby chciał w ten sposób zakopać niewidzialny topór wojenny tkwiący między nimi.

Wiele razy zdarzało się, że sprawa nabierała nowego wymiaru. To tak, jakby gwałtownie przeskoczyć od nagrań w systemie mono do kwadrofonii. Chciał po południu pojechać do dzielnicy Wawer, ale okazało się, że szef komendy jest na zwolnieniu lekarskim. Zadzwoił do niego na komórkę. W słuchawce usłyszał łatwo wyczuwalną niechęć. Szukacie dziury w całym. Mieszacie, a gość miał banalny zawał. Po co to wszystko? Ostatecznie umówił się z komendantem na następny dzień.

Wrócił do hotelu i pierwszy raz od dawna nie wiedział, co ma ze sobą począć. Potrenuje. Zrobił pompki na palcach i na nadgarstkach, a potem przeszedł do układu technik nazywanego się *Bassai Dai*, czyli Zdobywanie twierdzy. Wykonał pierwszy ruch, jakby wyważał zaryglowane drzwi i wpadał pomiędzy niewidzialnych przeciwników. *Bassai Dai*. Będzie musiał wdrzeć się w życie Dudzińskiego, tak jak wcześniej czynił to w dziesiątkach innych

wypadków. Żył cudzym życiem. Bez tych życiorysów i brudnych tajemnic, w które wnikał latami, byłby pusty jak sklep na kilka godzin przed ostateczną plajtą.

Zadzwoił do Kastoriadisa, lecz ten nie odbierał. Pewnie katował kolejnego ucznia. Albo samego siebie. Niespodziewanie pomyślał o ojcu. Nigdy nie pragnął dostać się do jego świata, nie chciał zrozumieć, dlaczego wiele lat temu postąpił tak, a nie inaczej. Wyjechał i ślad po nim zaginął. Ciekawe, czy emerytowany piłkarz też nie śpi po nocach? Czy śnią mu się koszmary?

Wyszedł z hotelu i poszedł w kierunku ulicy Jagiellońskiej. Minął kino Praha wskrzeszone po liftingu. Gdy był tu ponad rok temu, dopiero oddawali je do użytku. Wyjechał z Warszawy przed otwarciem. Popatrzył na płaskorzeźbę z Romanem Wilhelimim i spojrzał w niebo. Stalowe chmury wisiały nad miastem. Lada chwila rozpada się, i to na dobre.

Znalazł aptekę i kupił kolejne listki gumy. Jeszcze nie pękł. Czuł, że tym razem, za czwartym lub piątym podejściem, uda się mu rzucić palenie. Wszedł do sklepu, kupił piwo, czekoladę z orzechami i sok pomidorowy. Alkohol wypłukał z niego magnez i potas. Już raz obudził się w nocy z bolesnym skurczem w nodze. Szybkim krokiem wrócił do hotelu. W ostatniej chwili lunął deszcz.

Wyrwał kartkę z notesu. Zapisał dwa nazwiska. Stopa i Dudziński. Uruchomił laptopa i włączył płytę z największymi przebojami Thin Lizzy. Zabrzmiały pierwsze takty *The Boys Are Back in Town*. No właśnie. Chłopaki. Jeden zamieszany w pobicie i gwałt. Czy to możliwe, by ktoś zabił Stopę i dwóch pozostałych w akcie zemsty?

Złodziejom odcina się dłonie. Oczywista oczywistość. A może odcina się je także tym, którzy zrobili krzywdę dziewczynie.

Pomyślał o obozie pracy i Ormiance. Musi odgrzebać tę sprawę. Dokopać się do niej jak kret. Czy ci dwaj pozostali, z Żerania i Siekierok, ci, których nie udało się zidentyfikować, mieli z tym gwałtem coś wspólnego? Przypomniał sobie uwagę aspiranta Prałata. Kto chciałby się mścić po tylu latach?

A jeśli ta sprawa jest całkiem świeża? Jeśli ktoś przyczynił się do śmierci Dudzińskiego, a teraz likwiduje kloszardów, którzy byli przypadkowymi świadkami zdarzenia. Ten kretyn z wyłupiastymi oczami mógł przecież kłamać, znał nie tylko Kolanę, ale i dwie pozostałe ofiary. Nie. To chyba niemożliwe. Bezdomny z Żerania i kloszard z Siekierok mieli swoje lata. Na słupy najczęściej wspinają się nastoletni gnoje z ułańską fantazją i bezmózgowiem.

Poza tym Dudzińskiemu nikt nie pomógł w zejściu z tego świata. I jeszcze jedno zastrzeżenie - skąd ten potencjalny zabójca miałby wiedzieć, że ktoś go widział? Musiałby być jakimś wnukiem Supermana.

Heinz nie był ani jasnowidzem, ani Supermanem. Thin Lizzy grało *Whiskey in the Jar*, piosenkę o rozbójniku, którego zdradziła kobieta. Tego wieczora Rudolf Heinz upił się i czuł, że odtrącił go cały świat. Próbował wybrać numer do syna, ale nie mógł trafić we właściwe klawisze. Zrezygnowany, poddał się. Zasnął i nie słyszał, gdy oddzwaniał Kastoriadis.

24

Więc wiele to ja panu nie pomogę. - Podkomisarz Borucki wytarł zapuchnięty nos i rzucił chusteczkę do stojącego w kącie kosza. Papierowa kulka odbiła się od krawędzi i wylądowała w środku.

Pięć trafionych na pięć prób. Rzuca jak Michael Jordan.

- Zbierzmy to jeszcze raz - poprosił Heinz. - Żebym miał pełen ogląd sytuacji.

Borucki westchnął zrezygnowany. Bolała go głowa, miał gorączkę i zaczerwienione zatoki. Powinien leżeć w łóżku, a nie siedzieć w swoim pokoju na komendzie przy ulicy Grenadierów. Rano miał nawet ochotę odwołać spotkanie, ale wówczas zadzwonił telefon z Pałacu Mostowskich. Zrozumiał, że to jedna z tych prośb, którym się nie odmawia, chociaż naprawdę nie wiedział, czym spowodowane jest to całe zamieszanie. Mateusz Dudziński zmarł we własnym domu w piątek wieczorem, 26 września. Wprawdzie nie umarł, jak to zwykle bywa, w pozycji horyzontalnej, ale nikt mu w tej śmierci nie pomógł. Przynajmniej nikt, kto wzbudzałby zainteresowanie policji.

- O zgonie zawiadomiła nas firma chroniąca posiadłość.

Heinz ponownie rzucił okiem na zdjęcie. Gdy widział je po raz pierwszy, pomyślał, że Borucki się pomylił i pokazał mu płytę lotniska na Okęciu.

- Ta sama firma obsługuje jeszcze dwóch innych właścicieli domów - poinformował Heinza. - Odcięcie prądu uruchomiło u nich system alarmowy.

- A u Dudzińskiego?

- Ten facet miał obsesję związaną z monitoringiem. Ponad trzydzieści kamer. Tyle że i posesja ogromna. Sprawdziliśmy, że miał dwa dodatkowe systemy zasilania, jeden dla kamer, drugi dla pozostałych urządzeń w budynku.

- Powiedział pan, że trzynastego września zadzwonił do ochrony, by przełączyli mu alarm?

Borucki spojrział do notatek.

- Padł mu jeden z akumulatorów i kamery przestały działać. Chiński szajs. - Podkomisarz skrzywił się. - Ludzie wydają kupę kasy na taką hawirę, sprzęt, samochód, a potem oszczędzają na duperelach. Nigdy tego nie zrozumiem. Tak - raz jeszcze zerknął w papiery i upewnił się - trzynastego poprosił, by alarm zintegrowano z drugim akumulatorem. Ale i ten nadawał się na złom. Gdy padła zewnętrzna sieć, drugi akumulator podziałał czterdzieści pięć minut, a potem padł.

Między wezwaniem ochrony na osiedlu, a alarmem u Dudzińskiego minęły właśnie trzy kwadransy?

Podkomisarz wyjął z paczki kolejną chusteczkę.

- Tak było. - Wytarł nos. - Zresztą to nie jest żadne osiedle. To nazwa na wyrost. Zwyczajowo tak się mówi, ale tak naprawdę to są pojedyncze domy. Ogromne posiadłości, jak z brazylijskiego serialu. Ten Dudziński mieszkał najbardziej na skraju, z dala od innych, jego posesja przylegała do lasu. Chyba kiedyś była jego częścią.

Heinz popatrzył na zdjęcie Dudzińskiego siedzącego ze spuszczoną głową w czarnym fotelu. Mężczyzna w czarnej koszulce polo siedział plecami do regału, na którym bezładnie piętrzyły się książki i płyty. Obie dłonie zacisnął na poręczach, jakby chciał wstać i nagle zabrakło mu sił. Wyglądał, jakby spał. Ochroniarzom też się tak w pierwszym momencie zdawało.

- Tu naprawdę nie ma co szukać dziury w całym - tłumaczył cierpliwie Borucki. - Gość umarł - westchnął. - Koniec. Kropka. Nie zabili go ochroniarze ani złodzieje kabla. Ani nikt inny. Dudziński prowadził samotnicze życie. Firma, dom, firma, dom. Zdarzyło się, i tyle. - Policjant wzruszył ramionami.

- A rodzina? Krewni? Z kim mógłbym porozmawiać?

– Tu też sprawa była prosta. Nie miał nikogo, poza jedną osobą. O śmierci powiadomiłem jego żonę. Była żoną. Od rozwodu w 1995 roku przebywa w Stanach. Rozmawiałem z nią krótko. Przyjęła wiadomość o jego śmierci dość chłodno. Wywnioskowałem, że raczej nie należała do fanklubu byłego męża.

Heinz zapisał jej numer telefonu. I kilka innych do firmy, którą Dudziński kierował.

– Mam ostatnie pytanie. Pan tak dużo trenuje? - Zamarkował rzut do kosza.

Borucki uśmiechnął się.

– Córki mnie tego nauczyły. Jedna dziewięć, druga siedem lat - powiedział z dumą. - Często chorują zimą. I wtedy tak zabijamy czas.

Tak szybko się mnie stąd nie pozbędą, skoro już tu się przywlokłem.

Rano myślał, że nie wstanie. Bolała go głowa i miał mdłości. Tego kaca nie mógł jednak przeleżeć. Będzie musiał go rozchodzić.

Rozklepać, jak mawiał Kastoriadis.

Najchętniej wypiłby teraz piwo. Przeglądanie zapisu z monitoringu było torturą i oczywistą stratą czasu. Na wszelki wypadek postanowił jednak sprawdzić ten ślad. Może ktoś obserwował dom Dudzińskiego? Może trafi szóstkę w Lotto i natknie się na tajemniczego człowieka z kapturem na głowie, który odwiedził Dudzińskiego w wieczór jego śmierci? A gdyby tak natknął się na tych żuli, amatorów kradzionych kabli? To też byłoby coś.

Marzenia ściętej, ciężkiej od pijaństwa głowy, prawda, Heinz?

Poprosił, by odszukano film pokazujący bramę i otaczający ją teren. To i tak cud, że tu, na Grenadierów, mógł obejrzeć ten zapis. Pierwszy raz z uznaniem pomyślał o komendancie Boruckim, który zatrzymał filmy. Chłop chyba rzeczywiście się starał, choć pole do popisu miał przy tej banalnej sprawie ograniczone.

Heinz przesiedział dwie godziny, obserwując najczęściej nieruchomy obraz. Raz starsza kobieta w czerwonym płaszczu przeszła z psem. Usłyszał krzyk bawiących się dzieci, chociaż nie ujrzał ich w kadrze. Piaszczystą drogą przejechali śmieciarze, nie zatrzymując przy posesji, a czterdzieści minut później tę samą drogę pokonała koparka.

Nuda. Jak w tasiemcowych przemówieniach Fidela Castro. Jak w kinie moralnego niepokoju.

Może powinien przysłać tu Prałata, by obejrzał wszystko minuta po minucie i zrobił szczegółowe notatki? Nikły uśmiech nie był w stanie zatuszować cierpienia wyrytego tego dnia na jego twarzy.

- Ciężki wieczór był, panie komisarzu? - zapytał posterunkowy, którego dali mu do pomocy. - Już czwartą szklanekę wody pan pije...

- Jakieś suche powietrze tu u was. - Spojrzał na policjanta przekrwionymi oczami. - Wysusza mi błony śluzowe. Nalej mi jeszcze jedną.

25

Z trudem przemógł ból głowy i pojechał do Pałacu Mostowskich. Natknął się na Jowitę i wziął od niej dwie aspiryny. Spodziewał się kaśliwej uwagi, ale policjantka nie skomentowała jego prośby. Chciał spytać, czy firma farmaceutyczna przysłała odpowiedź, nie miał jednak siły. Jemu samemu przydałaby się pomoc. Przetaczanie krwi, jak u Rolling Stonesów, lub kroplówka z witaminą C.

Zadzwoił do firmy, która ochraniała dom Dudzińskiego. Trochę trwało, zanim połączono go z kimś, kto był poinformowany o tej sprawie.

– Z naszej strony - usłyszał na wstępie - nie było żadnego zaniedbania.

Wy tłumaczył, że to nie o to chodzi. Nie dzwonił po to, by doszukiwać się uchybień. Może w ostatnim czasie zdarzyło się coś, co odbiegało od normy? Niekoniecznie u samego Dudzińskiego, ale gdzieś w okolicy. Albo któryś z patroli coś dziwnego zauważył?

Nic. Cisza w słuchawce. Jakby rozmówcy odjęło mowę.

– Dudziński od dawna był waszym klientem?

– Od ośmiu lat. To akurat sprawdziłem. - Głos mężczyzny zabrzmiał pewniej. - Przeniósł się do nas od innej firmy.

– Zastanawia mnie tych trzydzieści kamer. To chyba bardzo dużo, nawet jak na taką posiadłość?

Ból głowy powoli odpuszczał. Spojrzał na zegarek. Minęła trzecia. Piętnasta dziesiątka do Yumy. Najwyższy czas, Heinz, zbierać się. Już czas, byś wrócił do żywych.

– Dużo, niedużo... - Rozmówca żuł odpowiedź w ustach. - No... dużo. Ale ten Dudziński miał chyba świra na punkcie bezpieczeństwa. To był dobry klient, więc miał z nami specjalną umowę. Dłużej przechowywaliśmy nagrania z monitoringu. Zwykle też można nas wezwać, tak kontrolnie, dwa razy w miesiącu. A on robił to bez opamiętania. Jakby przez złośliwość. Albo z nudów. Przecież tam u niego nigdy nic się nie działo.

Przynajmniej powiedziałaś, co ci leży na wątrobie. Wraz z jego śmiercią pozbyliście się balastu.

- A nie zastanowiło pana, dlaczego nie kupił nowego akumulatora, agregatu, czy jak to nazywacie, zasilającego kamery? Skoro tak dbał o własne bezpieczeństwo...

Znowu cisza. Jak na koncercie w filharmonii. W oddali usłyszał dźwięk telefonu i cichy kobiecy głos nęcący najpewniej kolejnego klienta.

- Nie pomyślałem o tym. Wie pan, ci milionerzy są naprawdę pokręcani. Najpierw wydają majątek na system zabezpieczeń, a potem zaniedbują takie szczegóły. Z pazerności, czy co? Zresztą pan Dudziński co jakiś czas sam wyłączał kamery.

- Jak to: sam wyłączał kamery? - zdziwił się Heinz.

- Miał taką możliwość. Wprowadzał kod, unieruchamiał system i my wtedy wiedzieliśmy, że nic się nie stało. Że nie ma powodu do interwencji.

Tym razem milczał Heinz. Musiało dotrzeć do niego to, co przed chwilą usłyszał.

- Chce pan powiedzieć, że Dudziński miewał różnych gości i wolał, by nikt tych odwiedzin nie widział? A już tym bardziej, nie zarejestrował kamerą? By nie było śladu po spotkaniu?

- To pan już powiedział. Dyskrecja to jedna z głównych wartości, którymi kierujemy się w firmie.

Ciekawe, czy będziesz taki dyskretny, jak naślę na was prokuratora.

- Od momentu awarii sieci osiedlowej do chwili, gdy wkroczyliście do Dudzińskiego, minęło czterdzieści pięć minut? - upewnił się Heinz. - Jeśli to oczywiście nie kolejna tajemnica waszej firmy.

- Tak było. - Rozmówca najwyraźniej nie wyczuł ironii. - Po czterdziestu pięciu minutach wyczerpał się ten drugi akumulator. Wtedy automatycznie włączył się u nas system alarmowy.

Skończył rozmowę i zamknął oczy. Potarł palcami powieki. Wreszcie doszedł do siebie.

Pomyślał o Dudzińskim. Ciekawe, kto cię odwiedzał? Kto i kiedy? Dlaczego tak bardzo zależało ci, by ukryć to przed światem? *Bassai Dai*. Zdobywanie twierdzy. W życiu Dudzińskiego było najpewniej więcej tajemnic, niż mogło się zdawać.

Ktoś w kapturze miał czterdzieści pięć minut, by pożegnać się z tobą na zawsze. Trzy kwadranse. To cholernie dużo czasu.

Nagle zdał sobie sprawę, że pytania, które stawia, są pozbawione sensu. Przecież Dudziński umarł. Ot tak, po prostu. I nic tego nie zmieni.

Ten zapach trudno z czymkolwiek pomylić. Na szczęście komisarzowi minęły poranne mdłości, bo inaczej mógłby dołączyć do długiej listy tych, którzy ochrzcili prosektorium przy ulicy Oczki. Tynk odłaził ze ścian, kratka odpływowa niebezpiecznie chrzęściła pod stopami. Obiekt dopraszał się o generalny remont, tak jak zmarły domaga się pochówku. Nawet dłoń lekarza wyciągnięta na powitanie wydała mu się nienaturalnie zimna.

- To pan jest tym Heinzem? - Masywnie zbudowany mężczyzna z rudymi, nastroszonymi włosami nie oczekiwał odpowiedzi. Poprowadził komisarza do niewielkiego gabinetu i zamknął za nimi drzwi.

- Co słyhać u mojego przyjaciela Taranienki?

- Niedawno urodził mu się syn. Za czwartym podejściem.

– A widzi pan. - Rudzielec rozpromienił się. - Mówią o nas, że my tylko śmierć, kostucha, zimni chirurdzy i lekarze ostatniego kontaktu, a przecież jesteśmy wyczuleni na ludzkie aspekty życia. Jeszcze becikowe dostanie!

Medyk sądowy nazywał się Jacek Rybak. Według opinii Krygiera był świetnym fachowcem, ulubieńcem studentów medycyny. Mały problem pojawiał się, gdy na stół wędrował topielec. Rybak, topielec, dobry połów... Wówczas medyk był w swoim żywiole. Rozumiesz, Heinz, każdy ma jakieś słabości. Na szczęście Dudzińskiego znaleziono w skórzanym fotelu, a nie w wodzie. To ułatwiało sprawę.

– Pali pan? - Rybak wyciągnął paczkę chesterfieldów. - Zaraz mam ekipę z Akademii Medycznej, muszę się odpowiednio nastroić.

Palę. Mentalnie.

Ulubione papierosy leżały na wyciągnięcie ręki. Z żalem pokręcił głową i cofnął się o krok.

– Wolałem, żeby pan przyjechał do naszego Armagedonu, jakkolwiek proszę nie spodziewać się żadnych rewelacji.

Heinz rozłożył ręce.

– Nie spodziewam się cyrkowych sztuczek, panie doktorze. Wezmę co łaska.

Rybak wyjął z szuflady szarą kopertę i wysypał jej zawartość na stół.

– Mateusz Dudziński - zaczął czytać. - Pięćdziesiąt siedem lat. Zgon nastąpił 26 września między dziesiątą a jedenastą wieczorem. Interwencja ochroniarzy pozwala względnie dokładnie określić czas zgonu. Teraz przyczyna śmierci: *infarctus myocardi*. Zawał mięśnia sercowego.

Popiół z papierosa spadł na stół. Medyk zdmuchnął szary pył na podłogę i podsunął Heinzowi zdjęcie ukazujące czerwoną bezkształtną masę.

– Piękny, szkolny przykład zawału serca. Pokazywałem ten przypadek moim studentom, dlatego zapamiętałem tego Dudzińskiego.

– Wyklucza pan kategorycznie możliwość udziału osób trzecich?

Rybak obrzucił Heinza przeciągłym spojrzeniem. Zupełnie jakby wykonywał cięcie podłużne.

– Komisarzu Heinz - zaczął. - Oczywiście nic nie wykluczam. Coś mogło go wkurzyć, tak jak mnie ostatnio doprowadzili do szału polscy piłkarze. Słyszałem, że był biznesmenem, może w firmie szło coś nie tak. Mamy ciężkie czasy. Za dużo pił i palił. Zresztą przed śmiercią wypił trochę. Zły cholesterol wyskoczył w górę, a dobrego było za mało. Postępująca miażdżycza żył to także nie przelewki.

Rybak ciężko westchnął, jakby chciał pominąć ostatnie zdanie.

– Tyle że to nie są powody - dokończył - by posadzić kogoś na ławie oskarżonych.

To już? Mimo wszystko Heinz spodziewał się więcej po tym spotkaniu.

– Mógłbym opowiedzieć to wszystko przez telefon.

Medyk wyjął z paczki kolejnego papierosa i odpalił od tlącego się niedopałka. Sztafeta pokoleń, pomyślał komisarz. Ciekawe, jak z twoim sercem, doktorzku?

– Tak naprawdę są trzy powody, dla których pana poprosiłem. Pierwszy, by osobiście się pan przekonał, że nikt temu nieszczęśnikowi nie pomógł dostać się na tamten świat.

– A kolejne?

Rybak zamyślił się i wypuścił dym w kierunku, gdzie wisiał plakat z modelem anatomicznym człowieka.

– Dudziński miał coś dziwnego na uchu. Tutaj - podniósł palec - na wewnętrznej krawędzi małżowiny. To była tłusta substancja, jakiś olejek...

– Ale - naciskał Heinz - nie ma to żadnego związku z jego śmiercią?

– Nie ma. Nikt nie wlał mu trucizny do ucha. To nie *Hamlet*. Nic z tych rzeczy. Po prostu informuję pana. Zwyczajna oliwka. I jest jeszcze jedna rzecz.

Wyjął kolejne zdjęcie. Heinz ujrzał kolano i nienaturalne, pofałdowane podudzie poprzecinane bliznami.

– To są blizny sprzed wielu lat. - Wskazał palcem. - Coś go nieźle zmasakrowało w dzieciństwie. Zniekształcone mięśnie od stawu kolanowego do skokowego, podobna blizna na lewej części brzucha oraz na ręce...

– Na dłoni?

– Tak, na dłoni. Tu akurat ślady blizny widoczne są najmniej. Na moje oko to wszystko zdarzyło się wiele lat temu, być może wtedy, gdy był dzieckiem. Rany zostały źle zszyte, pewnie w pośpiechu. Swoją drogą dziwię się, że nie zrobił sobie operacji plastycznej, był bogaty, przecież mógł. Na pewno jednak te obrażenia nie mają związku z przyczyną zgonu. Ale chciałem je panu pokazać.

– Mówi pan, doktorze, że znaleźliście ślady alkoholu. A środki nasenne?

– Prochy? - zapytał zdziwiony Rybak. - Nie, tego w tym udręczonym ciele nie było.

Medyk spojrział na zegarek. Zgarnął zdjęcia i zapisane kartki do koperty.

– Tu znajdzie pan wszystko. Muszę już iść do moich studentów. Chyba, że chce pan zrobić sekcję ze mną. Komisarz z kryminalnych. Dla tych młodych ludzi byłaby to wartość dodana.

– A ma pan szałwika na rozkładzie? Wzdęte gazami płuca i tak dalej?

Widział, że pytanie sprawiło medykowi przyjemność.

– Niestety - rozłożył ręce - dziś to nie topielec. Mam wisielca. *Strangulatio*. Samobójcze zadzierzgnięcie. Też ciekawe. Zresztą dla tych dzieciaków prawie wszystko jest ciekawe.

Puścił do Heinza oko.

– Jak to mówią, komisarzu, co ma wisieć, nie utonie.

26

Wrócił do Pałacu Mostowskich. Sprawa Dudzińskiego była zamknięta, ale coś jednak nie dawało mu spokoju. Wwiercało się jak kleszcz, który niespodziewanie zaatakuje. Ormiański ślad. Ten cały Kolano pracował u Dudzińskiego i był zamieszany w gwałt. Być może szef, chroniąc własną skórę, zatuszował sprawę. A teraz ktoś, po latach, zaczął wymierzać sprawiedliwość na własną rękę.

Zerknął na numery telefonów zapisane przez komendanta Boruckiego. Zadzwoń do jego byłej żony. Jak ona się nazywa? Już nie Dudzińska, lecz Jones. Pani mecenas w znanej kancelarii prawniczej w Nowym Jorku. Która tam teraz jest godzina? Za Wielką Wodą zbliżała się dziesiąta rano.

Za pierwszym razem Heinzowi się nie udało.

– Proszę zadzwonić za pół godziny - usłyszał w słuchawce.

To nie była prośba. Zdanie wypowiedziane niskim kobiecym głosem brzmiało jak rozkaz.

Gdzie powinni zatrudniać się policjanci na emeryturze? W *call center*. Doświadczenie w prowadzeniu rozmów telefonicznych jest kapitałem bezcennym. Jest mi niezwykle miło, że mogę panią zaprosić na prezentację materaców ortopedycznych, pod jaki adres wysłać zaproszenie? Nie może pani? Jaka szkoda. Żadne tam do widzenia, szkoda na to czasu, trzeba dzwonić do następnego klienta.

– A wiesz, że Grzesio się znalazł? - Karloff opierał się o framugę.

– Kto? - zapytał roztargniony Heinz.

– Sterydowy siłacz z Centralnego. Po waszej wizycie nerwy mu puściły. Poszedł pograć na jednoręcznych bandytach. Stracił rachubę czasu i osiem tysięcy przemielił. On nie ma związku z naszą sprawą, ale mówię ci, coś ma na sumieniu. Czuję to. Hipis, nosem. A węch, jak wiesz, mam wyczulony. - Roześmiał się.

Pogadali jeszcze przez chwilę, a potem Heinz wyprosił Karloffa z pokoju. Musiał zadzwonić.

Drugie podejście było bardziej udane.

– Pańscy koledzy dzwonili już do mnie, nie wiem, w czym mogłabym pomóc. Poza tym nie musi składać mi pan kondolencji. On należał do rozdziału, który dawno zamknęłam za sobą.

On. Ani Mateusz, ani były mąż. On. Po prostu ktoś obcy.

– Wiem, że nie utrzymywaliście państwo kontaktu. Czy jednak ktoś mógł pani byłemu mężowi - zaakcentował te słowa - grozić?

– W biznesie zawsze ma się wrogów - prychnęła w słuchawkę. - Ja teraz prowadzę pozew zbiorowy przeciwko dużej firmie farmaceutycznej. I zapewniam pana, nie jest łatwo, jak ich prawnicy

wygrzebują nam sprawy z przeszłości, by podważyć przed sądem naszą wiarygodność.

– Myślę, że nasza rozmowa w niczym pani nie zaszkodzi.

Zastanawiała się chwilę.

– Ale i nie pomoże. Nawet ta jego śmierć, wiem, że dziwnie to zabrmi, też przyszła w niewłaściwym momencie.

Pewnie. Mógł poczekać, aż skończysz swoją sprawę.

– Jeśli mowa o naszych kontaktach... zadzwonił z życzeniami na Boże Narodzenie dwa lata temu. Nie wiem, co go napadło, chyba pijany był. A co do grózb... Proszę zapytać jego odwiecznych biznesowych przyjaciół. Na przykład Jana Dawidowa albo Łukasza Zarembę.

Zapisał nazwiska w notatniku.

– Widziałem, że odniósł kiedyś poważne rany - Heinz zmienił temat.

– Psy pogryzły go w dzieciństwie - westchnęła. - Opowiadał, że o mały włos, a by go rozszarpały. Na szczęście przybiegł wuj z dubeltówką i... Nie lubił o tym mówić.

Zastanawiał się nad kolejnym pytaniem. Nie był pewien, czy powinien je zadać.

– Proszę pana - usłyszał. - Rozmawiamy na wasz koszt, ale ja naprawdę nie mam czasu.

– Czy może mi pani opowiedzieć - zdecydował się - o gwałcie popełnionym na Ormiance w 1994 roku. W szwalni należącej do pani męża. Rozwód wzięliście w następnym roku.

Tym razem w Nowym Jorku zapadła cisza. Po chwili Heinz usłyszał sygnał rozłączenia rozmowy. Bez skutku próbował się połączyć. Numer był zajęty.

Zrezygnował i miał już wracać do hotelu, gdy zadzwonił telefon.

– Przepraszam - usłyszał głos pani Jones. - Zareagowałam zbyt nerwowo. Powinnam kontrolować emocje, zwłaszcza przed czekającą mnie rozprawą. Na szczęście pański telefon mi się wyświetlił...

– No to potrenujmy - przerwał Heinz. Usiadł na obrotowym krześle i założył nogę na nogę.

– Pański sarkazm jest niepotrzebny - powiedziała pojednawczo. - To dla mnie trudna historia. Mąż zatrudniał takich odrażających bydlaków, którzy dobrali się do tej dziewczyny. Zresztą, on sam... - Wyznanie zawieszony w powietrzu przyszło jej z trudem.

– Jeden z nich nazywał się Stopa. Mówili na niego Kolano. Pamięta pani?

– Rzeczywiście był taki. Łysy, zarozumiały cham... Przez krótki czas był szefem ochrony. Tych innych nie znałam. Brzydziłam się nimi, rozumie pan? Nim, moim mężem zresztą też. Te dziewczyny z Białorusi, Ukrainy... To było straszne...

Jej głos się załamał.

– Wie pan - nagle odzyskała siłę - podobno zawsze pierwszy milion zarabia się w brudny sposób. Ale są jakieś granice.

– Chce pani powiedzieć, że pani były mąż te granice przekroczył? Milczała.

– Nie mogłam tego znieść. W dziewięćdziesiątym piątym rozwiedliśmy się. W tym samym roku wyjechałam do siostry, do Stanów. Trzy lata później ponownie wyszłam za mąż. Pozbierałam się. Ułożyłam wszystko od nowa. I nie chcę wracać do przeszłości. Zresztą jaki to ma związek z jego śmiercią? Przecież nikt go nie zabił.

Nie odpowiedział na to pytanie. Pomyślał nagle o czymś zupełnie innym. Strzał w przeciwnym kierunku.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, prowadzi pani sprawę przeciwko koncernowi farmaceutycznemu. Czy zetknęła się pani z nazwą LaboFraC?

– Nie - jej głos stał się czujny - chyba o nich nie słyszałam. A wracając do mojego męża - szybko zmieniła temat - wie pan, że zapisał mi ten dom w Falenicy?

Tego oczywiście nie wiedział.

– I co pani z nim robi?

– Do Polski będę mogła przyjechać dopiero za miesiąc. Na razie niech ten dom stoi tak, jak stał. A co zrobię? Sprzedam - powiedziała bez wahania. - Nawet za połowę ceny, chociaż w dzisiejszych czasach nie będzie to łatwe. Już rozglądam się za kupcami.

Odpowiedź z LaboFraC przyszła późnym popołudniem. Pewnie czekałaby na nią dłużej, gdyby nie pomoc francuskiej policji. Jeden telefon wystarczył. Tam, nad Sekwaną, się nie cackają. Policja to policja, a nie żłobek.

Chwyciła kartkę wydobytą z faksu. Najpierw zobaczyła ogromne logo firmy farmaceutycznej, a następnie przebiegła wzrokiem lakoniczną, dwuzdaniową informację. Trafiła w dziesiątkę. Na Medical Summer Camp, zorganizowany w Indiach w 2005 roku, zaproszono troje lekarzy z Polski. Kilkakrotnie odczytała nazwiska dwóch mężczyzn i kobiety, jakby chciała, by na zawsze wryły się w jej pamięć. Nie mogło być mowy o pomyłce. Ci z LaboFraC, prawdopodobnie postraszeni przez francuskich policjantów,

uzupełnili nazwiska jeszcze jedną informacją. Przy dwóch figurował dopisek „Warszawa”, przy drugim z mężczyzn „Radom”.

Jowita odruchowo sięgnęła po telefon i chciała zadzwonić do Krygiera, coś ją jednak powstrzymało. Nie. To była jej sprawa. Ślad, którym nie musiała się z nikim dzielić. A już z pewnością nie teraz. Kobieta z listy zajmie się na końcu. Najmniej pasowała do profilu mordercy. W pierwszej kolejności musi prześwietlić Mariusza Tabaczyńskiego z Warszawy. Do Radomia jedzie się półtorej godziny. Śmieszna odległość. Oczywiście tego drugiego także nie może wykluczyć. Musi wziąć poprawkę na to, że Francuzi mieli dane sprzed trzech lat. Od tego czasu wiele mogło się zmienić w życiu lekarzy, którzy wybrali się na wycieczkę do Indii. Ktoś się na przykład przeprowadził. I zastanowiła się, mogło się zmienić na tyle dużo, że jedno z nich zaczęło zabijać.

Raz jeszcze przeczytała ostatnie zdanie dokumentu z LaboFraC. Poczowała, że robi się jej gorąco. Nie potrzebowała znajomości francuskiego, by zrozumieć lakoniczną adnotację zamieszczoną pod nazwiskami. Troje lekarzy specjalizowało się w kardiologii.

Przed oczami mignęła jej twarz mężczyzny z kanałów na Żeraniu. Pierwsza ofiara Doktora Śmierć. Zastrzyk z benzyny w serce. Serce. Podpisałeś się. Zostawiłeś czytelny ślad, ale myśmy się nie połapali. Nawet Heinz, ten profiler od siedmiu boleści, tego nie dostrzegł.

Ciekawe, pomyślała o koledze, co będzie miał do powiedzenia, gdy zakończy tę sprawę.

Postanowił, że zaryzykuje. Namówi tego szalonego Greka na rozmowę. Przyjaciół komisarza Heinza i jego mentor, mistrz karate. Barwna postać. Do serialu dokumentalnego jak znalazł. A może przy

okazji powie coś, czego Kolba dotychczas nie wie? Heinz pewnie nie raz opowiadał mu o swoim życiu i prowadzonych sprawach. Niewykluczone, że powiedział też coś o tragicznym wypadku koło Bogusławic.

Gdy Kastoriadis odebrał telefon i usłyszał nazwisko rozmówcy, przez ułamek sekundy nie wiedział, jak ma się zachować. Rzadko zdarzało się, by ktoś go zaskoczył. Dziennikarz przedstawił zarys scenariusza. W filmie o Inkwizytorze wystąpią różni ludzie. Lekarze z zakładu psychiatrycznego, biegli sądowi, policjanci, siostra Urbaniaka, która mieszka teraz w Sosnowcu. Czy będzie Rudolf Heinz? Na razie waha się, ale może pański udział go przekona. Zmieni zdanie, gdy zobaczy, że mam dobre zamiary.

Umówili się w mieszkaniu Kastoriadisa przy ulicy Zabrskiej. Kolba wszedł na odrapaną klatkę schodową i wspiał się na trzecie piętro. Gdy dotarł na górę, dostał zadyszki. Musi zapisać się na jakąś siłownię albo zacząć biegać, bo z kondycją kiepsko.

Drzwi otworzył niski mężczyzna w rozciągniętej bluzie i spodniach od dresu. Na bosych stopach miał klapki. Do filmu trzeba go będzie ubrać inaczej, pomyślał dziennikarz. Najlepiej w kimono.

Podał Grekowi rękę.

– Wchodząc do domu mistrza, powinienem się chyba pokłonić - próbował żartować, ale kiepsko mu to wyszło. Czuł się spięty, jak wtedy, gdy szedł zdawać trudny egzamin.

Karateka bez słowa poprowadził go do pokoju. Kolba rozejrzał się. Nieźle, pomyślał z uznaniem. Rozmowę trzeba będzie nakręcić w tym pomieszczeniu. Tam, gdzie inni stawiają telewizor, Grek zamontował deskę ustawioną pionowo do podłoża obwiązaną u góry jakimś płótnem. Na suficie, w centralnym punkcie, przymocowane

były potężne stalowe haki. W miejscu, gdzie zwykle wisi żyrandol, Kastoriadis powiesił czerwony worek. Dziennikarz wykonał niezdarny cios, worek odchylił się kilka centymetrów od pionu i zakołysał. Kolba uśmiechnął się do Greka i rozłożył ręce w geście bezradności.

– Widzi pan - zaczął Kastoriadis, gdy usiedli - problem polega na tym, że tego Inkwizytora to ja nie widziałem na oczy. - Trochę szkoda - przeszył dziennikarza lodowatym spojrzeniem - bobym mu łeb ukrecił.

Trafiłby swój na swego. Dwóch psycholi z obłędem w oczach, pomyślał Kolba.

– I właśnie o to chodzi! - ożywił się. - Czegoś takiego potrzebuję! Jakiejś stanowczej wypowiedzi. Ludzie na ogół krępują się, spinają, dobierają zdania. Gdyby mógł pan powtórzyć to przed kamerą...

– Tyle że ja nie jestem Bruce Lee. Żaden ze mnie aktor.

– To nawet lepiej! A nie miał pan nigdy wyrzutów sumienia? Przecież komisarz Heinz trenował u pana. Może pewność siebie go zgubiła wtedy, gdy pojechał schwycić Urbaniaka?

Popemniłeś błąd, pomyślał Kastoriadis. Ciągłe pytasz o Heinza.

– Wyrzuty sumienia? Oczywiście, że miałem. Zawsze mu mówiłem, że najpierw powinien strzelać, a potem zadawać pytania.

– To także pan powtórzy? - Kolba złożył błagalnie ręce.

– Mam jednak wątpliwości, czy u pana wystąpię. - Kastoriadis spojrzał na portret Gichina Funakoshiego, twórcy karate, jakby pytał go o zdanie.

– Dlaczego?

– Te wspomnienia są dla mnie zbyt osobiste.

Rozmawiali jeszcze chwilę, ale Grek pozostawał nieugięty.

Dziennikarz odniósł wrażenie, że z każdą minutą wycofywał się coraz bardziej. Przestał naciskać. Ostatecznie osiągnął tyle, że Kastoriadis nie odmówił od razu. Poprosił o czas do namysłu.

Kolba stał na środku pokoju i wyciągnął rękę na pożegnanie. Kastoriadis wstał z krzesła i wykonał krótki, niemal niezauważalny ruch. Czerwony worek z ogromną siłą trafił dziennikarza w brzuch. Kolba jęknął i padł na kolana.

- Najmocniej pana przepraszam, panie Andrzeju. - Kastoriadis chwycił mężczyznę za ramiona i posadził na krześle. - Takie uderzenia rykoszetem rzeczywiście bołą, bardzo bołą... Raz jeszcze przepraszam. - Grek giął się w ukłonach. Kolba z trudem chwycił powietrze.

Gdy dziennikarz doszedł do siebie i opuścił mieszkanie, Kastoriadis raz jeszcze spojrzął w oczy senseiowi Funakoshiemu. Nie chodzi ci o Inkwizytora, pomyślał o dziennikarzu. Plan twojego polowania jest zupełnie inny. Nie powinieneś dotykać pewnych spraw.

Z całej siły uderzył w worek. Metalowe łańcuchy zazgrzytały i zatańczyły na hakach. Dobrze by było, gdyby Kolba wyniósł ze spotkania jedną naukę. Rykoszety bywają naprawdę bolesne.

Gdzie mieszka ta siostra Inkwizytora? Co on powiedział? W Sosnowcu? Dobrze wiedzieć.

Andrzej Kolba nie zdawał sobie sprawy, że poruszył lawinę. Tylko głupiec tak robi. Wielki głupiec.

Samotny mężczyzna w ogromnym domu. I jego tajemnice. Był coraz bardziej przekonany, że zabójstwa kloszardów i śmierć biznesmena coś łączy. Co? Śmierć Dudzińskiego nastąpiła bez

udziału osób trzecich. Ale, przypomniał sobie słowa medyka sądowego Rybaka, czy na pewno nikt się do niej nie przyczynił?

Rano w komendzie stołecznej załatwił dwie sprawy. Najpierw zaproponował Prałatowi, by mówili do siebie po imieniu. Później poprosił Jarka, by przejrzał filmy z monitoringu u Dudzińskiego. To robota właśnie dla takiego perfekcjonisty jak ty. Nikt inny nie podoła takiemu wyzwaniu.

Niezależnie od tego, co Prałat znajdzie na taśmach, nasuwało się kilka pytań. Przywołał w pamięci rozmowę z pracownikiem firmy ochroniarskiej. Dudziński dbał o bezpieczeństwo. Obsesyjnie o nie dbał. Ostatecznie to nic nadzwyczajnego u osób posiadających znaczny majątek. Różnica polega na tym, że większość z tych krezusów zatrudnia ochronę. Dudziński nawet kucharki nie miał. Może przynajmniej sprzątaczkę? Najwyraźniej nie chciał, by inni ludzie przebywali w jego domu. Musiał mieć ważne powody, by tak strzec swojej prywatności.

Dojechał do ronda Dmowskiego i zakorkował się. Samochody przed nim wściekle trąbiły, konkurując z histerycznym dzwonkiem tramwaju, który utknął na środku skrzyżowania. Zbliżała się trzynasta. Miał jeszcze dwadzieścia minut, by dojechać do wieżowca w Alejach Jerozolimskich. Dziś dowiedział się, że warszawiacy nazywają ten budynek Tojtojem. Jan Dawidow, prezes firmy Recykpol, nie będzie czekał na niego z chlebem i solą. I tak nie zareagował entuzjastycznie na propozycję spotkania. Zwłaszcza gdy dowiedział się, że rozmowa ma dotyczyć jego przyjaciela i wiceprezesa firmy. Byłego przyjaciela i wiceprezesa, o którym porozmawiają sobie w czasie przeszłym.

Dudziński traktował dom jak twierdzę, ale jednak ktoś od czasu do czasu się u niego pojawiał. Sprowadzał sobie dziewczyny? Nie wyłączałyby wtedy kamer. Szkoda zachodu. A jeśli to był ktoś, kto złożył mu propozycję nie do odrzucenia? Szantażysta. Tak. To miało sens.

Dojechał do Dworca Centralnego. Zostało dwanaście minut. Powinien się wyrobić. Białe volvo jadące przed nim zahamowało gwałtownie. Tym razem Heinz zatrafił.

Pomyślał o Ormiance. A jeśli czternaście lat temu zdarzenia przebiegły inaczej? Jeśli to nie Kolano zgwałcił tę dziewczynę? Przypomniawszy sobie rozmowę z byłą żoną biznesmena. Ona, wytrawna prawniczka z amerykańskiej kancelarii, zareagowała niezwykle gwałtownie, gdy wspomniawszy o tej historii. Zareagowała niewspółmiernie do pytania. Można więc sobie wyobrazić inny przebieg zdarzeń. To nie Kolano powinien odpowiadać za tamten gwałt, tylko Dudziński. Szef ochrony wziął wtedy na siebie winę szefa. A potem wystawił słony rachunek za milczenie.

Heinz ponownie nacisnął klakson. Ta wersja nie trzymała się kupy. Kolano nie mógł szantażować Dudzińskiego. Nie teraz. Nie czekałby na to czternaście lat. Poza tym, przypomniał sobie Kaspirowskiego, jeśli ten Quasimodo z garbem i wytrzeszczonymi oczami nie kłamał, ktoś był u Dudzińskiego w dniu jego śmierci. Przypadek? Heinz nie wierzył w przypadki. Doszło do awantury. Biznesmen oświadczył, że więcej nie zapłaci. Serce nie wytrzymało stresu. Kim mógł być ten człowiek w kapturze? Kamery i Prałat nie pomogą. Monitoring nie działał już od wielu dni.

Kolejna zagadka. Dlaczego Dudziński, znany ze swoich obsesji, nie podłączył w ostatnich dwóch tygodniach życia kamer? Przestał dbać

o bezpieczeństwo, jakby nie miało już znaczenia. Czyżby z jakichś względów przestało mu zależeć na życiu? Bał się czegoś latami, bronił się, aż wreszcie skapitulował. Uznał, że nie oszuka losu. Że przeznaczenie i tak go w końcu dopadnie.

Korek nagle, bez wyraźnej przyczyny, rozładował się. Czytał gdzieś, że takie spiętrzenia ruchu nazywane są fantomami. Cudem znalazł wolne miejsce i zaparkował.

Gdy wysiadł z samochodu, poczuł, że sprawa znowu rozplywa mu się w powietrzu.

Siedziba firmy Recykpol mieściła się na dwunastym piętrze.

Zanim wszedł do sekretariatu prezesa, nad drzwiami zauważył slogan „Odzyskujemy, byś mógł żyć spokojnie”.

– SzeF sam wymyśla takie hasła? - zapytał asystentki.

Przed chwilą dziewczyna z czarną grzywką spływającą na lewy policzek przedstawiła się, zaproponowała herbatę, kawę lub coś innego, co pan sobie życzy.

Pan sobie życzy co innego, spojrzał na dziewczynę, ale to chyba w tych warunkach nieosiągalne.

– SzeF za chwilę pana przyjmie - powiedziała Karolina i postawiła przed nim kawę. - Ktoś z zewnątrz nam te mądrości wciska. Dziwnie to brzmi, nie?

Z radia cicho dobiegała muzyka klubowa. Asystentka siadła za biurkiem i stuknęła kilka razy w klawiaturę. Pewnie loguje się na Naszej Klasie albo czymś podobnym.

– A kontakt z panem Dudzińskim miała pani dobry? - Podniósł do ust filizankę wielkości kieliszka do wódki. Takiego większego. Jak w tym pić kawę? Wściec się można.

– O rany! - Dziewczyna poruszyła głową, odtrącając grzywkę. - To był uroczy, kochany człowiek. Na imieniny kupił mi perfumy...

– Czy w ostatnim czasie, chodzi mi o okres tuż przed jego śmiercią - doprecyzował komisarz - zdarzyło się coś szczególnego, dziwnego? Może pan Dudziński jakoś inaczej się zachowywał?

Spojrzała znad monitora.

– A wie pan, że tak. Prezes Dudziński w ogóle rzadko bywał w firmie. Gdy pracowaliśmy w biurowcu na Ursynowie, pojawiał się częściej.

– Dawno temu mieliście przeprowadzkę?

– Przed rokiem. Prezes - wskazała głową na drzwi gabinetu - chciał mieć widok na starą część Ochoty. Tam był parter, a tu dwunaste piętro. Ale pan pytał o prezesa Dudzińskiego. Pojawił się na początku września. Wyglądał, jakby był chory albo bardzo zmartwiony. Podkrążone oczy, sam pan wie...

Spojrzała na niego ze współczuciem.

Oczywiście wiedział. Był wzorcowym przykładem kłopotów wypisanych na własnej skórze. I wolał nie patrzeć w lustro.

– Nic nie mówił, odpowiadał tylko półsłówkami: „tak”, „nie”, jakby... - szukała właściwego określenia.

– Jakby myślami był całkiem gdzie indziej? - podpowiedział Heinz.

– Tak. Jakby był nieobecny. A potem... tyle że to było ze dwa tygodnie później... - ożywiła się i przerwała.

Chwyciła komórkę i spojrzała uważnie na numer.

– RMF Max! - wykrzyczała nazwę stacji radiowej. I wyrecytowała jakieś hasło. Uśmiech zgasł na jej twarzy równie szybko, jak się pojawił. - To ty... - nie kryła rozczarowania. - Zobaczyłam nieznaną

numer i pomyślałam, że szczęście się do mnie uśmiechnęło i że to ci z radia dzwonią. Ile można wygrać? - powtórzyła pytanie. - Teraz pięćdziesiąt tysięcy. Ale pula cały czas rośnie.

Odłożyła telefon powolnym ruchem, jakby stawiała na podłodze ciężką torbę z zakupami.

- Co zdarzyło się dwa tygodnie później?

- Słucham? - Zatrzepotała rękami.

Czas zejść na ziemię, kochanie.

- Zaczęła pani mówić o Dudzińskim. Coś zdarzyło się w połowie września...

- A tak! - przypomniała sobie. - Przyjechał do firmy, a tu czekała na niego przesyłka. Taka malutka paczuszka. Odpieczętował ją na moich oczach i krzyknął. A przecież to był tylko breloczek.

- Breloczek?

- Breloczek, taki jak do kluczy. Tyle że z trumienką. A gdy naciśnięto się guzik, wyskakiwał z niej kościotrup. Śmiałam się, ale prezesa to nie rozbawiło. Raz w życiu widziałam wcześniej takie przerażenie w oczach... Gdy byłam mała i mój ojciec schodził ze mną z karuzeli.

- Co stało się z opakowaniem? - zapytał Heinz bez wielkiej nadziei.

- Prezes zabrał je razem z trumienką. Chyba tak właśnie było.

Dudziński miał kłopoty. Poważne kłopoty. A potem dostał dziwną przesyłkę. A później... Później umarł.

- Pani Karolino, a jeśli pani wygra w tym radiowym konkursie? - zmienił temat. - Co pani robi z taką kasą?

Wzruszyła ramionami.

- Rzucę tę robotę.

– A gdy już pani rzuci?

Zdmuchnęła opadającą grzywkę.

– Wtedy kupię łóżko do opalania. I wstawię u koleżanki w gabinecie kosmetycznym.

– Zanim sprowadzi pan moją asystentkę na złą drogę, zapraszam.

- Mężczyzna wyższy od niego o głowę poprawił okulary i otworzył szerzej drzwi gabinetu.

Karolina spuściła wzrok i zawzięcie stuknęła w klawiaturę komputera.

29

Zanurzyli się w fotele stojące przy niskim stoliku ze szklanym blatem i chromowanymi nóżkami. W prawym narożniku, po stronie Heinza, widniało czerwone logo firmy. Na wypadek gdybym zapomniał, gdzie jestem.

– Pan nazywa się Heinz, dobrze zapamiętałem? - Tak.

– Jak keczup?

Heinz potwierdził.

–A ja Dawidow. - Niebieskie dobroduszne oczy patrzyły na komisarza.

– Też ładnie.

– Nie za bardzo. Gdyby tak przez dwa „f” i „v” w środku. Wtedy byłoby ładnie.

Heinz poczuł znajome objawy głodu nikotynowego. Nie umiał skupić się na rozmowie. Myślał o tym, by znowu zapalić.

Dyskretnie rozejrzał się wokoło. Nudny gabinet nudnego prezesa, który paraduje w koszuli w kolorze ścian. Ale przynajmniej krawat ma dobrze dopasowany.

Zresztą dla Heinza każdy krawat był dobrze dobrany.

Dostrzegł kilka zdjęć. Prezes Dawidow z prezydentem. Prezes ściska czyjąś dłoń, a obok stoi proporczyk z francuską flagą. Na półkach kilka posążków i pucharów. Anioły i inni święci biznesu. Jedno biurko zastawione laptopem, zdjęciem, pewnie przedstawiającym uśmiechniętą rodzinę podczas wakacji, i sarta dokumentów. Przy drugiej ścianie bliźniacze biurko, tyle że pozbawione śladów życia.

Żaden element nie wskazywał, że niedawno we władzach firmy zasiadał ktoś jeszcze. Miesiąc po śmierci, po Dudzińskim nic nie zostało. Proces korporacyjnego rozkładu przebiega nadzwyczaj szybko.

Dawidow podchwycił spojrzenie komisarza.

– Tak - powiedział lekko zmieszany - to było biurko Mateusza. Nie chcieliśmy wynosić go tak od razu. Trochę dziwnie to wygląda...

– Dwóch prezesów w jednym gabinecie? - zdziwił się Heinz.

Mężczyzna zakołysał się w fotelu, jakby coś go uwierało, i poluzował węzeł krawata.

– Wie pan, względy oszczędnościowe. Lepsza lokalizacja, droższy czynsz. Zresztą Mateo i tak bywał tu rzadko.

– Przepraszam, że tak zapytam wprost: czym wasza firma... pańska firma się zajmuje?

Dawidow wstał, podszedł do biurka, wziął folder i położył go przed Heinzem. Było widać, że poczuł się pewniej. Pytanie dotyczyło wreszcie czegoś, o czym mógł mówić bez skrępowania.

– Nasza specjalność to odzyskiwanie i recykling tak zwanych odpadów niebezpiecznych. Przejmujemy wyeksploatowane kondensatory energetyczne, transformatory, krótko mówiąc: urządzenia zawierające PCB, czyli polichlorowane bifenyle...

– Całkiem coś innego niż szwalnia - przerwał mu Heinz.

– Słucham? - Dawidow zamrugął oczami. - A tak. Myśmy poznali się, gdy Dudziński już nie miał szwalni. To był - spojrzał w sufit - 1997 rok. Dwa lata później założyliśmy to przedsiębiorstwo.

– Czy Dudziński wspominał coś o tej swojej poprzedniej firmie? W 1994 roku miał tam spory problem.

Dawidow uśmiechnął się.

– Nie musiał opowiadać. Znam tę historię o zgwałconej Ormiance. W biznesie obieg informacji to podstawowa sprawa, inaczej prędzej lub później wdepniesz na minę. Wiem, że zachował się wtedy w porządku. Dlatego nie wahałem się, żeby z nim pracować.

– Opowiadał panu o tej sprawie? W końcu byliście przyjaciółmi.

– Wspomniał raz, może dwa razy... Robił to niechętnie. Mówił o swoich podwładnych, którzy... - zawiesił głos. - A jeśli pyta mnie pan o nasze relacje, to łączyła nas przyjaźń biznesowa. Pan mi wygląda na moralistę, więc pewnie taka formuła nie bardzo się panu podoba? - Musnął palcami delikatne złote oprawki okularów.

Nie bardzo. Jakbyś zgadł.

– To znaczy, że utopiłby pan go w łyżce zupy?

Uśmiech odsłonił mu białe zęby. Pasta wybielająca, płyn do płukania plus coś tam jeszcze. Po raz pierwszy roześmiał się szczerze.

– Dudziński wniósł spory kapitał do firmy. Oczywiście nie miał zielonego pojęcia o PCB i odzyskiwaniu odpadów. Od takich spraw byłem ja. Mam techniczne wykształcenie. Widzi pan, chodzi mi o zupełnie coś innego. Znaliśmy się ponad dziesięć lat, a ja tylko ze trzy razy byłem w jego domu. On do mnie też nie chciał przyjeżdżać.

– Szorstka przyjaźń?

– Jak pan szuka Chłopców z Placu Broni, niech pan porozmawia z Różą Kuczką i jej mężem, Norbertem. Oboje architekci... Chyba jedyni ludzie, o których Mateo mówił naprawdę ciepło.

– Odniosł pan wrażenie, że Dudziński unika pana?

– Odniosłem wrażenie, że w ogóle unika ludzi.

Dawidow spojrzał na zegarek.

Tak, wiem. Za chwilę gwizdek sędziego i koniec meczu.

– Mam jeszcze kilka ostatnich pytań. Zachowanie Dudzińskiego zmieniło się na początku września? Czy wie pan, co się wówczas stało?

Dawidow wsparł czoło na dłoni. Dopiero teraz Heinz zauważył, że jego włosy z tyłu głowy są mocno przerzedzone.

– To jest najdziwniejsze - szepnął, jakby nie mógł otrząsnąć się ze wspomnień. - Przyjechał i powiedział, że chce wycofać swoje udziały. Taki gwałtowny ruch byłby dla firmy katastrofą. Poprosiłem go, by wstrzymał się z tą decyzją. Z jakichś względów pozbywał się majątku. Wystawił na aukcję obrazy. Nacht-Samborski, Potworowski... Jak mawiał, krótka seria, ale wystrzałowa. Kiedyś sporo zainwestował w tę kolekcję.

– A jak to było z tym prezentem? Otrzymał breloczek z trumienką i podobno się bardzo wystraszył.

– Nie było mnie wtedy w Polsce. Pojechałem na konferencję u naszych partnerów w Monachium. Tę historię znam tylko z opowieści. Może... - Dawidow zamyślił się - może czuł, że coś się zbliża. Jak przeznaczenie...

– Co mogło skłonić go do tego, by pozbyć się obrazów?

- Tego nie wiem. Powiedział tylko, że nie może spać po nocach. Że szuka ukojenia... Jakoś tak to ujął. I wreszcie znalazł spokój...
Panie komisarzu? - Głos Dawidowa stał się mocniejszy. - Nie pytałem o to dotychczas. Właściwie czemu zawdzięczam pańską wizytę? Mateo miał przecież zawał serca.

Heinz wytrzymał spojrzenie.

- Tak. Miał zawał. Ale jego śmierć może mieć związek z całkiem inną sprawą. Taki odprysk. Rykoszet. Pańskiego biznesowego przyjaciela nikt nie zabił.

Gdy wychodził z sekretariatu, usłyszał ciche „do widzenia” zmieszane z akompaniamentem klawiatury laptopa.

Padał deszcz. Dobiegł do samochodu i włączył nawiew. Para powoli odsłaniała ulicę, którą przebiegali skuleni ludzie.

Dlaczego nie spałeś po nocach i jakiego szukałeś ukojenia? Przed maską samochodu mignęła mu zakapturzona postać. Gdy odwróciła głowę w stronę Heinza, komisarz zobaczył twarz młodego chłopaka. Wyłączył silnik.

Zaraz. Nie wziął tego pod uwagę wcześniej. Pomyślał o postaci w kapturze, która była u Dudzińskiego w chwili jego śmierci. To mógł być mężczyzna albo kobieta. Ale mogło to być też dziecko. Bezwiedne skojarzenia powiodły go do 1994 roku. Nie takie już dziecko. Z oddali mogłoby wyglądać jak dorosły.

Odszukał numer do Recykpolu. Tym razem długo musiał czekać na połączenie z prezesem.

- Ostatnie pytanie - rozpoczął szybko. - Czy Dudziński miał dziecko?

- Nie. Nic mi o tym nie wiadomo. Skąd ma pan takie informacje?
- Dawidow nie krył zdumienia. - Mateusz powiedział mi nawet

kiedyś, w jakimś przyływie szczerości, że oddałby wszystko, by je mieć.

Oddałby wszystko.

Heinz włączył kierunkowskaz.

Jowita Rut grzecznie siedziała w poczekalni i przeglądała „Życie na Gorąco”. Mężczyzna, który siedział obok, w teatralnym geście chwycił się za serce i ciężko oddychał.

– Zaraz panią poproszę. - Lekarz wyjrzał z gabinetu. Pacjent w koszuli, której najwyraźniej nie był w stanie dopiąć, obrzucił policjantkę nieprzyjaznym spojrzeniem i znów zaczął sapać.

Co cię nie zabije, to wzmocni, pomyślała. Czowała, że ten strzał minął tarczę. W takim razie pozostaną jeszcze dwa. Kobieta i lekarz z Radomia.

Doktor Mariusz Tabaczyński sprawiał wrażenie jowialnego człowieka, a szpakowata kozia bródka i wydatny brzuch zapewne zjednywały mu sympatię pacjentów. Mógłby reklamować cukierki, którymi dławia się wnuki. Z pewnością nie był trzydziesto-, czterdziestolatkiem opisywanym w podręcznikach kryminologii poświęconych seryjnym mordercom.

Poprosił Jowitę do gabinetu. Na ścianie, między dwoma certyfikatami, wisiało zdjęcie chirurga w masce. W jednej dłoni skalpel, u drugiej podniesiony do góry kciuk. Kwintesencja zawodowego sukcesu.

– Chciałam pana zapytać o pobyt w Indiach w 2005 roku. Był pan tam w ramach projektu Medical Summer Camp.

W samą porę ugryzła się w język. Przecież tak naprawdę to nie był pobyt, tylko zwyczajna wycieczka.

- Często podróżuję po świecie. Nie pamiętam dokładnie tamtego wyjazdu. - Rysy twarzy Tabaczyńskiego wyostrzyły się.

- Rozumiem, że najczęściej jeździ pan za pieniądze koncernów farmaceutycznych - bardziej stwierdziła, niż zapytała.

- Do czego pani zmierza? - Popatrzył jej w oczy.

Do tego, że się boisz. Myślisz sobie, że jestem z CBA, CBŚ lub jakiejś innej świętej trójcy? Może nawet z CIA? Że zakuję cię w kajdanki na oczach pacjentów oraz kamer telewizyjnych i oskarżę o korupcję.

- Chciałabym, byśmy dobrze się zrozumieli, panie doktorze. Interesuje mnie tylko pański pobyt w Indiach w 2005 roku. Tylko to - podkreśliła. - Razem z panem było dwoje innych Polaków. Jakie zrobili na panu wrażenie?

- A jakie mieli zrobić? - Tabaczyński najwyraźniej odprężył się. Powróciła mu też pamięć. - Ciągłe tylko operacje na otwartym sercu, bajpasy, zastawki. Ile można o tym słuchać? Zwłaszcza, gdy trafia się okazja, by zobaczyć kawałek Indii. Z tamtej dwójki ta kobieta była fajniejsza. Martwiła się, że zostawiła mężowi chorego kota. Nie pamiętam, jak się nazywała. Raczej unikałem ich towarzystwa.

- Przypomina pan sobie coś jeszcze?

Skubnął kocią bródkę.

- Może tylko to, że ten lekarz raz zalał się w trupa tak, że aż organizatorzy się przestraszyli. Ale ostatecznie fachowcy byli na miejscu. Ktoś by go reanimował. Poza tym chyba już nic szczególnego nie pamiętam.

- Co pan robił 7, 10 i 20 października tego roku? Tak od siódmej wieczorem.

- To będzie znacznie prościej ustalić. - Sięgnął po kalendarz. - Siódmego grałem w brydża. Ugrałem szlemika bez atu! Dziesiątego grałem w brydża. W tym samym składzie. A dwudziestego... - Przewrócił kartkę.

- Proszę pozwolić, że zgadnę. - Wydęła usta. - Dwudziestego grał pan w brydża.

- Pudło! - krzyknął Tabaczyński. - Wtedy wnuk miał urodziny. Skończył sześć lat. Dostał od nas wielką ciężarówkę.

Nie chciała słuchać opowieści o życiu rodzinnym lekarza. Marnie musiała też wyglądać, bo w drzwiach zatrzymał ją głos kardiologa.

- Powinna pani zrobić EKG. Teraz kostucha kosi wszystkich. Nie licząc godzin ni lat.

Wyszła na korytarz. Grubas zapiął guzik koszuli, spojrzął na Jowitę i dysząc, wtoczył się do gabinetu.

30

Nadal nie rozumiem, Hipis, dlaczego zajmujemy się śmiercią Dudzińskiego? - Krygier nie krył irytacji. - To donikąd nas nie prowadzi.

Komisarz westchnął ciężko. Znali się od dawna i kilka razy w ciągu tych lat dochodziło do spięć między nimi. Bywało nawet ostro. Pamiętał taką sytuację, gdy rozdzielało ich trzech policjantów. Scysje te zawsze kończyły się tak samo: wspólnym pićm piwa albo roladą po sztygarsku podawaną przez żonę Krygiera.

Heinz czuł, że trafił na ścianę, która łatwo nie skruszeje. Musiał pokonać tę zaporę niechęci, inaczej nie ruszy z miejsca.

- Wiem - starał się mówić wolno i spokojnie - że poszlaki, które przedstawiam, są wątpliwe, ale obaj stawialiśmy już hipotezy bardziej wątpliwe, które ostatecznie się sprawdzały. Teraz jest podobnie:

jestem pewien, że coś łączy te dwie sprawy. Dudziński i Kolano znali się sprzed lat. Ten drugi to według pani Jones, byłej żony biznesmena, bydlak, jakich mało. Czternaście lat temu w obozie pracy, zwanym szwalnią, doszło do gwałtu. Teraz wersje są takie: Dudziński zatuszował sprawę i pozwolił wywinąć się Kolanu...

– Dlaczego miałyby to robić? - zapytał Krygier.

– Powodów mogło być wiele. Najpewniej mógł nie chcieć, by jego nazwisko kojarzone było z przestępstwem, bał się, że jego reputacja, i tak wątpliwa, zostanie zniszczona. Że to będzie jego koniec.

– A inna wersja?

– Taka, że sam Dudziński był zamieszany w gwałt. Kolano i jego kumple stworzyli szefowi alibi...

– I teraz nagle, po latach, domagają się rekompensaty? Dudziński wynajmuje jakiegoś kilerka, który zabija dwóch żuli na Żeraniu i Siekierkach. Nasz biznesmen ma atak serca i umiera, a morderca kończy swoje zadanie i zabija przy Jubilerskiej. A potem odwraca naszą uwagę i wysyła nam zdjęcie z Indii, straszy, że zabije kobietę. A wcześniej jeszcze przysyła nam dłonie, bo zawsze chciał pracować w Poczcie Polskiej.

Krygier z politowaniem patrzył na Heinza.

– Za dużo komiksów czytasz, Hipis.

– To jest karykatura tego, co powiedziałem. I wiesz o tym doskonale.

Trzymaj nerwy na wodzy, Heinz. Komisarz wziął głęboki wdech.

– Dudziński się bał. Zawsze się czegoś bał. Zamknął się na odludziu, obwarował kamerami i prowadził samotnicze życie. Miesiąc przed śmiercią zdarzyło się coś, co sprawiło, że jego dotychczasowe życie stanęło na głowie.

Czuł, że tym razem wszyscy z uwagą słuchali jego słów.

– Postanowił wycofać się z firmy, której był współdziałowcem. Dla przedsiębiorstwa taka nagła decyzja byłaby katastrofą. Mało tego, Dudziński sprzedaje kolekcję obrazów. Mija kilkanaście dni i otrzymuje dziwną przesyłkę. Breloczek z trumienką i kościotrupem.

Karloff parsknął śmiechem.

– Krótko mówiąc: potrzebne są mu pieniądze. I to nie takie na zakupy w Żabce. Ktoś przypomina mu o swojej obecności. A może mu grozi. Równocześnie giną kloszardzi. Sposób popełnienia zabójstw podpowiada nam, że możemy mieć do czynienia z zemstą. Nurkowie nie mogą się wypłacić...

– A Dudziński może - wtrącił Krygier. Komisarz czuł, że ma go po swojej stronie. Nabrał powietrza w płuca, jakby czekał go jeszcze jeden ekstremalny wysiłek. - Musimy sprawdzić stan konta Dudzińskiego. Zobaczyć, czy są na nim pieniądze pochodzące ze sprzedaży obrazów. - Inspektor spojrział na Prałata.

Aspirant zanotował coś na kartce.

– Mów dalej, Hipis.

– Ktoś odwiedza biznesmena 26 września wieczorem. Serce mu nie wytrzymuje i umiera. Niestety, system monitoringu już wtedy nie działał, nie wiemy, kto to mógł być.

– À propos monitoringu - ożywił się Prałat. - Przeglądam te zapisy, o które prosił mnie komisarz... o które mnie prosiłeś... Na razie nie ma nic ciekawego: listonosz, śmieciarze i sprzątaczką to stała ekipa. Sprzątaczką przychodziła raz w tygodniu, w środę. Z zapisu, który znam, wynika, że Dudziński sam wyłączył monitoring raz, w czwartek, w sierpniu pod wieczór... - Na kartkach zapisanych drobnym pismem szukał dokładnej daty, ale nie mógł jej odnaleźć.

No proszę, nawet Prałat się zakopał w tych notatkach.

– Dudziński wyłączał system, jakby oczekiwał kogoś i chciał zachować dyskrecję. - Prałat rozrzucił papiery po stole.

– Miłosna schadzka... - mruknął Karloff.

– To raczej nie to - zaprotestował Heinz.

Opowiedział o swojej hipotezie. A jeśli w życie biznesmena wkroczyło dziecko, o którego istnieniu wcześniej nie wiedział? Czy ma to związek z Ormianką? Niekoniecznie. W tamtym obozie pracy było wiele dziewczyn. Jeśli wierzyć pani Jones, wierność nie była wartością, którą Dudziński cenił sobie najbardziej.

Przejął inicjatywę. Umilkły ironiczne komentarze i złośliwe docinki. Ile razy był w podobnej sytuacji? Czuł, że tego wątku, w którym śmierć biznesmena krzyżuje się z zabójstwami kloszardów, nie odpuszczą. A nawet, gdyby tak się stało, on, wolny elektron w zespole, prowadziłby śledztwo po swojemu. I wszyscy to rozumieją.

– Jeśli przyjąć, że masz rację, że w jego życiu pojawił się ktoś nowy, niespodziewany, na przykład dziecko, jaki ma to związek z zabójstwami w kanałach? - zapytał Prałat.

Dobre pytanie. Nie wiedział. Spojrzał na aspiranta. Chłopak zaczyna się rozkręcać.

– A co z LaboFraC? - Krygier przerwał milczenie i spojrzał na Jowitę.

– Czekam cały czas na wiadomość. Stoję w miejscu. - Przynajmniej druga część odpowiedzi była prawdziwa, pomyślała z goryczą.

– Przypomniałem sobie taki szwedzki kryminał. - Maciejewski podrapał się w szczękę. - Tam młody chłopak, czternastolatek,

zabijał z zemsty i skalpował ofiary.

– Twoja pierwsza lektura od dwudziestu lat. Nic dziwnego, że zapadła ci w pamięć. - Krygier sięgnął do kieszeni i wyjął nową paczkę papierosów.

Stary wraca do formy, pomyślał Heinz. I bardzo dobrze.

31

Rozdzielili zadania. Jowita Rut miała czekać na wiadomość z koncernu farmaceutycznego. Prałat ze zrezygnowaną miną wrócił do oglądania zapisów z monitoringu, potem miał zająć się kontem bankowym Dudzińskiego, a Maciejewski postanowił raz jeszcze odwiedzić „swoich” ludzi w kanałach. Karloff wybierał się do prosektorium. Właściwy człowiek na właściwym miejscu, pomyślał Heinz. Wciąż nie mieli wyników sekcji zwłok zamordowanego przy Jubilerskiej. Urok osobisty Karloffa mógł przyspieszyć sprawę.

Heinz zadzwonił do Norberta Kuczki. Małżeństwo architektów ponoć przyjaźniło się z Dudzińskim. O ile, ten miał jakichkolwiek przyjaciół. Musiał zagłębić się w życie biznesmena, a jednocześnie wyczuwał, że im bardziej wnika w jego sekrety i przedziera się przez nie, tym trudniej mu się poruszać. Powinien ruszyć się do Falenicy i obejrzeć posiadłość Dudzińskiego. Na miejscu może rozjaśni mu się w głowie.

Telefon odebrał mężczyzna. Heinz wyczuł zdziwienie w głosie Norberta Kuczki. Nie. Nie zdziwienie. Raczej zaniepokojenie. Intuicja podpowiadała mu, że był to inny rodzaj niepokoju niż ten, który zwykle towarzyszy telefonom z policji. Czyżby na horyzoncie pojawił się kolejny mężczyzna, który ma coś do ukrycia, podobnie jak jego nieżyjący przyjaciel? Jeszcze trochę i sam przekroczy

niewidzialną granicę, za którą podejrzliwość przepoczwarza się w obsesję.

Umówili się w mieszkaniu architektów. Niespodziewanie zza chmur wyszło słońce. Heinz skręcił w ulicę Chocimską. Po lewej stronie minął Państwowy Instytut Higieny. Dojrzał napis pamiętający stare dzieje tej instytucji. Kiedyś bywał często w tych okolicach, ale nigdy wcześniej tej tabliczki nie zauważył. W sprawie Dudzińskiego też musiał coś pominąć. Coś oczywistego. Wręcz bijącego po oczach.

Wiatr zdmuchnął kilka plastikowych butelek pod bramę instytutu. Higieniści poradzą sobie z tym. Znów dopisało mu szczęście. Znalazł wolne miejsce tuż przy skrzyżowaniu Chocimskiej z Humańską. Minął ambasadę Bośni i Hercegowiny. Z ostatniej kamienicy, po prawej stronie spływał bluszcz. Za ogrodzeniem, na podwórku, dostrzegł niewielką piaskownicę i zjeżdżalnię. Pięknie musi być tu latem. Pełna idylla.

Wdrapał się na ostatnie piętro. Najpierw rozległ się dźwięk dzwonka przypominający tybetański gong, a po chwili w drzwiach pojawiła się kobieta. Miała na sobie beżową tunikę sięgającą niemal kolan. Wydatne usta złożyła w coś, co przypominało uśmiech. Za jej plecami stanął mężczyzna, którego można by było wziąć za kopię żony w nieco większym rozmiarze. Opływowy kształt skryty pod szeroką, białą koszulą, miękkie rysy twarzy i mięsiste usta. Dokonali prezentacji, a potem Heinz wszedł do środka.

Od progu poczuł się przytłoczony jakąś przesadnością, jakimś nieludzkim nadmiarem, który tu panował. Czuł się jak za dawnych czasów na bazarze pod Pałacem Kultury, gdy przeciskał się między ciasno ustawionymi szczękami. Minął długi szpaler książek, wszedł

do salonu i oniemiał. Takiego natłoku posążków, miedzianych naczyń i przeróżnych bibelotów nigdy wcześniej nie widział. Jak oni mogą odpoczywać w takich warunkach?

– Tak, wiemy, jak pan się czuje. Nie pan pierwszy - powiedziała Róża Kuczka.

Gospodarze zbliżali się do czterdziestki lub niedawno przekroczyli smugę cienia. Kobieta mogła być nawet nieco starsza od swojego męża. Jej uśmiech zdradzał ślady niewątpliwej urody. Jakie tam ślady. Wciąż była bardzo atrakcyjną kobietą.

– Napije się pan kawy, prawda? - Nie czekając na odpowiedź, odwróciła się i znikła w kuchni.

– Na górze - Norbert Kuczka chrząknął i wskazał schody prowadzące na zaadaptowany strych - jest zupełnie inaczej. Minimalizm. Sypialnia, telewizor i pusty pokój córki.

– Macie państwo córkę?

– Mamy. A może lepiej powiedzieć: mieliśmy. Rozpoczęła studia w Edynburgu. Rozumie pan, dzieci są, a potem odchodzą.

– Wiem coś o tym. - Popatrzył na posążki Buddy ustawione na jednej z wielu półek. - Państwa przyjaciel, mówię o panu Dudzińskim, nie miał dzieci? - Spojrzał mężczyźnie prosto w oczy.

– Nie. To był, chyba mogę tak o tym powiedzieć - zawahał się - jego życiowy dramat. I chyba jeden z powodów, dla których jego małżeństwo się posypało.

– A te inne?

Kuczka milczał. Popatrzył w stronę kuchni, jakby chciał w ten sposób przywołać na pomoc żonę. Heinz pochylił głowę i zbliżył się do twarzy architekta.

– Proszę mnie posłuchać, panie Norbercie. Wiem, że o zmarłych nie mówi się źle, ale jestem tu z konkretnego powodu. I sporo już słyszałem o waszym przyjacielu.

Wyjaśnił, dlaczego chciał się spotkać. Opowiedział wszystko. Czyli tyle, ile w tej sytuacji musiał. Śmierć państwa znajomego przypadkiem zbiega się z inną sprawą, którą prowadzimy. Badamy różne wątki, nie chcemy niczego zaniedbać. Sprawdzamy rozmaite możliwości, stąd zainteresowanie panem Dudzińskim. Bardziej jego życiem niż śmiercią.

– Czy on miał jakichś wrogów?

Popatrzyli po sobie. Kawa stygła na stole.

– O ile wiem, to nie - powiedział Norbert Kuczka. - Chociaż... jak to w interesach. Mógł komuś nadepnąć na odcisk.

– Podobno w ostatnim czasie, tuż przed śmiercią, zmienił się.

– Rzeczywiście - niechętnie przytaknął Kuczka. - Mateusz dziwnie się zachowywał.

– Dziwnie, czyli jak?

– Przestał odbierać ode mnie telefony. Zupełnie jakby się za coś obraził. A gdy się dodzwoniłem, rozmowa wyjątkowo nam się nie kleiła. Wyczułem, że ma jakieś problemy. Chyba finansowe. Tak w ogóle to był dosyć zamknięty człowiek.

– A jak sobie wypił? Ludzie po alkoholu robią się bardziej skorzy do zwierzeń.

– Chodzi panu o to, że pił za dużo? - Róża postawiła kubek na stole. - Pewnie tyle, ile samotny człowiek po przejściach, z poczuciem życiowej klęski... Mam panu dalej tłumaczyć?

Pokręcił głową i spojrzał na architekta.

– Kiedy ta rozmowa między wami się odbyła?

Kuczka zastanowił się.

– Początek września? Tak, to musiało być wtedy.

– Czy Dudziński opowiadał wam o pewnym zdarzeniu z 1994 roku? Gdy prowadził szwalnię w Falenicy?

Heinz sięgnął po kawę. Telefon leżący na biurku odtworzył pierwsze takty Pink Floydów. Numer prywatny, dostrzegł komisarz. Kuczka tylko rzucił okiem na wyświetlacz i nie odebrał.

– Tak. - Architekt popatrzył na żonę. - Chodzi panu o tę dziewczynę z Armenii? Raz nam opowiedział o tym. Mówił, że zatrudnił niewłaściwe osoby. I że niewiele brakowało, a ta sprawa zrujnowałaby go.

W telefonie Heinza rozległ się dźwięk pozostawionej wiadomości.

– Długo się znaliście?

– Będzie... było - architekt zmieszał się - ze dwanaście lat. Zaprojektowaliśmy mu ten dom w Falenicy. W ubiegłym roku poprosił o projekt nowej rezydencji, na Mazurach. Zaczęliśmy nawet działać, ale wraz z kryzysem wszystko tępnęło. Sami chcieliśmy zresztą pobudować się obok. Mateusz od początku był ekscentrycznym klientem.

– Dlaczego?

– Ostatnio na przykład, to był sierpień, chciał zamontować w domu specjalne szyby - wtrąciła Róża Kuczka. - Chodzi o szyby wykonane ze szkła dipolowego uruchamiane impulsem elektrycznym.

– To trochę brzmi jak science fiction.

– Ogromnie drogie science fiction - dopowiedział architekt. - Krótko mówiąc: szyby zmieniają kolor i przepuszczalność światła. Mateusz chciał, by żaden intruz nie widział, co się u niego w domu

dzieje. Rozwiązanie przypominające fenickie lustro było dla niego za banalne.

– Muszę wreszcie pojechać do Falenicy i zobaczyć ten dom. Czy Dudziński przyjaźnił się z kimś jeszcze? Z kimś oprócz państwa?

– Powinien pan porozmawiać z Łukaszem Zarembą. - Na dźwięk wypowiedzanego nazwiska Kuczka skrzywiła się, jakby bolał ją ząb. - Razem zaczęli w Falenicy. Potem Zaremba się wyprowadził, robił jakiś biznes na północy, koło Elbląga. Nigdy nie mogłam zrozumieć - zacisnęła usta - co Mateusz widział w tym człowieku.

– Nazywali siebie trzema muszkieterami - wtrącił Norbert Kuczka. - Dudziński, Dawidow i Zaremba.

A ty nie byłeś szalonym Gaskończykiem. Nie stałeś się czwartym. Nie należałeś do tego ekskluzywnego grona.

Heinz wracał do drzwi wąską ścieżką wytyczoną regałami. Odwrócił się, strącając ramieniem jedną z wystających książek.

– Czy państwo byli kiedyś w Czandigarhu? - Pochylił się i podniósł opasy tom pism filozoficznych Hegla.

Skierowali twarze ku sobie, jakby byli hinduskim dwugłowym bóstwem.

– Nie, nigdy - powiedziała kobieta. - Tam akurat nigdy nie dotarliśmy. A dlaczego pan pyta?

Wzruszył ramionami.

– Tak zapytałem. Bo ja też nie.

Gdy wyszedł, Norbert Kuczka z niechęcią sięgnął po telefon. Podobne nagrania powtarzały się ostatnimi czasy niczym mantra. Stanowczy kobiecy głos informował go, że bank prosi o natychmiastowy kontakt w sprawie zaległej spłaty.

Nie odsłuchał wiadomości do końca. Z wściekłością wyłączył telefon.

32

Heinz przekręcił kluczyk w stacyjce. Dwa metry przed nim wisiała tabliczka, której wcześniej nie dostrzegł: „Proszę wyłączyć silnik natychmiast po zatrzymaniu samochodu”.

Mateusz Dudziński, Jan Dawidow i jak ten trzeci? Łukasz Zaremba, przypomniał sobie. Zaczynali w Falenicy. Pojawił się ktoś, kto może rzucić światło na zdarzenia sprzed czternastu lat. Trzech muszkieterów. Mateusz, Jan i Łukasz. Raczej trzech ewangelistów. Trójca pionierów polskiego kapitalizmu. A z tyłu Norbert Kuczka. Jakby stał ukryty w ostatnim rzędzie na szkolnym zdjęciu.

Kątem oka dostrzegł, że ktoś zbliża się do samochodu szybkim krokiem. Usłyszał pukanie w boczną szybę. Otworzył drzwi.

- Nie widzisz tabliczki przed sobą, pętaku?! - wrzeszczała kobieta.
- Stoisz pod Instytutem Hematologii. Naucz się czytać, świński pomiole, i wyłącz ten jebany... - zamilkła nagle - Heinz? - zapytała łagodnie. - To ty. Hipis? Poznajesz mnie?

Jakby z koncertu Purpli gwałtownie przenieść się na występ Dead Can Dance.

Stała przed nim szczupła kobieta w czarnym flyersie. Na głowie miała beret w kolorach flagi Etiopii. Biel wydatnych kości policzkowych kontrastowała z czernią szminki.

- To ja. Jolka. Nazwałeś mnie kiedyś gotycka Jolka. - Chciał to samo powiedzieć, ale ubiegła go. - To naprawdę ja, Heinz, nie noc żywych trupów. Wyłącz wreszcie - powiedziała spokojnie - ten jebany silnik. I wejdź do mnie na górę. - Wykonała szybki ruch dłonią w stronę któregoś z okien. - Pogadamy o starych czasach.

Heinz ociągał się. Jakby toczył wewnętrzną walkę z samym sobą. Jolka wpatrywała się w niego z napięciem. Wreszcie podjął decyzję. Przymknął oczy i skinął głową.

Weszli do niewielkiego mieszkania na Chocimskiej. W jedynym pokoju na dywanie wałały się kompakty, kilka książek, dwie zgniecione puszki po piwie i popielniczka z piramidą niedopałków.

Jakbym się znalazł na wysypisku śmieci.

Spojrzał na aluminiową psią miskę w rogu pokoju.

- Mansona dwa tygodnie temu oddałam ojcu. - Jolka przyniosła dwie oszronione puszki. - To twardy mężczyzna. Po raz pierwszy w życiu widziałam, jak płakał. Zrozumiał, że przegrałam, że poddałam się. Jedną miskę Mansona zostawiłam sobie na pamiątkę.

Wybrała jeden z kompaktów.

- Spear of Destiny - powiedziała. - Stary band. Może być?

Ujdzie. Spear of Destiny. Włócznia przeznaczenia. Wybrałaś to celowo, czy przypadkiem? Heinz nie wierzył w los, jego złośliwe lub dobre siły. Poza nami, nic na tym świecie nie ma. Sami jesteśmy odpowiedzialni za wszelkie decyzje. Nie ma co zwać win na przeznaczenie. A jeśli, spojrzał na Jolkę, nas samych już prawie nie ma?

- Wiem - pociągnęła łyk - że pytałeś Karloffa o mnie. Więc tak w skrócie, jak na facebooku: jestem po mastektomii. Wiesz, co to jest?

Skinął głową. Nie miał siły, by odpowiadać. Pierwszy łyk piwa ugrzązł mu w gardle. O mało się nie zakrztusił.

- Mam odjętą jedną pierś i jestem na drugiej chemii. Nie będę ci opisywała skutków ubocznych: biegunek, owrzodzenia jamy ustnej, raczej nie chcesz tego słuchać.

Spojrzała na niego.

– Nie potrzebuję grupy wsparcia, nie próbuj mnie pocieszać, a ja nie będę zadręczać cię swoją chorobą. Powiem ci krótko: ja się poddałam. Rzuciłam ręcznik na ring, tak się mówi? Nie chcę już walczyć. Dziewięć miesięcy temu lekarze dawali mi czterdzieści procent szans. Pocieszałam się, że to prawie pół na pół. Zapytałam ich o rokowania miesiąc temu. Żaden mi nie odpowiedział. Tchórze... - wyrzuciła z pogardą.

Kirk Brandon śpiewał histerycznym głosem kolejną piosenkę.

Po co ja tu przyszedłem? Dlaczego się zgodziłem?

– Lepiej - zmieniła temat - powiedz, co tam w fabryce. Słyszałam, że macie niezły pasztet.

A jednak nie poddała się do końca. Tym razem powiedział wszystko. Z detalami. O seryjnym mordercy uśmiercającym kloszardów, o gwałcie na Ormiance i o biznesmenie strzegącym swej prywatności. O tym, że te dwie odrębne historie zbiegają się w jakimś punkcie.

– Jak ci się pracuje z Jowitą? - zapytała niespodziewanie.

– Jest w porządku. - Nie wiedział, co miałby więcej powiedzieć. - Znacie się?

Pokiwała głową.

– To twarda sztuka. I dobra policjantka. Aż za dobra, więc uważaj na nią. Ambitna jak diabli. Prawie jak ja.

Nie chciał wysłuchiwać ostrzeżeń. Potrzebował pomocy. Reanimacji. Tkwił w miejscu na jałowym biegu. Skoro już tu się znalazł...

– Więc co o tym wszystkim sądzisz?

Bawiła się rastamańską czapką, kręcąc nią na palcu.

- Podkreślałeś, że ten cały Dudziński miał obsesję bezpieczeństwa. Był zdenerwowany albo wręcz czymś przerażony. Dostał dziwną przesyłkę. Trumienkę, która bardziej pasowałaby do mnie. - Spojrzała na Heinza. - Sprzedał obrazy, chciał wycofać udziały z firmy. I wreszcie najważniejsze - czapeczka wylądowała w rogu pokoju - nie naprawił systemu monitoringu.

- Dlaczego akurat to jest najważniejsze?

- Bo Dudziński łał na to. Takie jest moje zdanie. Miał to gdzieś. Zrezygnował z budowy chałupy na Mazurach. Nie chciał już naprawiać systemu monitoringu, chociaż tak bardzo dbał o bezpieczeństwo. On chciał sprzedać ten dom. Sprawdziłeś to? Może nie wywiesił baneru na płocie, ale jestem pewna, że kontaktował się z agencjami nieruchomości.

Oczywiście, nie sprawdził. Czuł się jak Gołota w pięćdziesiątej sekundzie walki z Brewsterem. Jeszcze dwa szybkie ciosy i nastąpi nokaut. Gotycka Jolka przydałaby się nie na łożu śmierci, ale w komendzie. Powinna teraz być razem z nimi.

- On nie potrzebował kasy. Albo inaczej: potrzebował jej, ale nie tylko po to, by się komuś wypłacić. On chciał uciec, rozumiesz, Hipis? Po prostu uciec.

Być może Jolka ma rację. Ale jeśli to była prawda, coś musiało sprawić, że niemłody już mężczyzna postanowił zmienić swoje życie. Odwrócić się o sto osiemdziesiąt stopni i pozostawić wszystko za sobą. Desperacki krok w sześćdziesiątej prawie wiosnie. Kto zdobyłby się na coś podobnego?

- Zazdroszczę skurwielowi - wycodziła przez zęby. - Nie wszystkim dane jest drugie życie. Z pewnością nie mnie.

- Ale ty nie umarłaś - nieśmiało zaprotestował.

Ten głos oporu nie mógł zabrzmieć przekonująco. Popatrzyła na niego z politowaniem.

– Daj spokój, Hipis. A wracając do sprawy: oba twoje strzały, ten z szantażystą i dzieckiem, są prawdopodobne i mogą się łączyć ze sobą.

Wyjęła z płóciennej torby paczkę davidoffów.

Spojrzał na nią zaskoczony.

– Dziwisz się? - Wyjęła papierosa. - Przynajmniej wiem, jak umrę. Z fajkiem w zębach. Z dymem zamiast aureoli. Zapalisz?

Heinz zawahał się.

– To jak taniec śmierci umierającej na raka. W cyrku nie ma lepszego numeru. Więc jak? - Podsunęła paczkę.

Zesztywniałymi palcami ujął papierosa. Zapalił. Zapalniczka drżała mu w dłoni. Papieros wypalony z Kaszpirowskim smakował inaczej. Był częścią strategii związanej z prowadzeniem przesłuchania. Teraz było inaczej. Pierwszy raz od wielu dni zaciągnął się i odetchnął z ulgą.

– Mówiłeś, że w jakiej branży ten Dudziński działał?

– Odzyskiwanie i recykling niebezpiecznych odpadów.

– Niebezpieczne odpady. Sama jestem jak... - Nie dokończyła zdania. Łzy stanęły jej w oczach. Heinz usiadł obok i objął ją.

Spear of Destiny nie zwalniali tempa. Wypuszczony z płuc dym zmieszał się z solówką saksofonu.

Następna będzie kobieta.

Nadszedł czas, by spełnił obietnicę. Długo wahał się z wyborem miejsca. W końcu zdecydował. To będzie banalnie proste. Prawie w tym samym miejscu, w którym zabił ostatni raz. Prztyczek

wymierzony stróżom prawa. Tyle że teraz przeniesie się na drugą stronę ulicy, bliżej Olszynki Grochowskiej. Zapomniał, jak ten park się nazywa. Wyjął plan miasta i odnalazł właściwą stronę. Park imienia 13 września 1864 roku. Położył mapę na niewielkim stoliku na kółkach stojącym w rogu. Wiedział, jak się to stanie. Postawi samochód przy ulicy Kwatery Głównej. Ruch w ciągu dnia jest tam niewielki, wieczorem jeszcze mniejszy.

Sięgnął po niewielką plastikową butelkę wypełnioną benzyną. Nappełnił strzykawkę. Poczł charakterystyczną woń oparów roznoszącą się w gabinecie. Historia zatacza koło, pomyślał. Od benzyny zacząłem i na niej... Nie. Nie zakończy tego w ten sposób. Nie zatrzyma się. Czł, że igła z benzyną wbije się w serce kolejny raz. I następny. Miał w ten sposób zabić tego ostatniego kloszarda. I zrobiłby to, gdyby nie fatalny zbieg okoliczności. Schował strzykawkę do plecaka. Tym razem stary sweter, rozpruty podczas szarpaniny przy King Crossie, nie będzie mu potrzebny. Bluza. Bluza z kapturem będzie odpowiednia.

Przeszedł do przedpokoju i otworzył szafę. Czarna bluza z wyblakłym nazwiskiem jakiegoś amerykańskiego koszykarza. Zarzucił ją na siebie, założył kaptur i stanął przed lustrem. Poprawił ściągacz. Kaptur zasłaniał prawie całą twarz. Mógłby pójść nawet na jakiś hip-hopowy koncert. W tej bluzie przebiegł dziesiątki kilometrów. Zaczł trenować pod koniec liceum. Wtedy jeszcze nie palił. Stopniowo zwiększał obciążenia, dodając kilometr po kilometrze. Bieganie uspokajało go, wyciszało, oddalało od problemów. Wysiłek sprawiał, że codzienność rozpływała się w jego głowie. Ty nie biegiesz, usłyszał kiedyś od siostry, ty uciekasz. Kiedyś przebiegł ponad dwadzieścia kilometrów i osunął się na

ścieżkę. Podjechało do niego dwoje przerażonych rowerzystów. A on leżał, miał mgłę przed oczami i się śmiał.

Przy odtwarzaczu wciąż leżała *III Symfonia* Góreckiego. Wziął pudełko do ręki, ale rozmyślił się. Posłucha czegoś innego. Sięgnął po płytę Andreasa Scholia z pieśniami Roberta Dowlanda. Usiadł w fotelu i słuchał, jak jeden z najsłynniejszych kontratenorów przenosi go w inny wymiar. Muzyka, podobnie jak bieganie, sprawiała, że rzeczywistość odsuwała się na daleki plan.

Słuchał śpiewu mężczyzny o kobiecym głosie. Człowieka, który posiadał tajemnicę kastratów. Kiedyś pomyślał o sobie podobnie. Może zostałem okaleczony, ale nie jestem emocjonalnie wykastrowany.

Rzeczywistość odpłynęła, a w jej miejsce nagle wkroczyły wspomnienia. Miał może dziewięć lat i patrzył na chwiejącego się ojca. Gdy głowa mężczyzny przybliżała się, czuł odór wódki.

- To kim będziesz chciał być, jak dorośniesz? - bełkotał. - Pewnie pójdiesz w moje ślady, co?

- Chciałbym zostać muzykiem. Chciałbym śpiewać.

Ojciec wyprostował się gwałtownie i zamilkł. Zdawało się, że w jednej chwili wytrzeźwiał. A potem z całej siły uderzył go otwartą dłonią w twarz. Zlizywał krew z rozciętej wargi, kulił się na podłodze i słyszał kakofonię kobiecego płaczu i męskiego wrzasku.

- Coście z nim zrobiły? Zostawiam go wam, a wy co? Co z niego chcecie zrobić?! - krzyczał ojciec, trzymając się za głowę.

Potem wyszedł przed dom i otworzył garaż. Wybiegł z łopatą i z dziką zawziętością zaczął kopać.

- Zakopię te wszystkie wasze płyty - mruzczał. - I zakopię żywcem tego ujadającego ku... ku... kundla. - Gdy za dużo wypił, zaczynał

się jąkać. Popatrzył na psa i zamachnął się łopata. Zwierzę zawarczało i wyszczerzyło pożółkłe zęby. Wtedy nie wytrzymał. Z płaczem wybiegł przed dom i chwycił ojca za rękę. Nie pamięta, co było później. Usłyszał od siostry, że tego wieczora po raz pierwszy do ich domu przyjechała milicja.

Następnego dnia ojciec przewrócił się na schodach. Zaczął wyzywać matkę i krzyczeć, że umyślnie położyła coś na stopniach. Że chce go zabić. Położył się na łóżku i zasnął. Krzyczał przez sen. Ściemniało się, gdy wstał. Wyszedł z domu. Kilka dni go nie było. Panował spokój.

Takich wspomnień miał bez liku. Czuł się nimi dziedzicznie obciążony. Może dlatego sam nie założył rodziny? Bał się, że nagle, niespodziewanie, niezauważalnie dla samego siebie i najbliższych, stanie się podobnym człowiekiem. Rok temu, gdy umarła siostra, jego przecucia się sprawdziły. Zostawiła męża i małe dziecko. Lekarze mówili o tętniaku, ale on wiedział swoje. Nic nie dzieje się bez przyczyny. To przeszłość ją zabiła. Przeszłość i straszne wspomnienia.

Ojciec nie żył już od wielu lat, ale co to miało do rzeczy. Ulżyło im, gdy stary stoczył się zupełnie. Wtedy zaczął pomieszkiwać na śmietnikach, w końcu znaleźli go na Żeraniu, przy kanale. Matka i siostra pojechały zidentyfikować ciało. Długo nie chciał im uwierzyć, że ojciec już nie wróci. Sądził, że wymyśliły historyjkę o jego śmierci, by poczuł się bezpiecznie. Jednak nawet teraz, po latach, jego postać powracała we wspomnieniach jak zły duch.

Ktoś dzwonił do furtki. Spojrzał na zegarek. Kompletnie zapomniał, że jest jeszcze dziś umówiony. Wspomnienia ostatecznie uleciały. Andreas Scholl śpiewał w najwyższych rejestrach, na jakie

pozwalał mu głos. On też musi podjąć wysiłek. Będzie ryzykował. I to bardzo.

Następna będzie kobieta. To stanie się jutro wieczorem.

Kastoriadis wykonał ostatnią serię kopnięć. Wziął prysznic i odnalazł znoszoną koszulę pochłapaną farbą. Założył zniszczone spodnie i stare buty. Adres siostry Urbaniaka zdobył bez większego trudu i uznał to za dobry znak. Wybrał kolejny numer i połączył się z lekarzem ze szpitala psychiatrycznego w Katowicach. Poprosił go o drobną przysługę. Od czego w końcu są przyjaciele? Miał pewność, że zostanie natychmiast poinformowany o kolejnej wizycie wścibskiego dziennikarza u Inkwizytora.

Kastoriadis potrafił zjednywać sobie ludzi. Tak było w Kalifornii, gdy przez kilka pierwszych miesięcy spał na materacu w sali treningowej, dolara przy duszy i żywił się tym, co mu przynieśli inni. Podobnie było po jego powrocie do Polski. Rudolf Heinz także należał do tych, którzy mu pomogli. Gdyby nie komisarz, zapewne gniłby teraz w więzieniu.

Przyszła pora, by wyrównać rachunki i zostawić napiwek.

Wiedział, że musi działać szybko, nie może przespać tego momentu, bo będzie za późno. Musi powstrzymać lawinę, zanim ta zacznie sunąć w dół. Pomyślał o siostrze Urbaniaka i zawahał się. Jakkolwiek by na to patrzeć, ta kobieta uratowała Hipisowi życie. Gdyby nie wezwała wówczas policji, Heinz usmażyłby się na stosie podpalonym przez Inkwizytora. Przypomniawszy sobie, co powiedział Andrzejowi Kolbie na pożegnanie. Rykoszety bywają niebezpieczne. Trafiają na oślep. W kogo popadnie. Ale on po omacku nie uderzy. Zrobi tylko tyle, ile musi. Przeprowadzi swoją operację z

chirurgiczną precyzją. Przynajmniej tyle należy się siostrze psychopaty.

Była dziewiąta wieczorem, gdy dojechał do Sosnowca na osiedle Naftowa. Odnalazł adres i zaparkował przy czteropiętrowym bloku. Z ulgą dostrzegł, że domofon jest zepsuty. Jeden kłopot mniej. Wszedł na klatkę schodową. Listy lokatorów nie zauważył, był jednak pewien, że trafił we właściwe miejsce. Jego informator z pewnością się nie pomylił.

Cztery mieszkania na piętrze. Czyli numer dwanaście będzie na drugim.

Wrócił do samochodu i czekał. Godzinę później większość światel w oknach była pogaszona. Ciche życie osiedla pogrążonego w odwiecznym letargu. Zazgrzytały nienaoliwione drzwi wejściowe i ukazał się w nich, niewielkich rozmiarów pies, wyprowadzający na spacer właściciela. O jedenastej weszła do bloku hałaśliwa młoda para. Po minucie rozbłysło światło w oknach na pierwszym piętrze.

Kilka minut po północy uznał, że nadszedł czas.

Krystyna Urbaniak szykowała się do wyjścia. Pracowała w niewielkim osiedlowym sklepie i poznała dobrze tutejszych mieszkańców oraz ich przyzwyczajenia. Na szczęście oni za dobrze jej nie znali. A już z pewnością nic nie wiedzieli o jej przeszłości i rodzinnych powiązaniach.

Sześć lat temu sprzedała ładne mieszkanie na Nikiszowcu i kupiła tę kawalerkę. Część pieniędzy, które zostały po zamianie, odłożyła na koncie. Na gorsze czasy. I nie pomyliła się. Teraz, gdy z trudem wiązała koniec z końcem, oszczędności bardzo się przydały.

Z Katowic musiała się wyprowadzić. Straciła dobrą pracę. Siostra kolejnego śląskiego wampira nie jest dobrą reklamą dla żadnej

firmy. Tak usłyszała od szefa. Dawne przyjaciółki wytykały ją palcami. Za plecami słyszała złośliwe szepty. Nic jej nie pomogło, że uratowała życie tamtemu policjantowi. Nikt o tym nie pamiętał. Na osiedlu była przekreślona. Dzieci uciekały na jej widok, wyzywając ją od wiedźm. Kiedyś dziesięcioletni chłopiec zabiegł jej drogę, wyjął zapałkę i ją zapalił. Gdy iskra zamieniła się w płomień, dzieciarnia wybuchnęła śmiechem.

Wszystko byłoby inaczej, gdyby nie brat. Przynajmniej raz w miesiącu odwiedzała go w szpitalu, jakby chciała zrozumieć, co takiego się z nim stało. Przecież u nich w rodzinie byli powstańcy śląscy, górnicy, kolejarze, trzech księży.

Chodziła na msze, które odprawiał, widziała wiernych wsłuchujących się w głoszone przez niego kazania i dziękowała Bogu, że ma takiego brata.

Wiele razy, kiedy przychodziła na oddział zamknięty, myślała, że to wszystko jej się śni. Że Jerzy nikogo nie zabił. On nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Wierzyła, że zły sen się skończy i znowu zobaczy brata klękającego w odświętnym ornacie przed ołtarzem. Przecież nawet tu, w szpitalu, rozmawiał z nią całkiem normalnie, często się uśmiechał, trzymał za rękę. Czasami tylko zdawało się, że gubi łagodne spojrzenie, odpływa gdzieś daleko i zaczyna opowiadać niestworzone historie. Tak jak ostatnio. Gdy mówił, że powstaje film o jego życiu i że wreszcie cała prawda zostanie ujawniona. I że ona będzie mogła wrócić na Nikiszowiec z podniesioną głową.

Wyszła na korytarz i zamknęła drzwi. Usłyszała sapanie i szcęk objających się o siebie butelek. Sąsiadka mieszkająca naprzeciwko dźwigała dwie ogromne siatki z zakupami.

Pozdrowiła ją, ale kobieta nie odpowiedziała. Obrzuciła Urbaniakową dziwnym spojrzeniem. Widocznie ma swoje humory. Ruszyła w stronę schodów, gdy wbiło ją w ziemię pytanie.

– A właściwie to czyją jest pani siostrą?

Zesztywniała ze strachu. Powoli odwróciła się i znów zamarła. Drżały jej powieki. Nie wiedziała, co ma odpowiedzieć.

Sąsiadka najwyraźniej nie spodziewała się odpowiedzi. Otworzyła drzwi do mieszkania, wtaszczyła pakunki i znikła.

Skąd się dowiedziała? Czuła, że żołądek podchodzi jej do gardła. Skoro już jedna wie, to za chwilę... Za chwilę udręka i upokorzenie zaczną się od nowa.

Zeszła na parter. Dwóch sąsiadów stało w milczeniu i patrzyło na napis zrobiony białą farbą olejną. Ciągnął się przez całą długość ściany.

Czyja siostra mieszka pod numerem dwanaście.

Chciała krzyknąć, ale powstrzymała się. Zakryła dłonią usta.

34

Panie komisarzu, jesteśmy na miejscu. - Policjant z komendy przy ulicy Grenadierów spojrzał na pasażera i zatrzymał samochód.

Heinz ocknął się. Miał za sobą kolejną nieprzespaną noc. Myślał o rozmowie z gotycką Jolką. Z umierającą kobietą. W myślach już ją pogrzebał. Był pewien, że więcej się nie zobaczą. „Ona umiera, Heinz”, przypomniał sobie słowa Karloffa. Taniec śmierci na linie.

– Nie ułożyło mi się - powiedziała łamiącym się głosem, gdy płyta Spear of Destiny zbliżała się do końca. - A dlaczego tobie, Hipis, nigdy się nie ułożyło?

Nie odpowiedział.

Po śmierci żony raz czy dwa spróbował zacząć na nowo. Przecież chłopak powinien mieć matkę, tłumaczył sobie. Wielu mówiło mu podobnie. Po drugim niepowodzeniu odpuścił. Być może zabrakło mu cierpliwości. A może pogodził się z losem. Zresztą teraz, gdy syn trzasnął drzwiami i wyprowadził się na drugi koniec Polski, i tak nie miało to znaczenia. Pewnie byłoby inaczej, gdyby czuł się samotny. Ale jemu nigdy nie brakowało towarzystwa. Tak. Na portalach społecznościowych byłby gwiazdą. Rozchwytywany przez ofiary przestępstw i ich oprawców. Zapraszany do rosnącego, z dnia na dzień, grona przyjaciół.

Uliczny szum zrobił się na tyle głośny, że zrezygnowany i zmęczony podniósł się z łóżka. Wziął lodowaty prysznic, wypił kawę i zadzwonił na Grenadierów. Chciał obejrzeć dom Dudzińskiego. Przydzielono mu posterunkowego, który raz już był w tamtym miejscu, gdy ochrona ponownie podłączała alarm. Tego zażądała pani Jones, dawniej Dudzińska, spadkobierczyni domu. Śmierć jej byłego męża nie budziła podejrzeń, nie było też powodu, by jej odmówić, a przynajmniej pozbywali się kłopotów. Opuszczony dom skusił już niejednego.

Nie wiedział, co go naszło. Zapewne rozmowa z Jolką oraz bezsenność wprawiły go w stan niepokoju. Była druga w nocy, gdy zadzwonił do syna.

– Jezu, coś się stało? Umarł ktoś? - usłyszał zaspany głos.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. To, co później mówił, z pewnością nie było jasne dla kogoś wyrwanego ze snu.

– Tato, ty pijesz za dużo - usłyszał. Na ogół takim wypowiedziom towarzyszyła ironia albo intencja zaczepki, tym razem jednak było

inaczej. Być może w głowie syna pierwszy raz odezwała się dalekim echem, troska.

– Powinieneś dodać: znowu - odpowiedział i jakby na potwierdzenie tych słów pociągnął łyk z puszki.

– Okej, zatem znowu pijesz za dużo.

– Jak skończę tu pewne sprawy - mówił z lekką chrypką w głosie - przyjechałbym na Wybrzeże. Chętnie bym się z tobą zobaczył... - Zabrzmiało to jak prośba.

Zapadła cisza. Usłyszał ciche mruknięcie i kobiecy głos wymówił imię jego syna. Swoją drogą ciekawe, gdzie ty, młody, teraz jesteś? Raczej nie w swoim pokoju w akademiku.

– To musisz się pospieszyć. Za trzy tygodnie gramy w Gdyni koncert.

Wyczuł, że młody chce coś jeszcze powiedzieć.

– No, mów. Wytrzymam - wybełkotał. - Wszystko wytrzymam.

– Rozmawiałem z dziadkiem. Powiedział, że może przyjedzie nas posłuchać.

Spotkanie na szczycie. Rodzinka w komplecie. Jak w mydlanej operze. Tym razem zniósł to jakoś. Nie rozłączył się.

Nie był nawet specjalnie zdziwiony. Musiał coś odpowiedzieć. Jak zwykle dzielny Rudolf Heinz.

– Postaram się być - wydusił bez większego przekonania. - Mam nadzieję, że dam radę. Tak w ogóle to ty nieźle śpiewasz.

O czwartej rano usłyszał pijackie krzyki za oknem, później podobne odgłosy niosły się korytarzem hotelu policyjnego. Widocznie któryś z mieszkańców wrócił z nocnego obchodu po Warszawie. Wreszcie przyszła wiadomość. Przeczytał esemesa.

„Naprawdę zazdrozczę skurwielowi. Drugie życie. Może trzecie. Jak w grze komputerowej. Nie to co ja. J.”.

Powinien odpisać, ale nie wiedział co. Co miałby odpowiedzieć? Nie martw się, wszystko przed tobą? Musi się zastanowić. Jutro coś wymyśli.

Rano wciąż był nieprzytomny. Chyba przysnął podczas jazdy do Falenicy. Przeciągnął dłonią po szorstkim zaroście i z roztargnieniem spojrzął na kierowcę, gdy zatrzymali się na miejscu.

Wysiedli z samochodu. Stali na piaszczystej drodze z dziesiątkami wyżłobionych wzniesień i załamania. Heinz rozejrzał się. Z jednej strony las, z drugiej, w oddali, pojedyncze dachy sąsiednich posesji. Dom Dudzińskiego rzeczywiście stał na uboczu przy skrzyżowaniu z polną ścieżką. Odludzie. Totalne odosobnienie, w sam raz dla człowieka, który chroni prywatność i chce uciec przed wścibskimi spojrzeniami. A może chce też ukryć się przed przeszłością.

Do Heinza podbiegł mały czarny kundel i zaczął na niego szczekać. W okolicy rozległ się skowyt i ujadanie innych psów. Komisarz zamachnął się nogą, by odgonić natręta. Kundel odskoczył i z bezpiecznej odległości warczał na policjantów.

– Proszę zobaczyć! - Posterunkowy wskazywał na furtkę. - Ktoś chciał się włamać. Plomba jest zerwana.

– Alarm się włączył?

– Raczej nie. Nie mieliśmy żadnego sygnału od ochroniarzy. Gdyby ktoś chciał dostać się do domu, wyłoby jak cholera.

Podeszli bliżej domu. Popatrzył na dachówki w miedzianym kolorze, przykrywające nadzwyczaj prostą konstrukcję. Wyłożona granitem ścieżka znajdowała się na wprost ogromnego okna. Budynek sprawiał wrażenie przysadzistego i ciężkiego. Heinzowi ten

przytłaczający dom skojarzył się z gigantycznym grzybem. Toksyicznym, trującym grzybem.

Stanęli przy drzwiach i posterunkowy wskazał na lampkę migoczącą zielonym, słabym światłem.

– Przy próbie włamania świeciłoby na czerwono - zauważył posterunkowy. - Po prostu jakiś debil zerwał naszą plombę.

Najwyraźniej jednak coś nie dawało policjantowi spokoju. Jakby chodziło o coś osobistego. Jakby ktoś zarysował mu jego własny samochód.

– Na wszelki wypadek przejdę się, panie komisarzu, po terenie. Z tej strony, ta posiadłość nie robi wrażenia. Ale z drugiej... Garaż wielkości hangaru, ogromny ogród i kilka rupieciarni.

Heinz wszedł do środka. Nie był zaskoczony tym, co ujrzał. Z grubsza tak wyobrażał sobie ten dom. Uderzyła go panująca tu pustka. Przeszedł przez hol wprost do salonu. Tu znaleziono ciało. Jeden z foteli obitych czarną skórą stał przy stoliku ze szklanym blatem, drugi był odsunięty aż po półki z książkami i płytami. Tam spoczywało ciało. Dziwne. Fotel ustawiony tyłem do sprzętu grającego, plecami do czterdziestodwucalowej plazmy. Po co miałyby tam siadać? Dlaczego nie położył się na kanapie? Musiał poczuć się źle i wybrał najbliższe miejsce. Nie ma innej możliwości.

Przejrzał książki i płyty. Kompletny miszmasz. *Zbrodnia i kara*, album dotyczący pielęgnacji roślin i bracia Strugaccy. Z kompaktami podobnie. Nic takiego, co sam chciałby mieć.

Dużo popu i rocka z lat osiemdziesiątych i początku następnego dziesięciolecia. Depeche Mode, Ultravox, Shakira. Nie jego bajka.

Za to sprzęt audio to było prawdziwe cacko. Heinz znał się na wzmacniaczach, przedwzmacniaczach, kolumnach i efektach

gitarowych. Mógłby o nich rozmawiać godzinami. Sprzęt audiofilski nigdy go specjalnie nie interesował. Nigdy nie było go na coś takiego stać. Ponadto uważał, że liczy się duch muzyki, a ten rozbrzmiewa w każdych warunkach. W najgorzej nagłośnionej, zadymionej budzie. Nawet na magnetofonie takim jak kasprzak.

Przyglądał się konstrukcji złożonej z siedmiu wertykalnie umieszczonych segmentów połączonych skłębionymi kablami. W dwóch narożnikach salonu stały głośniki zawieszane na kilkudziesięciocentymetrowych nóżkach. Na półce leżały słuchawki. Z pewnością nie był to sprzęt najnowszej generacji, tyle wiedział na pewno. Swoją drogą ciekawe, ile kosztował. Tyle co jego samochód? Dwa samochody? Nie umiał oszacować.

Znalazł płytę z przebojami Sade i chciał ją włączyć, gdy usłyszał Muddy'ego Watersa w komórce, a po chwili głos Prałata.

– Znalazłem sprzątaczkę - dyszał. - Pracowała u Dudzińskiego w środy. *Genius loci*. Jakże mnie tu namierzyłeś? Telepatycznie?

– I ta sprzątaczką nigdy niczego nie zauważyła. Rozumiesz... Ani kieliszka ze śladami szminki, ani niedopałków. Żadnego śladu odwiedzin.

– Ani kałusza pod kanapą - dopowiedział. - Dlaczego dyszysz?

– Samochód mi się spie... zepsuł. Spieszę się do komendy.

– Sprawdziłeś konto Dudzińskiego?

– Tak. Dla ścisłości: trzy różne konta. Najpierw pomyślałem, że potroiły mi się zera, potem zacząłem je liczyć...

– Transakcje ze sprzedaży obrazów są odnotowane?

– Są. Wszystko jest w najlepszym porządku. A z tym wyłączaniem monitoringu - zmienił temat - też lipa. Przejrzałem taśmy. Dwa razy tylko przerwał swego Big Brothera. 24 i 31 lipca. Najstarsze

rejestracje, które się zachowały, pochodzą z lipca. I tak jest tego od pyty. - Heinz usłyszał przekleństwo w telefonie i połączenie zostało przerwane.

Albo Prałata coś przejechało, albo ochlapał go samochód. Tak czy inaczej, powiedzą mu o tym.

Wyrzął przez okno. W oddali zobaczył bramę i furtkę, z której ktoś zerwał plombę. Ciekawe kto? Podszedł do kominka. Ludzie czasami palą w nim ciekawe rzeczy. A te, jak na złość nie chcą spłonąć. Rozgrzebał warstwę popiołu, ale nie znalazł nic ciekawego. Nad paleniskiem wisiało zdjęcie. Mężczyzna w szarym garniturze obejmował szczupłą, atrakcyjną blondynkę. Zdjęcie, już nieco wyblakłe, pochodziło sprzed wielu lat, podobnie jak sprzęt audiofilski. Domyślił się, że kobieta na zdjęciu to pani Dudzińska. Obecnie pani Jones. Minęło trzynaście lat od ich rozvodu, ale zdjęcie wciąż wisiało na honorowym miejscu. Nad, zastanowił się, ogniskiem domowym.

Obejrzał pozostałe pokoje, dwie łazienki i kuchnię. Zajrzał do lodówki. W zamrażalniku znalazł oszronioną, w połowie opróżnioną butelkę wódki. Wszedł na piętro i zajrzał do sypialni. Banalna do bólu. Łoże małżeńskie, dwie szafki, dwie lampki. Żadnego lustra na suficie, kajdanek, pejców ani innych fajerwerków. W kącie przy oknie olbrzymia doniczka z usychającym kwiatem.

Zszedł na dół i otworzył drzwi prowadzące do piwnicy. Drewniane schody skrzypiały pod jego ciężarem. Piwnica dzieliła się na osiem segmentów. Większość wypełniona była stosami połamanych drewnianych mebli i odłamkami żelastwa. W jednej znalazł na pół złożony motocykl Junak M07. Pewnie jeszcze z lat pięćdziesiątych. Inną część wypełniały kolorowe pisma dla kobiet.

Stał dłonią kurz z okładki. Początek lat dziewięćdziesiątych. W kolejnej przegródce stał, pokryty pajęczyną, atlas do najprostszych ćwiczeń kulturystycznych oraz bieżnia. Obok leżały leciutkie hantle. Zestaw kobiecy. Zostało z uczyty bogów. Przypomniawszy sobie tytuł jakiejś książki. Pozostało po pani Dudzińskiej. Najbardziej zaskoczyła go biało-czerwona flaga pokryta kurzem i pajęczyną. Ciekawe, kiedy ostatni raz ją wyciągnął i przy jakiej okazji?

Wilgotne jesienne powietrze orzeźwiło go. Posterunkowy czekał oparty o maskę samochodu i palił papierosa. Heinzowi zabrakło fajek nad ranem. Pierwszą paczkę chesterfieldów, kupioną po tak długiej przerwie, opróżnił w kilka nocnych godzin.

- Nic ciekawego. - Posterunkowy wdeptał niedopałek w piach. - Obszedłem dookoła, wszystko pozamykane na cztery spusty. Tak jak było. Otworzyłem tylko garaż. Też jest zabezpieczony alarmem. Chevrolet stoi, jak stał. Fajna, masywna bryka - westchnął. - Nie takie gównno, którym przyjechaliśmy.

Wracali na Pragę. Przez cały czas Heinz nie mógł uwolnić się od wrażenia, że dom Dudzińskiego, banalny dom banalnego mężczyzny, wywołał w nim dziwny niepokój. Nie do końca umiał nazwać i opisać swoje odczucia. Chodził po pustych przestrzeniach i słyszał bicie własnego serca. Nieprzespana noc, za dużo alkoholu, papierosy, które znów zaczął palić i kac. Dudziński zmarł na serce. Heinz też mógł stać w kolejce do odstrzału.

Gdy odjeżdżali spod domu, na tabliczce spostrzegł nazwę ulicy. Biznesmen z Falenicy mieszkał przy ulicy Przyjemnej.

Ktoś tu się pomylił.

Różnie można było mówić o tej ulicy, ale do przyjemnych ona z pewnością nie należała.

Ze snu wyrwał go telefon.

– Kurwa, Heinz, ogłuchłeś chyba od tego grania na gitarze! - warknął Karloff. - Nasz psychopata ze strzykawką miał kolejny występ. Park przy Kwaterze Głównej. Prawie w tym samym miejscu, gdzie ostatnio, tylko po drugiej stronie. Wiesz gdzie?

– Mniej więcej. Znajdę. Kobieta?

– A jak ci się wydaje?

Najwyraźniej ktoś podszedł do Karloffa i coś powiedział. Heinz usłyszał jazgot policyjnej syreny i rozmowa została zakończona. Na wyświetlaczu zobaczył dziesięć nieodebranych połączeń. Była jedenasta wieczorem. Wrócił z Falenicy i zaległ. Musiał odespać. Najwyraźniej wiek robi swoje.

A jednak... Przejechał przez migające na żółto światła. Jak to się mogło stać? Szanse, że Doktor Śmierć spełni swoją groźbę i zaatakuje kobietę, były czysto iluzoryczne. Przynajmniej tak to oceniał. Kac ustąpił momentalnie. Nagły skok adrenaliny podzielał. Czuł się tak, jakby ktoś wymierzył mu siarczysty policzek. A potem drugi.

Wsiadł w samochód i wybrał numer Karloffa.

– Wiecie, kim jest ofiara?

– Nie ma żadnej ofiary! - wykrzyczał Karloff głosem pełnym triumfu. - Ta kobieta żyje! Widziała go.

– Jak to żyje? - Nie zrozumiał w pierwszej chwili.

– Normalnie. Nie zabił jej. Chyba nie jesteś tym faktem rozczarowany.

Znów się rozłączyli. Kobieta żyje. Gud njus, przemknęło mu przez głowę. Ale nie z tego powodu, Karloff, o którym myślisz.

Zatrzymał samochód, przebiegł na drugą stronę ulicy i pokazał blachę. Po chwili znalazł się w sektorze dla VIP-ów. Wśród kilkunastu policjantów i rozhisteryzowanej kobiety otoczonych tłumem gapiów. Zauważył, że wielu trzyma w dłoniach telefony komórkowe i nagrywa filmy. Jutro staną się bohaterami youtube'a.

No śmiało. Czekamy jeszcze na oklaski.

– Atak nastąpił o dziesiątej pięć - Karloff powiedział to z wyrzutem.

– Oczywiście. Powinienem być tu na miejscu, najlepiej na spacerze z psem, i pospieszyć na pomoc napastowanej kobiecie. - Popatrzył na szefa zespołu. - A teraz nie pierdol, tylko daj mi fajka.

Karloff otworzył usta. Jego pociągła, wychudzona twarz mogłaby być inspiracją dla jakiegoś malarza, zwłaszcza naśladowcy Muncha.

Każde kolejne zdanie, które słyszał, utwierdzało Heinza w przekonaniu, że próba zabójstwa była mistyfikacją.

Podszedł do łkającej kobiety, wspartej na ramieniu policjantki.

– Wiem - starał się mówić najłagodniej, jak potrafił - że te chwile są dla pani trudne. Wiem, że już pani o tym napadzie opowiadała. Bardzo proszę - zrobił oczy spaniela - powiedzieć to jeszcze raz.

Pięćdziesięciolatka z trwałą na głowie zaszlochała i rozejrzała się, jakby spodziewała się kolejnego ataku. Wracała z pracy jak zwykle. Miała wrażenie, że ktoś za nią idzie, ale czuła się tak nie pierwszy raz. Nagle za sobą usłyszała czyjeś kroki. Dopiero wtedy się odwróciła. Mężczyzna w kapturze szarpnął za torebkę i jednocześnie uniósł drugą dłoń. Pasek od torebki pękł. Wtedy zaczęła krzyczeć. Ten w kapturze zaczął uciekać. Nagle pochylił się. Tak jakby coś upuścił. Podbiegła, bo myślała, że odzyska torebkę. Lecz tam leżało

coś zupełnie innego. Strzykawka. To pewnie jakiś narkoman. Pełno ich tu w okolicy. Tyle razy wam zgłaszaliśmy, a wy jak zwykle nic.

Znów zaczęła płakać.

– Daliście jej coś na uspokojenie? - zwrócił się cicho do policjantki.

– Był lekarz, ale sam pan widzi.

– Skąd pani wie - wygrzebał z kieszeni wymiętą jednorazową chusteczkę i podał kobiecie - że to był mężczyzna? Widziała pani twarz?

Nie była pewna.

– Widziałam oczy. Szalone, wpatrujące się we mnie oczy. To musiał być mężczyzna. Kobieta tak nie patrzy.

Człowiek w kapturze rozplynął się w powietrzu. Dobiegł do następnego skrzyżowania, tam prawdopodobnie wsiadł w samochód i odjechał. W którą stronę? Nie wiadomo. Mordercę znowu poniosły emocje. Zachowywał się nerwowo. Już poprzednio, gdy zabił Kolanę, przestał działać precyzyjnie. Tym razem poszło mu jeszcze gorzej. Dlatego, że tym razem, po raz pierwszy, chciał zabić kobietę? To niewykluczone. Dlatego, że napadnięta zaczęła przeraźliwie krzyczeć? Taka reakcja mogła go spłoszyć. Kłoszardzi raczej nie krzyczeli. Nie wzywali pomocy. Konali w milczeniu. Zabójca dotychczas nie spotkał się z taką reakcją. I spanikował.

O tej godzinie w parku mogli być jeszcze ludzie. Gdy uciekał, zgubił strzykawkę z benzyną.

To była wersja Karloffa. Heinz patrzył na sprawę zupełnie inaczej.

– W którym miejscu ten człowiek się potknął? - zwrócił się do ofiary.

– O tam - wskazała palcem - tam, gdzie stoi ten pan. Udał się w tamtym kierunku i stanął koło Karloffa. Kilkakrotnie stuknął butem w asfalt.

Nawet ślepy by się tu nie przewrócił. Nie ma szans.

– To ściema, nie wierz w to. Całkowita ściema. Tłumek gapiów spragnionych nocnych wrażeń powoli malał. Niedobitki chciały opić zdarzenie. Trwały głośne i żmudne negocjacje, kto kupi wódkę. Jedna z postaci wydała mu się znajoma. Podszedł bliżej. Nie pomylił się. Tylko dlaczego Kaszpirowski wspierał się na kuli? Wspierał się, rzecz jasna, tą ręką, która nie była zabandażowana.

– Co tam Kaszpirowski? Nordic walking uprawiasz? - Kopnął w kulę.

Wypłosz zachwiał się i zdrową ręką chwycił się policjanta.

– No co pan, komisarzu? Wypadek miałem.

Dwaj mężczyźni, którzy stali obok dastmana, nagle wyparowali.

– Kolegów mi pan wystraszył - powiedział z żalem Kaszpirowski.

– To zostaw tę kulę, zdejmij bandaż, cudownie ozdrowiej i ich goń!

Kloszard tylko połowicznie skorzystał z jego rady. Schylił się, chwycił kulę, a potem potruchtał w stronę znikających za zakrętem postaci.

Policjantka, która opiekowała się napadniętą, paliła papierosa. Heinz podszedł do niej, poprosił jednego, zaklął pod nosem i odjechał.

Jerzy Waligórski od czternastu lat pracował w Komendzie Miejskiej Policji w Elblągu. Nadszedł czas, by zaczął myśleć o emeryturze. Uchodził za świetnego specjalistę w sprawach

związanych z podpaleniami, a o tym, że jego sława ma zasięg nie tylko lokalny, przekonywały wykłady, jakie od czasu do czasu wygłaszał w szkole policyjnej w Szczytnie. Nie przypadkiem też koledzy obdarzyli tego blondyna o twarzy dziecka ksywą Piro, z której naprawdę był dumny.

Był zastępcą komendanta. Wprawdzie nie pierwszym po szefie, ale jednak zastępcą. Zdarzało się - w ostatnim czasie coraz częściej - że siedział w swoim gabinecie przy ulicy Tysiąclecia i zastanawiał się, co będzie z nim dalej. W policji został mu do wykonania ostatni krok. Wiele wskazywało na to, że jego przełożony za dwa, trzy lata zrezygnuje ze stanowiska, ale czy warto było czekać? Pewności, że to on zostanie namaszczony na kolejnego wodza, nie miał żadnej.

Powinien zostać ekspertem w firmie ubezpieczeniowej specjalizującej się w sprawach związanych z wyłudzeniem odszkodowań. Stary dom, sklep lub zakład przemysłowy szedł z dymem, właściciele szlochali i łamiącymi się głosami opowiadali o straconym dorobku, a także o tym, że w krótkiej chwili ich życie wywróciło się do góry nogami. Tymczasem prawda była inna. Należące do nich budynki sami puszczały z dymem, po cichu zacierali ręce i czekali, aż ich konta wzbogacą się o pokażne sumy z ubezpieczenia, które znacznie przewyższały stratę.

Piro powinien zająć się takimi przypadkami. Byłbyś w tym mistrzem świata, żona zachęcała go do takiego kroku. Tak czy inaczej, nie powinien się ociągać. Zacznie odwlekać decyzję i skończy jak jego przyjaciel Heinz.

Nie pamiętał dokładnie, kiedy widzieli się po raz ostatni. Cztery lata temu? Wtedy, gdy Hipisa poproszono o ekspertyzę w sprawie śmierci studenta w jednym z gdańskich akademików. Zdziwił się,

ale zarazem ucieszył, gdy rano usłyszał głos Heinza w słuchawce. Dobry humor minął, gdy zapytał go o cel wizyty.

– Czy mówi mi coś nazwisko Łukasz Zaremba? - zastanawiał się nad właściwą odpowiedzią. - Wolałbym, by nic mi nie mówiło, ale jest inaczej. To wyjątkowy skurwysyn. Ale trzeba mu oddać, wyjątkowo inteligentny skurwysyn.

W sumie Heinz nie spodziewał się innej odpowiedzi.

– Czym tak bardzo załazł ci za skórę?

– Jest wiele powodów. Ale powiem ci o osobistym. Wychodził u nas lokalny tygodnik. W jednym z numerów miał się ukazać artykuł krytykujący Zarembę. Zresztą, co to za krytyka... Tak jakby ktoś niewinnie uszczypnął cię w policzek.

– Rozumiem, że magnat wycofał reklamy? Prenumerowałeś ten tytuł, rozwiązywałeś krzyżówki z ostatniej strony, czy co?

– Nie rozwiązywałem krzyżówek. Zaremba wycofał wszystkie reklamy. A miał zarezerwowane kilka miesięcy do przodu.

Zamilkł, jakby zbierał się w sobie, by dokończyć.

– Tam, w tej gazecie, pracowała moja córka, Magda. Jej pierwsza robota... A o tytule mówimy już w czasie przeszłym.

O dziewiątej rano zadzwonił do biura firmy Comprex należącej do Zaremby. Poprosił o pozostawienie wiadomości dla szefa.

– Proszę podać mi numer telefonu, oddzwonię do pana. Kalendarz prezesa na najbliższe dni jest bardzo napięty - uprzedziła go sekretarka.

Pewnie wygłaszała w życiu tę formułkę częściej niż trzy magiczne słowa: proszę, dziękuję, przepraszam.

– Zatem proszę przekazać panu prezesowi, że chciałbym porozmawiać z nim o pewnym wątku związanym ze śmiercią jego

przyjaciela, Mateusza Dudzińskiego. Bardzo - zawiesił głos - liczę na pomoc pana prezesa. Proszę zanotować to dokładnie.

Godzinę później, gdy komisarz był już w drodze, asystentka oddzwoniła. Ustalili godzinę spotkania.

– Pan prezes zaprasza do siebie. Specjalnie dla pana poprzestawiał terminy spotkań.

Akurat. Nie słuchał, co mówiła dalej. Rzuciłem przynętę, a on ją chwycił. Po prostu jest ciekawy, o co mi chodzi.

Droga do Elbląga dłużyła mu się. Co kilkadziesiąt kilometrów napotykał na kolejne szykany rozstawione przez ekipy przebudowujące krajową „siódemkę”. Wyjechałby z Warszawy wcześniej, gdyby nie zebranie ciągnące się jak tasiemcowy serial. A przecież, powtórzył zdanie, które wypowiedział wieczorem, wczorajszy atak był ściemą.

Doktor Śmierć mógł przecież znieczulić swoją pacjentkę. Cegłą, butelką, kamieniem, nawet pięścią. Czymkolwiek. A on nagle, wobec kobiety, stał się taki rycerski? Chwycił za torebkę? Po co? Chciał poprawić sobie makijaż? Dlaczego uciekł? Dobrze, ofiara zaczęła krzyczeć. Kloszardzi pewnie tak się nie zachowywali. Umierali po cichu. Puściły mu nerwy, nie byli przecież na odludziu, zaczął uciekać i zgubił strzykawkę. Kobieta opowiadała, że biegł i nagle jakby się potknął. Na równej drodze. Gdzie, wyjątkowo, nie było ani dziury, ani wystającego kamienia. Przecież równie dobrze mógł tę scenkę przygotować. Mamy do czynienia z człowiekiem, który bardzo starannie planuje swoje ruchy. Zgoda, raz się pomylił, ale tym większą uwagę poświęciłby na przygotowanie kolejnego ataku.

– Pomyślcie - patrzył na zebranych w pokoju konferencyjnym - inaczej niż dotychczas. Nie traktujcie wczorajszego napadu jako porażki naszego doktora. Przyjmijcie raczej, że mu się udało. Osiągnął to, co chciał. A próbował nam udowodnić, że jego groźby nie były bezpodstawne. Następna miała być kobieta. I była. Dlaczego zerwał jej torebkę? Tylko w jednym celu. Chciał mieć pewność, że dowiemy się o sprawie. Że kobieta zgłosi napad, jeśli straci dokumenty, telefon, kartę kredytową. W innym wypadku mogłoby być różnie. Szok i strach mogłyby sprawić, że nie usłyszelibyśmy o napadzie.

Powiódł wzrokiem po obecnych.

– Przewaga jest teraz po naszej stronie. To, że wczoraj zrobił wszystko, co chciał, paradoksalnie obnaża jego słabości. Jakie? Że tam, po drugiej stronie Grochowskiej, gdy zabijał po raz trzeci, coś mu nie wyszło. Problem polega na tym, że nie do końca wiemy co. Ale to on jest w defensywie. Im bardziej próbuje przekonać nas o swojej aktywności, tym bardziej się do słabości przyznaje.

Zwolnił do dwudziestu na godzinę. Niewiadome w tym równaniu gromadziły się w zbyt szybkim tempie. Odbiegł myślami od wczorajszego napadu. Raz jeszcze przypomniał sobie wizytę w domu Dudzińskiego. Jak wtedy określił tę niepokojącą pustkę? Domem seryjnego mordercy? Tyle że Dudziński nie kolekcjonował odciętych głów. Ani dłoni. A zresztą diabli to wiedzą.

Coś zaniepokoiło go w domu Dudzińskiego. Czuł się tam jakoś... jakoś dziwnie. Chodził po ogromnych pustych przestrzeniach i narastał w nim niepokój. Jakby poruszał się po domu seryjnego zabójcy.

Wyrzuty sumienia rozpraszały go podczas jazdy. Nie odpisał gotyckiej Jolce. Powinien to zrobić. Na pewno czekała na jego odpowiedź. Spodziewała się śmierci i tego, że inni będą towarzyszyć jej w umieraniu, w tej przedostatniej drodze, choćby esemesami.

Miał dostać się w okolice rynku, ale skręcił w niewłaściwym miejscu i wjechał w blokowiska. Kłął i krążył po Elblągu. Wreszcie trafił na miejsce. Zaparkował samochód przed jakimś budynkiem z czerwonej cegły, niemal przy znaku zakazującym zatrzymywania się. Jakby sam prosił się o kłopoty.

Wzruszył ramionami. Pieprzyć to. W razie czego Piro wyprostuje sprawę.

Wszedł do pensjonatu FM. Schody, a może też instynkt, poprowadziły go do baru. Jeden stolik zajęty był przez niemieckich turystów. Przy drugim siedział blondyn. Nie był sam. Czas umilały mu dwie towarzyszki. Dwie szklanki z żywcem.

Przywitali się i Heinz z ulgą opadł na krzesło. Sięgnął po szklankę. Piwo było ciepłe.

37

Cały czas jeszcze rzeźbisz? - Piro przebierał palcami, jakby grał gitarową solówkę.

Heinz mrugnął oczami. Znaczyło to: tak. Nie mógł odpowiedzieć. Nie potrafił jednocześnie brać kolejnego łyka do ust i prowadzić konwersacji. Jeszcze nie potrafił. Ale niedługo pokona i tę przeszkodę. Wreszcie czuł się rozluźniony. Wypił ciepłe piwo i kończył następne.

Takie spotkania jak to kończą się bólem głowy. Piro. Kolega ze studiów. Tego samego dnia zdawali egzamin magisterski z

socjologii. Obaj byli fanatykami gitarowego grania. Tyle że dla Pira to już pieśń przeszłości.

– Opowiedz mi coś o tym Zarembie. - Heinz odstawił szklanekę i rozglądał się za kelnerem. Pił w tempie na rekord świata.

– Powiem ci w dużym skrócie. Nie chcę się rozgadywać, bo boję się wrzodów na języku. Jego początki znasz: szwalnia w Warszawie. Nie słyszałem, by kiedykolwiek chwalił się tym epizodem. Zajrzałem też na stronę jego firmy. W biogramie prezia nie ma o tym słowa.

Czuły punkt. Przeszłość, która boli. Warto wiedzieć.

– Ten facet jest jak kameleon i wąż w jednym - ciągnął Piro. - Z Warszawy wyniósł się na Wybrzeże. Robił przekręty związane z PFRON-em. Fikcyjnie zatrudniał niepełnosprawnych, takie martwe dusze.

– I odzyskiwał podatek.

– Nie tylko. Ale mniejsza z tym. Co robił później? Zaczął sprowadzać Kanałem Elbląskim węgiel z Rosji. Za pół darmo. U was na Śląsku rwali sobie włosy z głowy. On i paru innych doprowadziliby polskie kopalnie do bankructwa. Otarło się nawet o interwencję rządu. Ale Zaremba to taki gość, który zawsze spada na cztery łapy.

– Ten handel węglem był legalny? - Heinz zapalił papierosa.

– Mucha nie siada. Inaczej by go zniszczyli. - Piro zamówił kolejne dwa piwa. - Potem wszedł w nieruchomości na Wybrzeżu. Jest udziałowcem firm deweloperskich, więc jak jutro się dobrze zakręcisz...

– To kupię coś sobie, apartament we Władysławowie z widokiem na zawsze szumiące morze albo bungalow na Seszelach. A gdybym się nie zdecydował...

– A gdybyś się nie zdecydował, jest jeszcze inna opcja. Z tego co wiem nieoficjalnie, Zaremba współpracuje z amerykańskimi firmami w Azji. Odbudowują hotele po tsunami. I restaurują pola golfowe. Amerykanie muszą mieć gdzie grać.

Turyści z Niemiec rozprawiali o czymś głośno. Heinz wyłapywał jedynie pojedyncze słowa. Patrzył na roześmianych ludzi, chciał wstać, podejść do sąsiedniego stolika i coś powiedzieć. O tsunami, Seszelach i cywilizacyjnej działalności białego człowieka. Poczł, że Piro chwyta go za nadgarstek.

– Nie wygłupiaj się. - Policjant najwyraźniej wyczuł jego intencje. - Lepiej powiedz, skąd ci ten Zaremba wyskoczył. Mówiłeś przez telefon, ale nie do końca rozumiem.

Opowiedział. O seryjnym mordercy zabijającym bezdomnych i odciętych dłoniach. O tropie łączącym te sprawy ze śmiercią Dudzińskiego. Nie wiedział, jak to się stało, że nagle zaczął mówić o spotkaniu z gotycką Jolką. I o płycie Spear of Destiny.

Piro drgnął i ponownie chwycił Heinza za nadgarstek.

– Ruszamy! - zakomenderował. Spojrzał na zegarek. - Wprawdzie nie mamy za dużo czasu, bośmy się trochę zasiedzieli, ale powinno się udać.

Heinz nie protestował. Nie wzbraniał się, gdy poszli do sklepu i kupili cztery specjale.

Podeszli pod schody prowadzące do potężnego budynku.

– Trzymaj torbę - zarządził Piro. - I nie wtrącaj się do rozmowy.

Weszli do biblioteki i skierowali się do działu z płytami. Heinz nigdy nie sądził, że Piro jest obdarzony takim narracyjnym talentem. Gadkę miał jak rasowy raper. Kolega z Katowic, komisarz, bardzo znana postać, profiler jak z *Milczenia owiec*, przecież

wszyscy to czytaliśmy, a jakkolwiek na to patrzeć, jesteśmy w bibliotece, pchnął Heinza w stronę niewielkich drzwi, i wie pani, powróciły wspomnienia, i przypomniała nam się taka płyta...

W Dniu Policjanta wygrywasz, Piro, zawody we freestyle'u. Przynajmniej na Wybrzeżu.

Słyszał, jak Piro jeszcze coś tokuje, a sam przeglądał półki wypełnione starymi płytami winylowymi i kompaktami.

Albo mają tu podwójne egzemplarze, albo jestem pijany.

Zapadł się w fotelu. Bezwiednie sięgnął po torbę i wyjął z niej dwie puszkę w tym samym momencie, w którym Piro zamknął drzwi.

- Zobacz. - Kolega pokazał na stojący na stoliku sprzęt. - Gramofon z igłą z japońskiej gruszy, tak mi przynajmniej mówili, świetny wzmacniacz...

Piro. MC. Mistrz ceremonii.

- Odjazdowe słuchawki, o, jest nawet oliwka do pielęgnacji! Audiofilski sprzęt.

Widziałem niedawno lepszy, chciał powiedzieć, ale nie miał siły. Piro podszedł do półek z płytami i po chwili znalazł to, czego szukał.

Wraz z pierwszymi taktami powróciły wspomnienia o wieczorze, który spędził w mieszkaniu przy ulicy Chocimskiej. Jeśli chodziło o brzmienie, nie było porównania. Igła z japońskiej gruszy sprawiała, że muzycy Spear of Destiny unosili się w powietrzu, a Heinz błędził za nimi wzrokiem.

Odsłuchali płytę, Piro podziękował bibliotekarce, komisarz zastosował się do jego rady i tym razem także nie wrywał się do

głosu. Przeszli przez światła i dotarli przed hotel Gromada. Nie pamiętał rozmowy z recepcjonistką, ale jakimś cudem dostał klucz.

Wypił za dużo i musiał coś ze sobą zrobić. Odkręcił lodowatą wodę i podłożył pod strumień głowę, jakby kładł ją pod topór kata. Za dużo zważyło się naraz. Śledztwo, które znajduje się w martwym punkcie. Umierająca policjantka. Jego syn poszukujący dziadka przez internet. Chyba dziadka z Wehrmachtu.

Poczuł ból w skroniach, wysunął głowę spod kranu i otrząsnął się jak pies. Czuł, że trzeźwieje. W głowie rozbrzmiewały mu ostatnie takty słuchanej płyty. Audiofilski sprzęt. Pomyślał o Dudzińskim. Do czego tak wypasiony zestaw mógł być mu potrzebny? Przecież nie do słuchania składanek z wakacyjnymi przebojami i płyt dołączanych do kolorowych gazet. Jeszcze raz przypomniał sobie zwalisty dom w Falenicy. Co go tak zaniepokoiło? Co mu w tych zimnych pomieszczeniach nie grało? Skojarzenia. Dom seryjnego mordercy. Jak z *Milczenia owiec*, wszyscy to czytaliśmy, słowa Pira odbijały się echem.

Udało mu się wstać o siódmej. O dziwo, nie miał kaca. Jakiś dobry duch tej nocy zlitował się nad nim. Meandry fizjologii są jednak niezgłębione. Poćwiczył, wziął prysznic i wypił kawę. Poszedł pod bibliotekę po samochód. Minął chińską restaurację ozdobioną bożonarodzeniowymi lampkami. Zdziwił się, że lampki już świeciły. Do świąt jeszcze trochę zostało. Ktoś tu się pospieszył. Za wycieraczką zobaczył wezwanie do straży miejskiej. Złamał przepis dotyczący zatrzymywania się w miejscu niedozwolonym.

Z wściekłością zgniótł kartkę w dłoni i wyrzucił ją do kosza.

Nienawiść od pierwszego wejrzenia? Tak. Z pewnością istnieje takie uczucie, skoro go doświadczył.

Z Zarembą umówiony był o jedenastej. Jechał w stronę Kadyn. Po prawej minął szpaler gęstych buków. Za linią kolejową rozciągały się płaskie jak stół pingpongowy, Żuławy. Poranna gęsta mgła powoli się rozrzedzała. Ciężkie brunatne chmury kierowały się w stronę Elbląga. Heinz uważnie obserwował pobocze, wreszcie zobaczył tablicę informującą o wjeździe na teren prywatny. Podziurawioną, asfaltową drogę zastąpiła wyboista ścieżka. Dobrze, że rano nic nie jadł. Miałby teraz karuzelę w żołądku. Przejechał wzdłuż gigantycznego wąwozu i dotarł do rozwidlenia dróg. Zdezorientowany, wysiadł z samochodu. Na jednej ze ścieżek zobaczył ślady grubych opon. Pojechał w tym kierunku i po kilku minutach ujrzał potężny mur wykonany z dużych kamieni. Brama ozdobiona była fantazyjnym znakiem wykonanym zapewne z mosiądzu. W pierwszej chwili pomyślał, że trzy odcinające się od tła linie są wyobrazeniem błyskawicy. Nie, to jednak nie była błyskawica, tylko litera Z, jakby pozostawił ją Zorro.

Z jak Zaremba.

Spodziewał się jakiejś przeprawy z ochroną. Przerabiał to wielokrotnie. Ochroniarz dzwoni do swojego szefa, tamten do dowódcy zmiany, tamten do głównego szefa ochrony. Pokaz siły na wejściu. Byś wiedział, pętaku, kto tu rządzi. Nawet jeśli jesteś z policji. A może wtedy nawet tym bardziej. Tym razem jednak wjechał na teren posesji niezwykle szybko i został poinstruowany, gdzie ma postawić samochód.

Patrzył na dom Zaremby i zastanawiał się, gdzie widział bliźniaczy budynek. Jacyś ludzie wnosili do środka ogromne pakunki z napisem „Gaggenau”. Ochroniarz w granatowym garniturze ze słuchawką w uchu i skręconym kabelkiem ukrytym

pod marynarką wprowadził go do holu. Poprosił Heinza, by ten zaczekał.

Komisarz spojrział na ściany ozdobione fotosami z jakiegoś filmu. Meryl Streep, Robert Redford i Klaus Maria Brandauer. Pstryknął palcami. Ależ tak! Rezydencja Zaremby była repliką domu, w którym mieszkała bohaterka *Pożegnania z Afryką*. Dom w stylu kolonialnym postawiony pod Elblągiem. Dla chcącego nic trudnego. Mówisz, masz. Przeszedł do niewielkiego saloniku i wyjrzał przez okno.

To, co zobaczył, nie miało już nic wspólnego z kolonialnym stylem. W oddali majaczył potężny prostopadłościan. Na dachu surowego w swej prostocie budynku stał helikopter.

– Pan Zaremba zaprasza do gabinetu - usłyszał za plecami.

38

Mężczyzna siedział przy potężnym mahoniowym biurku. W pierwszej chwili zdawało się, że nie zauważył swojego gościa. Dopiero gdy Heinz podszedł bliżej, powolnym, wystudiowanym ruchem afrykańskiego satrapy wskazał komisarzowi masywne krzesło.

– Nie musi się pan przedstawiać. - Jego głos brzmiał łagodnie. - Pański zawód jest wypisany na twarzy.

I *vice versa*, buraku.

– Widzę - Heinz skrzywił się - że mam przed sobą kolejnego mistrza puenty. W dzieciństwie pierwszy podnosił pan paluszki do odpowiedzi, a na podwórku grał zawsze w ataku?

Kitka szpakowatych włosów poruszyła się.

– Jeśli będę potrzebował biografa, na pewno zwrócę się do pana. Zapewniam, że płacę dobrze.

- Tośmy sobie pogadali. - Heinz spojrział mu w oczy.

- Mieliśmy porozmawiać o Dudzińskim. - Mężczyzna z uwagą oglądał paznokcie. - Umarł na serce. Dlaczego policja się nim interesuje?

Heinz wyjaśnił. To odprysk bardzo poważnej sprawy prowadzonej w Warszawie. Sprawdzane są rozmaite wątki. Jeden z nich doprowadził do Dudzińskiego. Z biznesmenem działo się coś niepokojącego przed śmiercią. Zmienił się. Chciał wycofać swoje udziały z firmy, zniknąć. Odmienić swoje życie. Wygląda, jakby się czegoś bał. Sprzedał obrazy.

- Sprzedał je? - Zaremba uniósł brwi. - O tym nie wiedziałem.

Głośno oddychał, jak podczas badania lekarskiego. Za drzwiami gabinetu rozległ się rumor. Usłyszeli podniesiony kobiecy głos.

- To moja żona, Basia - powiedział. - Ciągle jej coś nie pasuje. Drugi raz w tym roku wymienia sprzęt w kuchni.

Ciekawe, kiedy ostatni raz ugotowała coś sama. I czy ma czarnoskórą kucharkę.

- Wydaje mi się, że przynajmniej w jednym mogę panu pomóc - ciągnął Zaremba. - Wiem nawet, kiedy to się stało. Kiedy Mateusz się zmienił. Wiem, bo byłem przy tym.

- Był pan?

- Pojechaliśmy na Mazury. Do takiego ośrodka spa zrobionego ze starego młyna. To było... zaraz... - otworzył kalendarz - oczywiście! Ostatni weekend sierpnia. Spotkaliśmy się w piątek, a Dudzińskiemu z głową porobiło się w niedzielę.

- Zdarzyło się wtedy coś szczególnego?

- Siedzieliśmy w barze, popijaliśmy jakieś drinki. Ja wcześniej skorzystałem z jacuzzi. Mateusz nie chciał. W pewnym momencie

poszedł do toalety. A wrócił z niej inny człowiek. Załamany i wystraszony.

– Panie prezesie - Heinz przełknął ślinę - proszę opowiedzieć to jeszcze raz, z detalami. Każdy szczegół może mieć tu znaczenie.

Zaremba niczego szczególnego nie pamiętał. Głównie zajęty był kolejnym drinkiem. Nie zauważył, by Dudziński z kimś rozmawiał. No, tylko z tą jedną dziewczyną. Zabawna historia.

– Ale wie pan co? Teraz sobie przypomniałem. Wyjeżdżał w pośpiechu. Jakby coś się stało. Próbowałem go zatrzymać. Bez skutku. Ale przed wyjazdem powiedział takie dziwne zdanie.

– Pamięta je pan?

– Poczuję się tak, jakbym ujrzał ducha. Jakoś tak to brzmiało...

Po lewej stronie biurka stało olbrzymie akwarium, w którym pływała ośmiornica. Heinz popatrzył na głowonoga i przeniósł wzrok na przeszklony regał w kolorze wenge ustawiony pod ścianą. Do kilku drewnianych podstawek było coś przytwierdzone. W krześle, na którym siedział, wyczuł palcami otwory. Pewnie imitacja dziur zrobionych przez korniki. Słyszał, że robi się coś takiego, by meble wyglądały na starsze.

– Zadzwoił do mnie w pierwszych dniach września. - Zaremba referował beznamiętnym tonem. - Powiedział, że zwija żagle. Wycofuje się z biznesu. Tymczasem - uniósł głos - spotkaliśmy się na Mazurach między innymi po to, by omówić jego udział w projektach na rynku nieruchomości. Zapewne pan wie, że mam w tym spore doświadczenie. Mówił, że jego decyzja jest ostateczna. Byłem wściekły na niego...

Nagle Heinz coś zrozumiał. Puzzle tej układanki zaczynały wskakiwać na właściwe miejsca.

– To pan wysłał mu ten breloczek z trumienką. I wyskakującym z niej kościotrupem?

Mięśnie na twarzy Zaremby drgnęły.

– Chciałem mu pokazać, co o nim myślę. Żeby wiedział, że nie ma jaj. Że zachowuje się tak, jakby chciał, by pogrzebali go za życia. Poza wszystkim, to miał być taki żart.

Jakbym ujrzał ducha... Jakby powrócił ktoś z dalekiej przeszłości i dopadł go.

– Może powróciła zjawa sprzed czternastu lat? Z czasów, gdy mieliście szwalnię w Falenicy. Był pan jej współwłaścicielem, prawda? I wówczas zdarzył się gwałt na dziewczynie z Armenii. Dudziński miał z tą sprawą coś wspólnego, prawda? - Heinz zmrużył oczy.

Drgnęły mu mięśnie twarzy. Zaremba odwrócił wzrok i spojrzał na regał.

– Pan patrzy na te eksponaty na półce, prawda?

Nie czekał na odpowiedź.

– To szpony orłów. Odcina się je ze względu na to, że ptaki są obrączkowane. Może to dziwne hobby, ale zgromadziłem już niewielką kolekcję.

– Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

Spokój, Heinz, zachowaj spokój. Nie daj się sprowokować.

–Wie pan, że Falenica była przed wojną zamieszкана głównie przez Żydów? A potem, w czasie wojny, powstało getto. Żydzi odfrunęli. W Treblince odfrunęli... Na takiej ziemi, która po nich pozostała, nie mogło powstać nic dobrego. To teren po trupach.

Uśmiech błąkał się mu na ustach.

Heinz nie miał zamiaru go słuchać.

- Nigdzie się pan nie chwali tym zawodowym epizodem - przerwał.

Może nadszedł czas, dopowiedział w myślach, by publicznie o nim przypomnieć.

- Panu, komisarzu, wydaje się, że ma monopol na moralizowanie. A co pan powie o tym, że w stoczni, która jest, jak to głosi wyświechtany frazes, kolebką Solidarności, pracują Wietnamczycy nadzorowani przez innych Wietnamczyków z tamtejszej bezpieki? To jest w porządku, tak?

Komisarz milczał.

- To powiem panu, jak było u nas, w Falenicy. Legalne kontrakty, żadnej roboty na czarno. - Uniósł kciuk. - Wypłacane wynagrodzenie... - Wyprostował drugi palec. Wyglądał jak sędzia, który wylicza znokautowanego boksera.

- Oraz koszta uboczne - wtrącił Heinz.

Mógłbym wyciągnąć trzeci palec. Środkowy palec. Specjalnie dla ciebie, lamusie.

- Nie kryję - Zaremba przytaknął z niechęcią - że i takie były. Przyjeżdżali z kontrolą, to co my robiliśmy? Wyprowadzaliśmy dziewczyny nad Wisłę. Stały tam godzinami, ubrane w co popadło, także zimą, dopóki nie spławiliśmy tamtych...

Normalka. Szkoła przetrwania. Jak w każdym szanującym się obozie pracy.

- Były psy - ciągnął Zaremba. - Raz jeden wyrwał się i rzucił na dziewczynę. Pierwsza moja myśl była taka, że ją zagryzie. Na szczęście nic się nie stało. Ale wszyscy najedliśmy się strachu. Zresztą, gdy przyjeżdżał Mateusz, psy zamykano. Nie cierpiał tego ujadania.

– Był pan na pogrzebie Dudzińskiego?

– Nie. Nie byłem - powiedział twardo. - Mimo że to mój wspólnik. Dałem nekrologi do trzech gazet. Ale i tak w jednej spieprzyli i napisali moje nazwisko inną czcionką, niż chciałem.

– Wciąż nie odpowiedział pan na moje pytanie - Heinz cedził każde słowo. - Jak było z tym gwałtem?

Popatrzył w zimne oczy stalowego koloru. Mogłyby być reklamą przeseł stawianych w Andach przez inżynierską firmę.

– Dudziński nie miał z tą sprawą nic wspólnego. Proszę mi wierzyć, wiem, co mówię.

Szyderczo drgnęły mu kąciki ust.

– Ale proszę nie wyciągać pochopnych wniosków dotyczących mojego udziału w gwałcie na tej dziwce.

Spojrzał na blat biurka i otworzył szufladę.

Wtedy wszystko potoczyło się błyskawicznie. Heinz zerwał się z fotela i podbiegł do Zaremby. Z całej siły przytrzasnął dłoń biznesmena uwięzioną w czeluściach szuflady. Mężczyzna wrzasnął.

Drzwi gabinetu otworzyły się. Stał w nich ochroniarz. Rękę trzymał pod marynarką, patrzył na szefa i czekał na jego decyzję.

– Myślałem - wysapał Heinz i zwolnił nacisk - że sięga pan po broń. Nerwowy jestem...

Zaremba nieznacznym ruchem głowy odprawił goryla. Rozcierał obołały nadgarstek, przecięty czerwoną smugą. Syknął z bólu. Na dnie szuflady Heinz zobaczył zdjęcie. Zaremba trzymał za rękę jakąś blondynkę.

Pod fotografią znajdował się podpis: „Basi w 20. rocznicę ślubu”.

To właśnie chciałeś mi pokazać? Udowodnić, że jesteście dobraną parą?

- Wiesz, dlaczego naprawdę ci to zrobiłem? - Komisarz starał się uspokoić oddech. - Byłem ciekawy, czy masz jakieś ludzkie odruchy. Czy czujesz ból? A może nawet odczuwasz cierpienie?

Głównóg powoli poruszał odnóżami, jakby chciał już pożegnać się z policjantem.

- Wiesz, Heinz, co robię z takimi jak ty? - Zaremba podniósł głos. - Wciągam ich nosem. Wybierz sobie, którą dziurką mam to zrobić.

Komisarz ruszył w stronę drzwi.

- Jesteś na mojej czarnej liście, Heinz. Bardzo krótkiej liście - usłyszał.

Bardzo krótkiej i bardzo czarnej. Ostatnie zdanie musiało należeć do mistrza puenty.

Nienawiść od pierwszego wejrzenia jest jednak możliwa. Był ciekaw, czy wyjedzie z rezydencji bez większych problemów. W podobnej sytuacji Chuck Norris wprowadziłby helikopter.

Brama otwierała się ze zgrzytem. Odprowadzało go wrogie spojrzenie ochroniarza.

Sięgnął po samochodową mapę Polski. Następnie pojechał do Elbląga. Sądził, że od razu z Kadyn wróci do Warszawy. Zdecydował inaczej. Powinien odwiedzić jeszcze jedno miejsce.

Pomyślał o Zarembie. Specjaliście od rynku nieruchomości. Sam też był przecież specjalistą w tej dziedzinie. Patrzył na zastygłe ciała ofiar. Na ich bliskich trwających w bezruchu i rozpacz. Na pokerowe twarze morderców. Zaremba też oglądał zmarłych, ale głównie na banknotach.

Podjechał w okolice starówki i tym razem zaparkował zgodnie z przepisami. Zaczęło kropić. Udał się do chińskiej restauracji. Przed

wejściem stał samochód ozdobiony kołami olimpijskimi oraz napisem: „Dzisiaj Elbląg, jutro Pekin”.

Przeczeka deszcz i ruszy dalej. Zamówił kurczaka w sosie słodko-kwaśnym i połączył się z Krygierem. Gdy powiedział, że jedzie do ośrodka spa na Mazurach, usłyszał prychnięcie. Zupełnie jakby szef wciągnął nozdrzami przyprawę curry.

39

Jechał wąską, wyboistą drogą, zimą należąca do ostatniej kolejności odśnieżania, i mijał szpalery drzew, o które rozbiło się już wielu kierowców. Powinien skupić się na prowadzeniu samochodu, ale nie był w stanie. Czuł nagły przypływ energii, który pojawiał się zawsze, gdy trafiał na istotny ślad. Teraz był prawie pewien, że klucz do całej historii ukryty jest w mazurskim ośrodku spa. Tam, ktoś śmiertelnie wystraszył Dudzińskiego. Kto? Musi to ustalić za wszelką cenę.

Uśmiechnął się sam do siebie na wspomnienie rozmowy z Krygierem.

– Co ty piłeś, Heinz? - zapytał przełożony. - Serce alkoholowe ponieśli aniołowie na złotych bluszczach, tak? - dodał ironicznie.

Krygier. Chodząca antologia poezji polskiej, którą zadreślał swoich podwładnych. Nigdy nie wiadomo, dodawał, czy nie pójdziecie do jakiegoś teleturnieju, traficie pytanie z literatury, a wtedy przypomnicie sobie starego, dobrego Krygiera.

Ten cytat Heinz znał doskonale. Tego, że w spa natrafi na ślad, był niemal pewien. Niemal. A co, jeśli się myli? Będzie musiał zaczynać wszystko od początku i wytrzymać drwiące spojrzenie Karloffa oraz Jowity. A jeśli to jednak los sprawił, że bojaźliwego biznesmena dopadły tutaj duchy przeszłości? Kto to był? Kto stanął

na twojej drodze? A może tylko przywidziało ci się. Z nikim nie rozmawiałeś, nikt cię nie zaczepił. Coś skojarzyło ci się z historią sprzed lat. Podziałało jak nagły impuls, który obrócił twoje życie o sto osiemdziesiąt stopni. Jak odbezpieczenie zapalnika, które prowadzi do wybuchu.

Nic z tego. Z pewnością nie myli się. Tym razem musi trafić w dziesiątkę.

I've got a power, pomyślał. Ciekawe, czy ten cytat spodobałby się Krygierowi.

Może pan, panie komisarzu, dałby się namówić na jakiś zabieg? - Recepcjonistka uśmiechnęła się. - Można przecież połączyć przyjemne z pożytecznym.

- Już widzę minę mojego szefa, gdy pokażę mu fakturę. Kąpiel w czerwonym winie i... - spojrzął do folderu - aromaterapeutyczne okłady z winogron. To zrobiłoby na nim wrażenie. Piorunujące. Od razu sam by tu przyjechał, jeśli macie, oczywiście, roladę po sztygarsku. Albo zielonego śledzia.

- Co to jest? - Dziewczyna skrzywiła się. - Pewnie jakieś obrzydlistwo.

Masz rację, dziecko, sushi jest dziś dla plebsu, rolada i zielony śledź dla wybranych.

Spojrzął przez okno na czerwone dachówki hotelowej części. Życie nie umierać. Slalodem wymijał dziury w drodze, pokonywał dziesiątki zdradliwych mazurskich zakrętów, by wreszcie dotrzeć do arkadii. Zaremba i Dudziński wybrali niezłe miejsce, by dogadać się w biznesowych sprawach.

Po drodze minął kilka sennych miasteczek wegetujących w jesienne popołudnie. W jednym dostrzegł szyld miejscowego baru.

Bonanza. W następnej miejscowości podobny przytułek dla pijaków nazwano Bostonem. Nieraz bywał w takich miejscach. W Katowicach też znajdowały się podobne przybytki. Na przykład lokal, w którym rządziła barmanka wagi ciężkiej. Terenia. Gdy towarzystwo się rozogniło, Terenia wyciągała spod lady szlauch i bez ostrzeżenia odkręcała kurek. Żadnego tam: stój, bo strzelam. Ani ostrzegawczych salw kierowanych w niebo. Minął zakład pogrzebowy Posługa i dojrzał niewielką tabliczkę wskazującą drogę do starego młyna.

Był pewien, że Zaremba nie kłamał. Przerazenie, które spadło na Dudzińskiego jak grom z jasnego nieba, miało związek ze starym młynem. Przynajmniej w tej sprawie skurwiel z helikopterem okazał się pomocny. Swoją drogą, desperacka decyzja biznesmena, by wycofać udziały, przyprawiła o ból głowy nie tylko Dawidowa. Zaremba wyraził ten żal po swojemu, wysyłając kumpłowi trumienkę. Architekci?, pomyślał o Kuczkach. Przecież ich przyjaciel wycofał się z budowy drugiego domu, więc też mieli w plecy. O własnej chacie na Mazurach mogli zapomnieć. Wszyscy znaleźliby powód, by Dudzińskiego zabić. No i krążył jeszcze niezidentyfikowany duch z przeszłości. Tylko że, po raz kolejny przywołał się do porządku, tego człowieka nikt z nich nie zabił. W ogóle nikt go nie uśmiercił.

Poprosił recepcjonistkę o wykaz gości z ostatniego weekendu sierpnia. Zdziwił się, gdy zobaczył grubo ponad sto nazwisk. Niektóre wydawały mu się znajome.

– Juliusz Bień... To ten aktor?

Kiwnęła głową.

- Był tu ze swoim... - szukała słowa - ze swoim kolegą. Chce pan może jego autograf? - Uśmiechnęła się kwaśno i wyciągnęła wygnieciony zeszyt w kratkę.

- Handluje pani autografami na Allegro?

Przeszyła komisarza lodowatym spojrzeniem.

- Dzieciaki z pobliskich miejscowości proszą nas, byśmy zbierali dla nich podpisy. O tym zeszycie ktoś widocznie zapomniał, bo tu leży...

- A ten to kto? - Spojrzał na listę. - Pytam, bo kojarzę to nazwisko...

Dziewczyna spojrzała na niego z politowaniem.

- Pan naprawdę niedzisiejszy, nietutejszy. Beznadziejny z pana przypadek. To znany stylistka. Ledwo weźmie nożyczki do ręki, licznik bije.

- Nie stylistka, tylko fryzjer - zaprotestował nieśmiało komisarz.

- Fryzjera to ma pan na swoim osiedlu. A u nas, do spa przyjeżdżają styliści. Zresztą - zaczęła grzebać w szufladzie - niech pan zobaczy.

Wyjęła wizytówkę. Znak graficzny mógł być zarazem wytłoczoną literą E, jak również czarnym grzebieniem albo grabiami. Taki grzebyk to nosiłem w tylnej kieszeni. Jak miałem dziesięć lat.

- Niech pan spojrzysz - pokazała podpis pod imieniem i nazwiskiem. - To nawet nie stylistka, tylko Hair Master.

Nie wiedział, czy dziewczyna kpi sobie z niego, czy mówi poważnie. Tak czy inaczej, okazała się nieocenioną przewodniczką po liście z nazwiskami gości, z których większość należała do zakłętą kręgu, którym interesują się paparazzi, czytelniczki kolorowej prasy i aktywiści z portali plotkarskich. Ponad połowa z

listy tańczyła, udawała, że śpiewa, strzygła i występowała w talk-showach.

Heinz czytał listę po raz trzeci i był rozczarowany. Szukał po omacku, ale żadne z nazwisk nie uruchomiło w nim oczekiwanych skojarzeń. Nie znalazł tego, czego szukał. Piosenkarka, aktorzy i styliści. Żadnej z tych postaci nie umiał powiązać z Dudzińskim.

– Jeśli przyjeżdżają tu pary, wystarczy, że wpisze się jedna osoba?

Dziewczyna skinęła głową. Chciała odpowiedzieć, gdy podbiegła do niej koleżanka i zaczęła coś nerwowo szeptać jej do ucha. Recepcjonistka spojrzała na nią i obie dyskretnie stanęły w drzwiach. Heinz ustawił się za nimi. Na wysokości recepcji, na samym środku zwirowego podjazdu, stał różowy saab. Ustawiony w poprzek drogi samochód, tarasował wjazd na teren ośrodka. Szyba po stronie kierowcy była opuszczona. W odległości trzech metrów stała dziewczyna z aparatem fotograficznym.

– Kto to? - zapytał Heinz.

Zwrócił się do recepcjonistki szeptem. Uznał, że tak wypada.

Dziewczyna odpowiedziała równie cicho, nie odwracając się.

Nie usłyszał nazwiska.

Pewnie następny mistrz od lokówki, prostownicy i lśniących włosów.

– A teraz popatrz tak, jakbyś myślał o czymś ważnym - dobiegł go głos pani fotograf.

Parsknął śmiechem. Jakbyś myślał. W wypadku tego gościa za kierownicą to niemożliwe. Dziewczyny spojrzały na niego zgorzone, jakby przeszkodził nie w sesji zdjęciowej, ale w religijnym obrzędku.

Wtedy do recepcji wszedł bocznym wejściem mężczyzna. Spłoszona recepcjonistka powróciła na swoje stanowisko. Heinz spojrzał na jego śniadą twarz. Zamarł. Strzał w dziesiątkę. Instykt podpowiadał mu, że się nie myli.

Już dawno temu pomyślał, że policjanci, składając sobie życzenia, powinni życzyć sobie wszystkiego najgorszego. Przynajmniej byłoby to zgodne z prawdą. W tym fachu na ogół nic się nie udaje. Dziesiątki przesłuchań, które są drogami donikąd. nierozwiązane trudne sprawy, które odkładają się, tworząc niewidzialny pancierz, który blokuje emocje i uczucia. W tym fachu odpalanie fajerwerków kończy się często urwaniem dłoni albo uszkodzeniem wzroku.

Ale raz na jakiś czas, może raz na sto wypadków, może jeszcze rzadziej, uśmiecha się do nich szczęście. Przypadek, ślepy los, a może wytrenowana przez lata intuicja, która podpowiada, że należy znaleźć się we właściwym miejscu o właściwej porze.

Tak, Heinz, wrócisz do Warszawy jak milioner, który wygrał w kasynie w Las Vegas. Jakbyś dokopał się do ropy w słonecznej Kalifornii w czasach wielkiej prohibicji. Jakby Stevi Ray Vaughan zaprosił cię do wspólnego zagrania bluesa.

Tak. To był właśnie taki moment.

Przed nim stał człowiek, który śmiertelnie wystraszył Mateusza Dudzińskiego.

Jak to się stało, że pańskiego nazwiska nie ma na liście gości? - Heinz zaciągnął się chesterfieldem.

Siedzieli w wydzielonej części dla palących. Przed Ormianinem leżały najpewniej jakieś lokalne papierosy. Komisarz nigdy takich nie widział. Dla Krygiera, który palił, co popadło, byle było bez akcyzy, ta marka zapewne nie byłaby czymś nieznanym.

– Ostatnio wpisywała nas moja żona. Gabriela Janowska - usłyszał.

Spojrzał na wydruk. Zgadza się. Miał taką na liście.

– Moja żona pozostała przy swoim nazwisku po pierwszym mężu. Uznała, że Koczarian jest zbyt trudne. A może dziwne dla znanej dziennikarki telewizyjnej. Ludzie przyzwyczaili się przecież, że widzą na ekranie Janowską.

Mężczyzna mówił świetną polszczyzną pozbawioną gramatycznych błędów. Obce pochodzenie zdradzał jedynie akcent oraz sugerowała je nietypowa karnacja. Zbyt śniady kolor skóry jak na koniec października. Zbyt ciemny nawet jak na spa.

– Gdyby pan przejrzał rejestry z poprzednich miesięcy, natknąłby się pan także na mnie.

Powinien pomyśleć o tym od razu i poprosić o pełniejszy wykaz. A on postanowił pójść na skróty. Znów za bardzo się pospieszył.

– Swoją drogą - dodał Koczarian - myślałem, że będziecie mnie szukać. Gdy tylko dowiedziałem się o śmierci Dudzińskiego.

– Tak? A dlaczego? - Heinz spojrział na niego uważnie. - Przecież Dudzińskiego nikt nie zabił. Jak pan się dowiedział o jego śmierci?

– Obracam się w kręgu dziennikarzy i tysiąca krążących wiadomości. Poza tym wiedza to mój kapitał. - Uśmiechnął się. - Tak, wiem, Dudzińskiego nikt nie zabił. Może szkoda... - Zmrużył oczy.

– Proszę opowiedzieć o spotkaniu z Dudzińskim.

Gryzący dym ormiańskich papierosów unosił się nad nimi.

– Nie ma wiele do opowiadania. W sumie banalna historia. Chociaż... - przygryzł wargi - chociaż kryją się pod nią emocje. Moja przeszłość...

– Mógłby pan mówić jaśniej?

– Wprowadził się w piątek tuż przede mną - głos męczyzny brzmiał znów pewnie. - Usłyszałem jego imię i nazwisko na recepcji. Przyjechał z kolegą. Od razu skojarzyłem go sobie z tamtą historią. Pewności nie miałem, bo nazwisko Dudziński jest pewnie u was bardzo popularne, prawda?

Heinz potwierdził.

– Usłyszałem, jak się nazywa, i musiałem sprawdzić, czy się nie mylę. Uruchomiły się wspomnienia. Czasami takie historie z przeszłości bardzo męczą, rozumie pan?

Doskonale wiedział, o czym Ormianin mówi.

– Dwa dni o tym myślałem. Musiałem sprawdzić, czy się nie mylę. Wreszcie okazja natrafiła się w niedzielę.

– Skojarzył pan nazwisko Dudzińskiego z gwałtem sprzed czternastu lat. Sprawa wówczas nie wypłynęła, jak się to u nas mówi: została zamieciona pod dywan. Nie było oficjalnego śledztwa. Nikt nie został oskarżony. Skąd pan o niej wiedział?

– Larysa jest... była... siostrą mojego kolegi. Musi pan wiedzieć, że jeszcze za Gorbaczowa służyliśmy z jej bratem w radzieckiej armii. W elitarnej jednostce komandosów. Wie pan - zmienił nagle temat - dlaczego pałę?

Domyśl się, człowieku. Domyśl się, dlaczego ja pałę. Znowu pałę.

– Kiedyś, u jednego chłopaka z naszego oddziału znaleźli papierosy. Była trzecia w nocy. Mieliśmy przebiec z pełnym

wyposażeniem, w maskach, dwadzieścia pięć kilometrów. Wie pan, po co? By saperką wykopać dół, a potem zakopać w nim tę cholerną paczkę. To jak tu można nie palić?

Odwrócił wzrok i popatrzył w okno, jakby wspominał stare czasy.

– Garik też wtedy biegł. Brat tej dziewczyny. Pan jest z policji kryminalnej? - Spojrzał na Heinza. - Zabił pan kiedyś człowieka?

Komisarz popatrzył na Ormianina przeciągle.

– Przecież pan wie, że nie odpowiem. A pan, jako fachowiec od zabijania, nie powinien zadawać takich pytań.

To nieprofesjonalne zachowanie. Chyba tak określają to w korporacjach.

– Wiem. Próbowałem pana podejść. - Zatrzymał przechodzącą kelnerkę i zamówił kieliszek wina. Heinz poprosił o piwo. Jedno może wypić, zanim pojedzie do Warszawy.

– Byliśmy razem na Bałkanach. Proszę nie pytać, po której walczyliśmy stronie... - Zamyślił się. - Tacy jak my są zawsze po stronie tych, którzy płacą. Byliśmy razem w Sarajewie. Na Alei Snajperów. W 1994 roku Garik został ciężko ranny. Wydawało się nawet, że to koniec. Że nie wywinie się z tego.

– W tym samym roku zdarzył się ten gwałt na jego siostrze.

– Larysa wróciła do Armenii. Ja też już wtedy tam byłem. Miałem dosyć wojny. Spotkaliśmy się. Była siostrą mojego przyjaciela. Kogoś, kto uratował mi życie. Opowiedziała mi, co się zdarzyło, gdy była w Polsce.

Każde kolejne zdanie wypowiadał z coraz większym wysiłkiem.

– Był koniec sierpnia. Może początek września. Larysa została poproszona do gabinetu szefa. Spodziewała się awansu. Mogła

zostać brygadzystką... Ale tam czekało na nią trzech mężczyzn. Jeden z nich był szefem ochrony.

Niektórym łatwiej przychodzi zabijanie niż opowiadanie takich historii, pomyślał Heinz. O wiele łatwiej.

– W końcu Larysa uciekła. Ci trzej powiedzieli, że jeśli opowie o tym komuś, to ją zabiją. Były takie przypadki - mężczyzna spojrzał na Heinza - że dziewczyny z Białorusi, Ukrainy albo Mołdawii znajdowano w waszych rzekach. Albo nie znajdowano ich wcale.

Przez chwilę poczuł się, jakby sam zasiadł nagle na ławie oskarżonych. Słyszał przecież o takich sprawach. Policja najczęściej działała rutynowo. Utonięcie. Wypadek. Nieszczęśliwe zdarzenie. Albo ucieczka. Nielegalne przekroczenie granicy i ślad się urywał. Prokurator umarzał śledztwo. Nikt do takich spraw nie wracał.

– Co mówiła Larysa? Jaka w tym wszystkim była rola Dudzińskiego?

– Zaproponował jej odszkodowanie w zamian za to, że nie nagłośni sprawy. Że nie będzie oskarżenia. Bo Larysa nie dała się zastraszyć i przyszła do was. Razem z koleżanką. To była dzielna dziewczyna. Sam Dudziński nie miał bezpośrednio nic wspólnego z tamtymi trzema. Poza tym oczywiście, że sprawa zdarzyła się na jego terenie i mogła narobić mu dużo smrodu. - Koczarian nie krył ironii.

– Co zrobiła Larysa?

– Poszła do niego do biura, wzięła te pieniądze i rzuciła mu w twarz. Zażądała paszportu i wyjechała. Wcześniej powiedziała Dudzińskiemu, że za wszystko kiedyś zapłaci.

– A co zrobił jej brat?

Koczarian zamieszał kieliszkiem, sprawdził bukiet wina i skrzywił się.

– Straszny szajs. - Umoczył usta. - Opowiem panu historyjkę z wojny bałkańskiej. Ich było czterech. Dwaj trzymali chłopca za ręce, mógł mieć ze dwanaście lat, trzeci stał z nożem i rozcinał mu brzuch. Czwarty w nas celował. Staliśmy z Garikiem we dwóch i patrzyliśmy. Żeby było weselej, tych czterech to byli ludzie z naszego oddziału. Najemnicy. Jak my. Poprzedniego wieczora piliśmy razem wódkę. Oni wypili trochę więcej... Jak pan sądzi, co zrobiłem?

Heinz nie odpowiedział.

– A jak pan myśli, co wtedy zrobił Garik?

Komisarz sięgnął po kolejnego papierosa. Gdyby nie spotkanie z tą cholerną Jolką, nigdy by się nie złamał.

– Co stało się z Larysą?

– Na przejściu dla pieszych w Erewaniu przejechał ją samochód. Niektórzy mówili nawet, że to nie był przypadek. Że celowo weszła pod pędzący samochód. To był 1996 rok.

– Miała dzieci?

– Nie! Oczywiście, że nie. - Ormianin stanowczo zaprzeczył. - Z pewnością wiedziałbym o tym.

– Kiedy widzieliście się po raz ostatni?

Koczarian zastanowił się.

– Na jesieni 1994 roku. Potem gdzieś wyjechała. Chyba do matki...

– A jej brat?

– Chodzi panu o to, jak zareagował, gdy dowiedział się, co spotkało jego siostrę w Polsce? Garik prawie rok walczył o życie,

drugi, aby odzyskać sprawność. Poskładali go jakoś do kupy. W Polsce pojawił się dwa lata po śmierci Larasy. Powiem panu, choć nie powinienem, bo jest pan policjantem. Ale ja znam się na ludziach...

Mierzył Heinza spojrzeniem.

– Zamiast mi się tak przyglądać, proszę się podpisać w zeszytiku w kratkę. Jest na portierni. Zawodowego zabójcy jeszcze tam nie mieli! - Komisarz miał dosyć tych psychologicznych gier.

– Nie wiem, o czym pan mówi. I niepotrzebnie pan się denerwuje. Garik przyjechał do Polski w jednym celu. Szukał ochroniarza ze szwalni, ale ten jakby się pod ziemię zapadł.

– Mógł przecież odwiedzić Dudzińskiego i zapytać o tego ochroniarza.

Koczarian zawahał się.

– Gdyby to zrobił, Dudzińskiego trzeba by odwiedzać na cmentarzu.

Heinz splótł przed sobą dłonie i oparł je na stole.

– Problem polega na tym, że trzeba go odwiedzać na cmentarzu. Dudziński nie żyje. Umarł na serce. Ale tego wieczora, zanim umarł, ktoś go odwiedził. - Patrzył, jak Koczarian przyjmie jego słowa.

– To nie mógł być Garik! Znam go dobrze.

– Czy mówi coś panu nazwisko Zaremba?

Koczarian zmrużył oczy.

– Nie... Raczej nie... A powinno?

– Wracając do Garika. - Komisarz zignorował pytanie. - Jesteście ze sobą w kontakcie, prawda?

Koczarian zastanawiał się nad odpowiedzią.

- 2 sierpnia przypada nasz dzień komandosa. Ci, którzy żyją i pamiętają, wysyłają sobie esemesy. Dostałem takiego od Garika. Proszę nie pytać o numer - dopowiedział szybko. - Na pewno od dawna jest nieaktualny.

- A po święcie komandosa słyszeliście się? A może widzieliście?

Do stolika, przy którym siedzieli, podeszła kobieta. Krągła brunetka z włosami do ramion, przedstawiła się. Koczarian pocałował żonę w policzek.

- Proszę mnie dobrze zrozumieć. Od trzynastu lat handluję mołdawskim winem. Nie jakimś szajsem. Tylko krótkie serie dla koneserów. Buduję pozycję marki. Dostarczam je między innymi do tego ośrodka, dlatego bywam tu dosyć często. - Zatoczył łuk ręką. - Mam polskie obywatelstwo. Powiedziałem panu, co wiem. Rozmawiamy szczerze.

Zadzwonił telefon. Gabriela Janowska sięgnęła do torebki i wyjęła komórkę. Wstała i odeszła na bok, by porozmawiać.

- Tego Garika można gdzieś spotkać?

Koczarian uniósł głowę. Popatrzył Heinzowi w oczy.

- Proszę spróbować. Powinien być w Warszawie. Wie pan na pewno, gdzie należy go szukać. I proszę pamiętać, że mówią na niego Daszu.

- To coś znaczy?

- To skrót od ormiańskiego słowa *daszujn*. Lepiej, żebyś nie wiedział, przyjacielu, co to jest. - Odślonił zdrowe, białe zęby. - Lepiej, byś nie wiedział...

Gabriela Janowska wróciła do stolika. Heinz pożegnał się z dziennikarką. Wcześniej powiedział, że jest jej wielbicielem. Kobieta

rozpromieniła się. Koczarian patrzył zdziwiony na tę scenę, wreszcie odprowadził komisarza do wyjścia.

– Ten, który zgwałcił Larysę, nazywał się Stopa. Nie żyje. Ktoś go zabił. Morderca odciął mu dłonie.

Krzaczaste brwi mężczyzny lekko drgnęły.

– Jestem pewien, że Garik nie ma z tym nic wspólnego. A pan nigdy nie widział w telewizji mojej żony.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Tam, na Bałkanach, to pan zabił tych czterech zwyrodnialców?

Ormianin nie odpowiedział od razu. Przymknął oczy, jakby chciał zapomnieć o przeszłości.

– Nagle wstąpiło w nich jakieś szaleństwo - przywoływał odległe wspomnienia.

Jemu z pewnością też śnią się koszmary.

Dawny najemnik zacisnął mocniej powieki.

– Sam nie dałbym rady. Strzeliliśmy do nich jednocześnie. Jakbyśmy się umówili. Zupełnie jak dwaj młeczni bracia.

40

Był środek nocy, gdy Heinz dotarł do Warszawy. Z siwiejącym zarostem i podkrążonymi oczami wyglądał jak upiór. Rano czekało go kolejne zebranie. Nie spodziewał się po tym spotkaniu żadnych rewelacji. Znaczący postęp w sprawie nie nastąpił, inaczej już by o tym wiedział. Podczas telefonicznej rozmowy z Krygierem zahaczył o Doktora Śmierć i atak na kobietę. Niczego ciekawego nie odkryli. Zabójca nie pozostawił śladów. Jak poprzednio, tak i teraz rozpląnął się w powietrzu.

– Ta sprawa - w głosie szefa usłyszał ton rezygnacji - będzie się ciągnąć, dopóki nie złapiemy go na gorącym uczynku.

Entuzjazm i energia z pierwszych dni śledztwa gwałtownie przygasły. Świtało, gdy zasnął. Obudził się po trzech godzinach i spojrzał w lustro. Wyglądał coraz gorzej.

Humor wcale mu się nie poprawił, gdy zobaczył siedzących przy stole trzech przygnębionych policjantów. Krygier przeglądał jakieś dokumenty, Maciejewski melancholijnie patrzył w okno, a Karloff kołysał się w tył i przód, jakby miał chorobę sierocą. Gdy wszedł, żaden nie powiedział nawet pół słowa na powitanie.

Podczas Ostatniej Wieczery z pewnością było znacznie weselej.

Jowita pojechała na groby rodziców do Tarnowa, Prałat udał się na święta do Ostrowa Wielkopolskiego.

– Jedni uprawiają dubbing, inni uprawiają grobbing - mruknął Karloff.

Zebranie stopniowo rozkręcało się. Heinz zreferował spotkanie z Zarembą oraz rozmowę z Koczarianem. Pomiął jeden szczegół. Nie opowiedział o tym, jak puściły mu nerwy i rzucił się na biznesmena.

– Wygląda na to, że ten Zaremba to niezły kutas - podsumował Krygier.

– Takim jak on fundowałbym darmowy przelot tym helikopterem.
- Heinz zacisnął zęby. - A potem pozbyłbym się go w czasie lotu. Byleby spadał z odpowiedniej wysokości, by mieć czas na przemyślenie swojego parszywego życia.

– Pan „Pożegnanie z Afryką” rzeczywiście zalażł ci za skórę - powiedział Maciejewski. - Czy pytałeś go, co robił 26 września?

– Zapytamy. Wiesz, jaka będzie reakcja. W odpowiedzi, naśle na nas sztab swoich prawników. Dudziński pokrzyżował mu biznesowe plany, dostał za karę breloczek z trumienką... Może Zaremba chciał

jeszcze jakoś ukarać współnika i przysłał kogoś do niego. By jednak przekonać go do zmiany decyzji.

– Trudno jednak wyobrazić sobie, by ten parszywiec biegał ze strzykawką po kanałach i kolekcjonował dłonie kloszardów. - Krygier ziewnął.

– Pewnie tak - zgodził się Heinz. - Choć zarazem ma nietypowe hobby.

Opowiedział o odciętych szponach obrączkowanych orłów.

Wszyscy patrzyli na niego w milczeniu.

– Przyjemny typ - powiedział Maciejewski. - Trzeba jednak przyjrzeć mu się bliżej. Pozostają jeszcze ci dwaj komandosi z Armenii.

– I ten trop wydaje mi się ciekawszy. - Komisarz sięgnął po papierosy. - Wrogowie nikotynowego dymu - spojrzął na puste krzesła zwykle zajmowane przez dwoje policjantów - są dziś nieobecni. Nie będzie wam przeszkadzać?

Nie przeszkadzało.

– Jeśli chodzi o Koczariana i jego przyjaciela Garika, dwie sprawy wydają mi się dziwne. Brat zgwałconej dziewczyny był ciężko ranny. Zanim go postawili do pionu, minęły lata. W końcu jednak przyjechał do Polski, i to z konkretnym zamiarem. Stopa znikł. Ci dwaj pozostali, najpewniej też. Co byście zrobili na jego miejscu?

– Zwróciłbym się do fundacji Itaka - powiedział pod nosem Karloff. - I wywiesił zdjęcia na dworcach kolejowych.

– Chodzi ci o to, że wówczas nie odwiedził Dudzińskiego? - zapytał Krygier.

– Może go odwiedził - wtrącił Maciejewski. - Tylko my nic o tych odwiedzinach nie wiemy.

Heinz pokręcił głową.

– Koczarian wątpi, by tak było, i ja mu chyba wierzę. Ale może teraz Garik przypomniał sobie o nim. Uznał, że inne metody poszukiwań zawiodły. A przy okazji postanowił wziąć od Dudzińskiego kasę, którą wzgardziła siostra. Oczywiście powiększoną o stosowne odsetki. I po latach dopadł wreszcie Stopę.

– Dobrze byłoby z tym Garikiem pogadać. - Karloff spojrzął na Maciejewskiego. - Jeśli rezyduje w naszym kochanym mieście...

– Mamy poszukać na stadionie - dopowiedział Heinz. - Pytaj - popatrz na aspiranta - o niejakiego Daszu.

Maciejewski sięgnął po kartkę i zapisał sobie ksywę Ormianina.

– A jaką masz drugą wątpliwość? - spytał Krygier.

– Pamiętacie - Heinz bawił się czarną zapalniczką - sądziłem, że Larysa, ta dziewczyna z Armenii, mogła mieć dziecko. Może nawet dziecko z Dudzińskim. Pytałem o to Koczariana. Zaprzeczył. Tyle że ostatni raz widział ją jesienią 1994 roku.

– Chodzi ci o to, że mogła urodzić, a potem zginęła w wypadku?

– Nie wykluczałbym tego. Tym bardziej warto porozmawiać z Daszu. I tak jak w wypadku Zaremby, trzeba też sprawdzić Koczariana. Co robił w dniu śmierci Dudzińskiego. To nie powinno być trudne.

Omówili inne wątki śledztwa. Nazwiska zamordowanych na Żeraniu i Siekierkach wciąż nie były znane. Gdyby ustalili chociaż jedno, przynajmniej niektóre hipotezy dałoby się ostatecznie zweryfikować. Może kloszardów łączyła wspólna przeszłość sięgająca połowy lat dziewięćdziesiątych i obozu pracy? Czekali w bezruchu. Jak pajak w rozpiętej sieci. Wciąż brakowało istotnych informacji. Mimo ponagleń ze strony Karloffa nie otrzymali

wyników sekcji zwłok Stopy. Francuski koncern farmaceutyczny najwyraźniej zwlekał z odpowiedzią, skoro Jowita milczała w tej sprawie. Policjanci przeczesali, centymetr po centymetrze, teren parku, w którym Doktor Śmierć zaatakował kobietę, i nic nie znaleźli. Akurat to, pomyślał Heinz, było do przewidzenia. Przepytywani mieszkańcy nie zauważyli nikogo podejrzanego, złożyli przy okazji kilka doniesień na uciążliwych sąsiadów. Nawet Karloff przyznał niechętnie, że ten atak został sfingowany.

Dlaczego morderca myje odcięte dłonie? Powróciło stare pytanie, na które nikt z nich nie potrafił odpowiedzieć. Heinz przypomniał sobie, że dręczyła go jakaś myśl, że miał już ją na końcu języka. Ktoś naprowadził go na trop. Powiedział coś takiego, co... Musi to sobie wreszcie przypomnieć.

Pożyczyli sobie wesołych świąt. Krygier wracał do Katowic następnego dnia rano. Komisarz zastanawiał się, czy nie zabrać się razem z nim. Ostatecznie zrezygnował. Wiedział, jak by było. Na piłce nożnej się nie znał i nie był dobrym partnerem do rozmowy. Musiałby słuchać o roladzie po sztygarsku i myśleć o tym, gdzie w sobotę, 1 listopada, napęłnić lodówkę. Przede wszystkim jednak rozmawialiby o sprawie. Po raz nie wiadomo który, omówiliby wszystkie wątki i przywołali każdy trop. Był zmęczony. Musi się zresetować, zapomnieć o seryjnych mordercach, obozie pracy i trzech ewangelistach polskiego kapitalizmu. Świąteczny weekend nie wystarczy, by znów doprowadzić się do stanu używalności. Poprosił Krygiera o dodatkowy dzień wolnego zaraz po Święcie Zmarłych.

Zamierzał przespać się w pociągu. Nie udało mu się. Z trudem dostał miejscówkę. A potem siedział w wagonie zatłoczonym do

granic możliwości, jakby pół Polski chciało jednego dnia o tej samej porze przedostać się z północy na południe. Zresztą, czego się spodziewał. Piątkowe popołudnie. W dodatku 31 października. W przedziale nie udało się zmniejszyć ogrzewania. Gdy wysiadał, czuł się, jakby wyszedł z łaźni parowej. Ubranie miał lepkie od potu i niewidzialnego brudu osadzającego się na pasażerach.

Wyczerpany dotarł na Osiedle Tysiąclecia. Przy wejściu na klatkę wisiała klepsydra. Rzucił okiem na nazwisko.

- Dzień dobry, panie komisarzu - usłyszał za plecami. - Co tak spokojnie ostatnio u pana? Nawet mąż się niepokoił...

Nie musiał się odwracać, by wiedzieć, do kogo należy ten głos. Pani Karolakowa, sąsiadka z dołu. Jej mąż, krewki kibic piłkarski, kiepsko znosił, gdy Heinz podłączał gitarę do wzmacniacza.

- A u męża spokojniej? Bo po tym ostatnim meczu reprezentacji...
- Pokręcił głową.

Cieężko westchnęła.

- Tyle, ile on mi wtedy wstydu narobił... Ale stary nie odpuści. Poszedł do prawnika. Będą pisać jakieś pismo na tych piłkarzy.

Chciał przepuścić staruszkę w drzwiach. Raz jeszcze spojrzął na nazwisko wypisane grubym drukiem na klepsydrze.

- Antczak? Czy to nie ten co nade mną mieszka?

Karolakowa wybałuszyła oczy.

- To pan, policjant, i nic nie wie? Straszne awantury tam były między nimi. I ta biedna kobiecina nie wytrzymała... Z tydzień temu. Takie nieszczęście.

Wziął długą kąpiel. Miał wyrzuty sumienia. Powinien zareagować na te wrzaski na górze. Ktoś powinien ich powstrzymać. Kto, jak nie on? W końcu, do cholery, był policjantem. Choć z drugiej strony,

kto w dzisiejszych czasach angażuje się w kłótnie między sąsiadami? Kończy się to wrogością, a co najmniej pretensjami. Założył dres. Podłączył gitarę, nastroił i nieśmiało zagrał kilka akordów. A następnie przekręcił potencjometr wzmacniacza w prawo, do oporu. Zagrał pierwsze takty *Whole Lotta Love* Zeppelinów. Niech Karolak usłyszy, że wszystko u niego w porządku. Że żyje i ma się dobrze.

Położył się późno. Odgrzał sobie dwa krokiety z mięsem, które kupił przy dworcu. Nie musiał robić większych zakupów. Z pociągu zadzwonił do syna. Dowiedział się, że młody zostaje na Wybrzeżu. 4 listopada, we wtorek, ma ważne kolokwium. Chce się spokojnie pouczyć.

No tak. Spokojnie. Tutaj w domu zaraz by się o coś pożarli. Do Katowic syn wybierał się za tydzień. Ale wtedy Heinza już tutaj nie będzie.

Następnego dnia pojechał na grób matki. Zmarła przed czterema laty. Jej śmierć przyszła niespodziewanie, nie zdążyli się nawet pożegnać. Wiele razy zastanawiał się, co by zrobił, gdyby matka poprosiła go, by powiadomił o jej śmierci ojca. Próbowałby go odnaleźć, czy zignorowałby tę prośbę, być może ostatnią w jej życiu? Po raz pierwszy pomyślał o tym podczas pogrzebu, gdy stali z młodym w otoczeniu kilkorga dalszych krewnych, o których istnieniu niemal zapomniał. Heinz wydostał się z korka, jaki tradycyjnie utworzył się przy wyjeździe z cmentarza, i udał się pod Bogusławice. Położył wieniec przy metalowym krzyżu. Nie zauważył wcześniej, że nie tylko tabliczka z nazwiskiem żony, ale też inne elementy zaczęły korodować. Przed zimą będzie musiał coś z tym zrobić. Nie miał czasu, by kupić nowy egzemplarz trzeciej płyty Zeppelinów. Na szczęście kompakt tym razem nie zacinał się. Wrócił

do mieszkania i zaczął czytać jakiś kryminał Patricii Cornwell. Przynajmniej połowa powieści rozgrywała się w prosektorium. A my ciągle nie mamy wyników z trzeciej sekcji zwłok, przypomniał sobie. Zirytowany rzucił książkę w kąt. Przez kilka dni nie chciał myśleć o Doktorze Śmierć. Założył dres i poszedł potruczać do Parku Rozrywki. Zdziwiło go, że nie jest jedyny, który w ten sposób spędza Święto Zmarłych.

Następnego dnia spotkał się z kolegami z zespołu. Od kilku lat mieli taki zwyczaj, że organizowali sobie Zaduszki bluesowe. Podpalali spirytus nalany do kieliszka, zupełnie jak w starym polskim filmie. A potem pili i grali. Rok temu Heinz rozwoził do domu pozostałych.

Teraz mógł sobie pozwolić i pójść na całość. Pił jednak oszczędnie. Chciał wykorzystać dodatkowy wolny dzień i potrenować z Kastoriadisem, a na kacu czekałaby go szybka śmierć.

Przed „kukurydzą” był o dziesiątej wieczorem. Natknął się na Karolaka, który kończył spacer z psem.

– Jak panu idzie z tymi piłkarzami? - zagadnął.

– Napisaliśmy pismo. Zobacz pan, jeszcze w gazetach o tym będzie. A tak przy okazji, panie Heinz, mógłby pan coś czasem zagrać przyjemniejszego dla ucha, a nie tylko same dziwactwa.

Komisarz spojrział na klepsydrę. Ktoś oderwał kawałek.

Karolak podążył za jego spojrzeniem.

– Rodzina chłopaka tę klepsydrę powiesiła. Opatrzony najświętszymi sakramentami - przeczytał. - Gówno prawda. - Popatrzył na Heinza. - Opatrzony to tak, ale kuchennym nożem.

Do Warszawy wyjechał we wtorek rano. Po kilku dniach spędzonych w domu lodówka znów była pusta. Zostało jedno piwo. Ostatni Mohikanin. Puszka poczeka na młodego. O ile ten w ogóle przyjedzie. Na stole w pokoju syna położył sto złotych. Po chwili namysłu dołożył jeszcze jeden banknot. Resztę przeleje na konto.

Tym razem wyjątkowo mu się poszczęściło. Był sam w przedziale. Rozciągnął się na wolnych siedzeniach. Każdy, najmniejszy nawet ruch sprawiał mu kłopot. Dotknął obolałych żeber i skrzywił się. Efekt wczorajszego spotkania z Kastoriadisem.

Trening zbliżał się do końca. Heinz ruszył do przodu i nadział się na pięść Greka. Przez chwilę nie wiedział, co się stało. A potem bardzo ostrożnie zbierał się z podłogi, jakby się bał, że zaraz zgubi jakąś część ciała.

– Nie masz kondycji, to zrozumiałe - mruknął Kastoriadis. - Ale nie masz też refleksu i woli walki. Dopóki się nie poprawisz, tak będziesz kończył każde nasze zajęcia. Wycieraniem podłogi tą galaretowatą masą, którą uznajesz za swoje ciało.

Dyplomata to ten Kastoriadis nie był. Stara twarda szkoła. I dobrze.

Nie miał refleksu i woli walki. No właśnie. Uwaga ta odnosiła się nie tylko do wczorajszego żalosego treningu, ale też do sprawy, którą prowadził. Kolejny raz rozkładał na czynniki pierwsze elementy śledztwa. Refleks. Coś zgubił po drodze. Wola walki. Powinien ostrzej porozmawiać z Janem Dawidowem i Łukaszem Zarembą - dwoma ewangelistami, którzy pozostali przy życiu.

Z kolei Ormianin zbyt łatwo rozbroił go swoją szczerością. W dodatku wystawił mu swojego towarzysza broni. Zapewniał o jego niewinności, ale w sumie dziwnie to wypadło. Mógł być bardziej

dyskretny, a nie był. Okazał się nadspodziewanie rozmowny. Dlaczego?

Zasnął. Gdy się ocknął, pociąg dojeżdżał do Warszawy. Zostawił czyste ubranie w hotelu i pojechał do komendy. Śledztwo trwało w impasie. Wypił dwie kawy i bezmyślnie przerzucał dokumenty na biurku. Kilka razy w jego karierze taka metoda przyniosła skutek. Skoro sam nie znajdujesz rozwiązania, niech rozwiązanie samo cię znajdzie. Tym razem jednak ani oglądane zdjęcia, ani protokoły z miejsc zdarzeń i wyniki sekcji zwłok nie przywodziły żadnych skojarzeń.

Zbliżała się czternasta. Zrezygnowany zaczął segregować dokumentację. Z impetem otworzyły się drzwi i ujrzał w nich głowę Karloffa.

– Dodzwonić się do ciebie to prawdziwy wyczyn. Do prezydenta łatwiej. - Jego twarz upodobniła się do trupiej czaszki. - Maciejewski od godziny się dobija, a ty nie odbierasz!

Odruchowo obszukał kieszenie spodni i sztruksowej marynarki. Cholera, musiał zostawić komórkę w hotelu. Sięgnął po telefon na biurku.

– Pobiłeś rekord świata w liczbie nieodebranych połączeń - zaczął Maciejewski.

Heinz zaczął się tłumaczyć, ale aspirant nie dopuścił go do głosu.

– Widziałem się z Garikiem... - Zawiesił głos. - Spotkanie trzeciego stopnia. Dzisiaj stawiasz browar, a gdy będę bez samochodu, lufę.

Maciejewski czekał na Saskiej Kępie w barze Efes na rogu Francuskiej i Zwycięzców. Gdy wszedł Heinz, aspirant kończył kebaba. Oprócz nich, w barze przed telewizorem siedziało kilku Turków, w milczeniu obserwujących piłkarski mecz.

- Ten Daszu to niezły zawodnik. - Maciejewski zaczął bez dłuższych wstępów. - Swoją drogą wiem już, dlaczego tak go nazywają. Przynieś mi piwo, to i ty się dowiesz.

Heinz bez słowa sprzeciwu podszedł do baru.

- Udałem się na stadion - Maciejewski wypił łąpczywie kilka łyków - i zapytałem znajomego Ormianina o Daszu. Gdy usłyszał ksywę, zmienił się na twarzy. Lekko poszarzał. Już wtedy czułem, że nie będzie łatwo. Drugi Ormianin nie bał się tak bardzo, ale kazał na siebie czekać dobrych dwadzieścia minut. Przyszedł i powiedział, że nie znają żadnego Daszu. Użyłem więc dodatkowych argumentów - uśmiechnął się - i poprosiłem, by sprawdził raz jeszcze. Specjalnie dla mnie. Po kwadransie przysłali mi następnego. Ten już konkretnie zapytał, o co mi chodzi.

- Co mu powiedziałaś? - Heinz wdychał zapach baraniny.

- Że chciałbym porozmawiać o sprawie sprzed czternastu lat. O obozie w Falenicy. Gdy wrócił, powiedział mi, że Daszu się pojawi. I że mam czekać przy Baobabie, tam gdzie kiedyś było Cafe Sax, tam - wskazał palcem - przy Walecznych.

Niespodziewanie Turcy zaczęli się przekrzykiwać i gestykulować. Heinz rzucił okiem na ekran. Sędzia pokazywał zdziwionemu piłkarzowi czerwoną kartkę.

- Czekałem czterdzieści minut. Na próżno. Podszedłem do samochodu i wtedy za mną pojawił się Daszu. Kątem oka widziałem, że wyciąga coś w moją stronę. Zapewniam cię, że to nie była ręka na przywitanie. Ręka tak nie kłuje.

Maciejewski podwinął bluzę i Heinz zobaczył czerwony ślad na plecach i zakrzepniętą strużkę krwi.

– Wsiadliśmy do samochodu. Raz spojrzysz na moją twarz i nie żyjesz. Tak zaczął. Czułem, że robi się gorąco. Zwłaszcza, że nie odstępował od kłującego argumentu. Poprosiłem, by pozwolił mi wyjąć zdjęcie z kieszeni. Pokazałem mu zwłoki Stopy. I jego ręce kończące się na nadgarstkach. Powiedziałem mu, kto to jest i co się stało.

– I wtedy zostaliście przyjaciółmi? Takimi na śmierć i życie? - Heinzowi wcale nie było do śmiechu. Próbował jakoś rozładować sytuację.

– Powiedzmy. Powiedział mi, że szukał go ponad dziesięć lat. Że ulżyło mu, bo w ten sposób został już tylko jeden.

– Jeden? - Komisarz wyprostował się i poczuł ukłucie w żebrach.

– Podobno jednego odnalazł. Poderżnął mu gardło, a ciało wrzucił do wapna. Stara sprawa, tak powiedział. Mamy nie szukać, i tak nie znajdziemy. Opowiedział mi o tym tak, jakby recytował numery z książki telefonicznej. Prawdziwy psychol, mówię ci, a widziałem niejedno...

Zatem ci dwaj, którzy zginęli przed Stopą, nurek z Żerania i kloszard z Siekierok, wybrani zostali przez mordercę według innego klucza. Nie mieli nic wspólnego z gwałtem w obozie w Falenicy. Przynajmniej tyle się dowiedział.

– Przy okazji zostałem pouczony, co znaczy Daszu. To skrót od słowa *daszujn*, oznaczającego sztylet. Jak tak dalej pójdzie, Hipis, niedługo rozmówki polsko-ormiańskie napiszę. Słuchasz mnie w ogóle?

Heinz myśłami był gdzie indziej. Popatrzył z roztargnieniem na aspiranta. Na szczęście w tym samym momencie Turcy zaczęli krzyczeć i obejmować się. Jedna z drużyn strzeliła bramkę.

Maciejewski odjechał, a Heinz zamówił sobie kebaba. Jeśli ten cały Daszu nie kłamie, to...

Wgryzł się w soczysty, miękki kawałek mięsa.

Jeśli nie kłamie, to musimy zacząć wszystko od nowa. Dla komisarza stało się oczywiste, dlaczego Daszu nie rozpoczął poszukiwań Stopy od odwiedzin u Dudzińskiego. Wierzył, że ma lepsze dojścia albo że przerażony biznesmen zawiadomi policję i zrobi się niepotrzebne zamieszanie. Ormianinowi rozgłos nie był potrzebny. Z drugiej strony... Zawsze jest druga strona medalu. Daszu mógł zwyczajnie kłamać. A jeśli nawet mówił prawdę, nie można wykluczyć, że pojechał do Falenicy teraz, po latach.

Wreszcie stało się też jasne, dlaczego Koczarian tak chętnie opowiedział o swoim towarzyszu broni. Widocznie był pewny, że ten poradzi sobie w każdej sytuacji. Sztylet. Ciekawe, czym Daszu zajmuje się oficjalnie. Sprzedaje w jednej ze stadionowych bud gry komputerowe? *Doom*, trójka, hektolitry keczupu na ekranie. To pewnie jego ulubiona.

Jednego z mężczyzn, którzy zgwałcili mu siostrę, dopadł sam. W przypadku Stopy ktoś go wyręczył.

Nagle pomyślał o tym trzecim. Ostatnim, który pozostał przy życiu.

Strach pomyśleć, co by było, gdyby Daszu go dopadł. Strach. Ale nie żal.

Trzydziestego pierwszego października Jowita Rut nie od razu pojechała na groby rodziców do Tarnowa. Wcześniej czekało ją jedno spotkanie.

Nadzieja umiera ostatnia, pomyślała, zaciskając zęby i trzaskając drzwiczkami samochodu. Wizyta ostatniej szansy. Głęboko

odetchnęła, by nabrać sił, i popatrzyła na szyld Instytutu Kardiologii w Aninie. Pewnym krokiem skierowała się do rejestracji, potem weszła na pierwsze piętro i udała się do końca korytarza.

Poprzedniego dnia była w Radomiu. Bez problemów odnalazła gabinet doktora Adama Letkiego w zniszczonej kamienicy w centrum miasta. Gdy przedstawiła się, zobaczyła strach w jego oczach. Reakcja tamtego pierwszego kardiologa była podobna. Dlaczego ci lekarze tak bardzo się boją?

Spojrzał na kalendarz wiszący na ścianie i poczuła nagły dreszcz emocji. 7 i 10 października zakreślone były kółkiem. Przecież wtedy Doktor Śmierć zabił kloszardów.

– Te daty są dla pana istotne? - zapytała.

– Urodziny moich rodziców - uśmiechnął się. Dobiegał pięćdziesiątki, ale najwyraźniej dbał o siebie, co u lekarzy nie jest takie częste. Jego sylwetka zdawała się reklamą zdrowego trybu życia i ograniczania biesiadnych uciech, tłustego boczkusa z grilla i piwa. Taki Heinz, z niechęcią pomyślała o koledze, mógłby brać z niego przykład.

– Mieszkają w Warszawie - ciągnął kardiolog - więc pojechałem ich odwiedzić.

– W oba te dni?

– Nie, tylko siódmego - odpowiedział zdziwiony Letki. - Ale chyba nie przyszła pani do mnie po to, by rozmawiać o moich rodzicach. Czy oni, nie daj Boże, coś zrobili?

Dalej szkoda gadać. Letki nic nie pamiętał z Czandigarhu. Czarna dziura. Ze wstydem wyznał, że wtedy nadużywał alkoholu. Nadużywał to dla tamtej sytuacji zresztą niezbyt adekwatne określenie. Ale zapewniam panią, to się skończyło... Wspomnienia

utoneły w pijackich zwidach i oceanie dżinu. Bardzo się zdziwił, gdy Jowita przypomniała mu, że razem z nim było dwoje innych kardiologów z Polski.

– Wie pani - powiedział na pożegnanie - to był główniany czas w moim życiu. Tej współpracy z LaboFraC wstydzę się jak diabli. Ale to wszystko mam poza sobą - odetchnął, jakby zrzucił z siebie ogromny ciężar. Wyznanie sprawiło mu ulgę. Jednakże Jowita nie była ani siostrą miłosierdzia, ani dobrą powierniczką. Przede wszystkim jednak nie chciała tracić czasu. Czuła, że jest już bardzo blisko.

Przypomniała sobie to wszystko, zanim zbliżyła się do drzwi. Zapukała i weszła do pokoju. Spojrzała na dwa łóżka i bladoniebieskie ściany. Jedna z pacjentek spała, druga przyglądała się jej uważnie.

Spotkanie ostatniej szansy. W zakładach bukmacherskich płacą jeden do miliona.

Przywitała się, wyjęła odbitkę i pokazała ją leżącej kobiecie. Janina Rudzka była podłączona kablami do urządzeń kontrolujących pracę serca.

– W zasadzie mam jedno pytanie - powiedziała szeptem. - Czy przypomina sobie pani to miejsce?

Kobieta uśmiechnęła się. Jakby we wspomnieniach przywoływała stare dobre czasy.

– Indie - powiedziała z wysiłkiem. - Oczywiście, pamiętam.

– Byli tam z panią lekarze z Polski. Zapamiętała pani z tego pobytu coś szczególnego? Może byli tam jeszcze inni Polacy?

Zielone oczy wpatrywały się w Jowitę.

– Tam w ogóle jest sporo turystów. W końcu to bardzo dziwne miasto. Miejscowi narzekają, że nie da się w nim mieszkać...

Z trudem przełknęła ślinę.

– Ma pani rację, byli lekarze z Polski, jeden pił na umór, aż wstyd było patrzeć. A poza tym? Kilka razy słyszało się nasze głosy... Kobieta, taka w moim wieku, mężczyzna, młodszy, a już całkiem siwy, chyba był jeszcze profesor architektury, taki koło pięćdziesiątki. Ale na sto procent to pani nie powiem. Ja już niewiele wiem.

Żadnych imion, nazwisk. Nic. Film z przeszłości nagle się urwał. Bukmacherzy zacierała ręce. Kolejny raz byli górą.

Aparatura medyczna ożywiła się i zapiszczała.

– Proszę pani - szepnęła Rudzka - jestem kardiologiem... Zaraz po Święcie Zmarłych idę pod nóż. Mówią, że wszystko będzie dobrze, ale ja nie dam się oszukać. Mam złe przecucia. Już czuję, jakbym była po tamtej stronie...

Ta kobieta też się bała. Ale bała się inaczej niż ci dwaj lekarze, których Jowita odwiedziła wcześniej.

Policjantka mocno zacisnęła dłoń na jej zimnej ręce.

Potem wstała i wyszła bez pożegnania.

Tyle razy opowiadał młodemu o tej płycie. No, bez przesady. Rozmawiali o niej może trzykrotnie. Jak na nich to i tak dużo. Syn nie rozumiał, albo nie chciał zrozumieć, na czym polegała wielkość tego albumu. Nie wywoływała w nim dreszczu emocji opowieść o odwadze artysty, który wbrew oczekiwaniom fanów, zaczął grać zupełnie inaczej, niż czynił to wcześniej. Taka myśl o radykalnej zmianie nie była obca Heinzowi. Zastanawiał się kiedyś, czy nie

rzucić policyjnej roboty dla rockowego grania. Do życia w trasie, ciągłego przemieszczania się z miejsca na miejsce był przyzwyczajony. A potem przyszła kolejna sprawa, następna zbrodnia, która odsunęła tę pokusę zmiany na dalszy plan. Takie życie. Od morderstwa do morderstwa.

Młody wzruszał ramionami i mówił, że może tylko ten pierwszy kawałek nadaje się do słuchania. Pierwszy kawałek! *Like a Rolling Stone* to nie żaden kawałek, tylko arcydzieło XX wieku. W 1965 roku, gdy Bob Dylan nagrywał tę płytę, ciebie, gówniarzu, nawet w planach nie było.

Zbliżała się ósma wieczorem. Heinz potarł zaczerwienione oczy i spojrzał na kolejne zdjęcie. Mężczyzna z opuszczoną głową w fotelu. Zasnął na zawsze. Komisarzowi także chciało się spać, choć przewidywał, że jego sen będzie krótszy. Przerzuci kilka ostatnich zdjęć i wreszcie odeśpi. Mogą powrócić nawet koszmary, było mu to obojętne. Dziś zaśnie bez pomocy prochów.

Fortepian grał pierwsze akordy kolejnego Dylanowskiego arcydzieła. *Ballad of a Thin Man*. Pieśniarz opowiadał historię przeciętnego człowieka, który robił drobne machlojki i przekrety, aż wreszcie wkroczył w nieznaną mu, piekielną otchłań. Mężczyzna umierający w fotelu. Dudziński. Skojarzenie z piosenką samo się nasunęło. Drobny gszefciarz z rodzącej się polskiej klasy średniej był jak pan Jones, o którym śpiewał Dylan. I też przeszedł przez swoje piekło. Równie tajemniczo i niespodziewanie wkroczył w jego czeluście.

Coś się tu dzieje,

Lecz nie wiesz co.

Nieprawdaż, panie, Jones?

Jones. Jeszcze jedno skojarzenie. Pomyślał o byłej żonie Dudzińskiego. Ich wspólne zdjęcie wciąż wisiało w salonie. Przypomnił sobie o dziwnym wrażeniu, jakie odniósł w domu w Falenicy. Rezydencja seryjnego mordercy. Zapamiętał szczególną atmosferę niepokoju, która towarzyszyła mu podczas przechadzki po tych posepnych wnętrzach.

Spojrzał na wyświetlacz telefonu. Dwudziesta trzydzieści. Odjął sześć godzin. W Nowym Jorku był środek dnia.

Odszukał numer pani Jones. Jeśli w tym domu w Falenicy był ślad czyjejś obecności, to właśnie tej kobiety. Usłyszał w telefonie poirytowany głos. Wyświetlił się jej numer z Polski. Najwyraźniej numery stąd nie kojarzą się jej dobrze.

Przedstawił się, a po drugiej stronie zaległa wymowna cisza.

– Jest tam pani jeszcze?

– Tak.

Nie był pewien, czy kobieta mówiła prawdę.

– Nie chcę pani niepokoić - powiedział łagodnie. - Mam naprawdę tylko kilka pytań.

– Poprzednio też miał pan tylko kilka pytań, a nie spałam całą noc.

Biedactwo, pomyślał. Podkrążone oczy, przypomniał sobie sprawę, którą prowadziła Jones, z pewnością wywarły wrażenie na ławie przysięgłych.

– Państwa wspólne zdjęcie - rozpoczął Heinz - wciąż wisi w Falenicy...

– Cóż... Mateusz był w gruncie rzeczy dość sentymentalny.

Mateusz. A jednak. Tym razem zrezygnowała z bezosobowej formy.

– Wie pani, co mnie zdziwiło? Ten audiofilski sprzęt. Kolekcja płyt, tak jak się zorientowałem, była raczej uboga.

Niespodziewanie ożywiła się.

– To sprzęt mojego ojca. Można powiedzieć, że wniosłam go do naszego małżeństwa jako wiano - dodała cierpko. - W sumie ma pan rację. Mateusz nie miał gustu, nie bardzo znał się na muzyce, lepiej wychodziło mu kolekcjonowanie obrazów, ale dbał o wzmacniacz i resztę, bo wiedział, jak mi na tym sprzęcie zależało. Zresztą ta pasja audiofilska mi została. Niedawno kupiliśmy nowy wzmacniacz, accuphase. Wrażenia są niesamowite!

– A ten stary? - przerwał szybko. - Nie zabrała go pani ze sobą? Na swój sposób to rodzinna pamiątka.

– Miałam dość. Nie chciałam, by cokolwiek przypominało mi o straconych latach - mówiła pewnie, jakby była na sali sądowej. - Zresztą teraz... - urwała.

Teraz wszystko odzyska. Wszystko zostanie w rodzinie. Wydawało mu się, że w tle usłyszał dźwięk dzwonka.

– Proszę zaczekać. Moja córka wróciła. Właściwie... córka mojego męża z pierwszego małżeństwa.

Usłyszał w słuchawce radosny dziewczęcy głos. Pani Jones coś powiedziała, ale nie zrozumiał ani słowa.

– Ma pan jeszcze jakieś pytania? - zapytała zniecierpliwiona. - Naprawdę zadzwonił pan po to, by porozmawiać o moich audiofilskich upodobaniach? - nie dawała wiary.

– Jeszcze jedno pytanie. Obiecuję, że ostatnie. Gdy byłem w Falenicy, miałem poczucie... Widzi pani, nie wiem, jak to powiedzieć, by nie zabrzmiało głupio... Dziwnie się czułem w tym domu.

- Nie pan pierwszy - przerwała mu. - Pomieszczenia są dźwiękoszczelne. Mój były mąż nie tolerował hałasu. Takie osobliwe dziwactwo. Muzyki głównie słuchałam, gdy go nie było. Albo na słuchawkach. Kupił mi zestaw do fitnessu, ale wstawił go do piwnicy i prosił, bym tam ćwiczyła, bo za bardzo hałasuję. Nie wiem, czym jeździł ostatnio, ale zawsze kupował ciężkie duże samochody, i to wcale nie dla prestiżu. Jeszcze jeden sposób, aby odciąć się od hałasu i od świata.

- W ogóle mam wrażenie, że to był dziwny człowiek...

- Dziwny? To mało powiedziane! W największy upał, na plaży, chodził w długich spodniach. Nie chciał, by ktoś widział jego blizny.

- Przecież stać go było na operację plastyczną w najlepszych klinikach na świecie - wtrącił komisarz.

- Mówiłam mu to samo - westchnęła. Powiedziała do córki kilka słów po angielsku. - Naprawdę muszę kończyć.

- Dlaczego nigdy nie zdecydował się na operację?

- Panicznie się bał, że coś się nie uda. Że nastąpi odrzut przeszczepu, diabli wiedzą co. Że będzie wyglądał jeszcze gorzej. Nie chciał, i już. Uparł się.

Usłyszał znajomy już dźwięk.

- Mąż wraca. Naprawdę muszę kończyć.

Rozłączyła się bez pożegnania.

Myślał o tym, co przed chwilą usłyszał. Dziwny człowiek, którego życiem rządził strach. Zamknięty w dźwiękoszczelnym domu. Jak w kokonie. Poszukał jeszcze jednego numeru. Norbert Kuczka odebrał niemal od razu.

– A to pan, komisarzu... - Nie krył rozczarowania. - Pomyliły mi się numery, ma pan podobny do mojego klienta.

– Niestety, nie mam dla pana zlecenia, obawiam się, że byłbym niewypłacalny do końca swego życia - powiedział Heinz. - Ale w sumie dzwonię w kwestiach architektonicznych.

– Tak? - Kuczka wydawał się zainteresowany.

– Chodzi mi jeszcze o pańskiego przyjaciela Dudzińskiego. On miał dom z dźwiękoszczelnymi pomieszczeniami...

Architekt roześmiał się.

– Przykładał pan kiedyś muszlę do ucha?

– Muszlę?

– Był pan tam u niego w środku? - Nie czekał na odpowiedź. - Wiem, o co chodzi. Chodził pan po domu i czuł, że wszystko jest inaczej... Ogarnął pana niepokój, prawda?

– Dokładnie tak było.

– To właśnie jest efekt muszli. Gdy był pan dzieckiem, wmawiano panu, że to szumi morze. A to szumi pańska krew. Pańskie ciśnienie. Słyszysz pan samego siebie. Dlatego to tak działa.

– U Dudzińskiego jest podobnie?

– Oczywiście! Wprawdzie to nie muszla, ale w takich pomieszczeniach człowiek czuje się tak, jakby słyszał swój każdy ruch. Oczywiście dość szybko można się do tego przyzwyczaić. Mówiłem panu, że Dudziński był ekscentrycznym klientem?

– Wspominaliście państwo o tym...

– Ostatnio upierał się na te szyby. Żona opowiadała, gdy był pan u nas. A wcześniej... A tak w ogóle podobał się panu ten dom?

Heinz zawahał się.

– Jeśli mam być szczery, to więcej finezji ma betoniarka stojąca w szczerym polu.

– Muszę to sobie zapisać! - krzyknął Kuczka. - Sam pan widział. - Westchnął. - Siermiężne to strasznie. Ale jakie miałyby być, jeśli w ściany wlane jest dwadzieścia centymetrów betonu. Do tego dźwiękoszczelne drzwi, rozmaite rozwiązania wytłumiające...

– Słowem: schron.

– W sumie tak. Schron. Ale naprawdę można przywyknąć. Po kilku dniach spędzonych w środku wszystko wraca do normy. Człowiek się przyzwyczaja. Da się w czymś takim żyć.

Płyta *Highway 61 Revisited* skończyła się już dawno. Heinz siedział w ciszy, chociaż z pewnością nie takiej, jaka otaczała Dudzińskiego. Ktoś na ulicy krzyczał, przeciągając samogłoski „Legia, Legia Warszawa!”. Komisarz wyjrzał przez okno. Sypał śnieg. Pierwszy tej jesieni.

Legendarna droga 61 prowadząca z Nowego Orleanu do Kanady. Nieopodal niej, w motelu, zamordowano Martina Luthera Kinga. Bluesowa legenda głosi, że na skrzyżowaniu sześćdziesiątki jedynki z inną drogą, wielki gitarzysta Robert Johnson zaprzedał duszę diabłu.

Jeszcze raz pomyślał o mężczyźnie, który kurczowo przytrzymał się czarnego fotela, jakby rozpaczliwie chwycił się życia. A ty, przypomniał sobie zgiętą sylwetkę Dudzińskiego, komu zaprzedałeś duszę?

Głowa opadła mu na stół. Zdjęcie zmarłego przylgnęło mu do czoła. Kark unosił się miarowo i opadał. Komisarz Rudolf Heinz spał.

Masz pół godziny, Hipis. O dziewiątej widzę cię na miejscu.

Dzwonił Krygier. Sam. Bez pośredników. Heinz odebrał półprzytomny. Bolały go plecy. Obudził się o trzeciej w nocy, wstał z krzesła i padł na łóżko. W głosie szefa usłyszał napięcie. Miał na tyle przytomności, by zapytać, co się stało. Krygier odpowiedział krótko.

– Mamy skurwysyna.

W pokoju narad panowało ożywienie.

– Mam nadzieję, że umyliście zęby. - Inspektor zatarł ręce. - Czeka nas sporo przepytowania w terenie.

– Nie wiem, czy oni umyli, ale ja tak. - W drzwiach stanęła Jowita.

Przyjechała ostatnia. Miała podkreśnione czarnym tuszem rzęsy. O ile Heinz był w stanie to ocenić piekącymi, podpuchniętymi oczami.

– Mów, Prałat - pogonił aspiranta Krygier. - Nie mamy czasu!

– Dostaliśmy wyniki sekcji zwłok spod King Crossa. Czekaliśmy długo, bo medycy chcieli mieć absolutną pewność, że się nie mylą. Mogą stwierdzić niemal na sto procent, że... - złapał oddech - że Stopa został zabity zastrzykiem morbitalu.

– Morbital? Co to jest? - zapytał Heinz.

– To środek stosowany do eutanazji zwierząt - powiedział Prałat.

– Do usypiania zwierząt - poprawił go Maciejewski. - Nie ma możliwości pomyłki?

– Praktycznie nie ma. To specyficzny środek używany w weterynaryjnym obiegu. Doktor Śmierć znowu wkłuł się w przestrzeń międzyoponową. Zabił tak samo jak na Siekierkach. Tylko innym środkiem. Rzadko spotykanym.

- Miałeś rację, Hipis. - Krygier pokiwał głową. - Znów, cholera, miałeś rację.

Wszyscy wiedzieli, o czym mówi. Zabójstwo przy King Crossie okazało się dla mordercy katastrofą. Ofiara wyrwała mu strzykawkę z benzyną i dzięki pozostawionym odciskom zidentyfikowali Stopę. Zabójca mógł po prostu zatłuc kloszarda na śmierć, ale nie uczynił tego. Skorzystał z przygotowanej rezerwy. Użył zapasowej strzykawki, choć wiedział, że zostawia po sobie czytelny ślad. Z jakichś względów musiał zabić właśnie w ten sposób, zastrzykiem. Ta potrzeba była najważniejsza. Ważniejsza niż względy bezpieczeństwa i zdrowy rozsądek. A równocześnie morderca zdawał sobie sprawę, że popełnił błąd. Próbował więc odwrócić ich uwagę. Najpierw wysłał zdjęcie z ostrzeżeniem, a potem zaatakował kobietę. Uczynił to tylko po to, by zmylić ślad.

- Musimy działać szybko - powiedział Krygier. - Dostaniecie tylu ludzi do pomocy, ilu będzie trzeba. Szukamy weterynarza. Praktykującego weterynarza z Warszawy, a w drugiej kolejności z województwa mazowieckiego.

- Mamy jakiś wykaz? - zapytał Maciejewski.

- Okręgowe rady lekarsko-weterynaryjne prowadzą taki rejestr - odpowiedział Prałat. - Czekamy na listę. Powinniśmy mieć ją lada chwila.

- Zaczniemy od tych z prawej strony Wisły - zarządził Karloff. - Tu najczęściej atakował morderca, można założyć, że planował sobie też wygodną drogę ucieczki. Podzielimy się dzielnicami. Jowita, weźmiesz na siebie Pragę-Północ, weź ludzi, by sprawdzili kogo trzeba. A ty, Hipis - spojrzał na komisarza z wściekłością - dokąd się wybierasz?

Heinz podszedł do drzwi. Wolny elektron. Nadszedł czas, by wykorzystać swoje przywileje.

– Daj mi godzinę. Może dwie... Tylko coś sprawdzę. - Popatrzył na Krygiera. - Kilka razy w życiu coś tam trafiłem, więc dajcie mi szansę. Potem zajmę się przepytywaniem tych z listy.

Wybiegł, nie czekając na odpowiedź.

Pojechał na Ursynów na Wydział Medycyny Weterynaryjnej SGGW. Nowoczesny przeszklony budynek był podobny do wielu innych obiektów akademickich na świecie. Szkoda, pomyślał, że stary Instytut Weterynaryjny przy ulicy Grochowskiej, pamiętający czasy zaborów, już nie funkcjonuje.

Udał się do sekretariatu i wyjaśnił cel wizyty. Długo czekał, zanim skierowali go do Katedry Chorób Małych Zwierząt. Popatrzył na wykazy nazwisk pracowników naukowych wywieszane na gabinetach. Na jednym z drzwi dostrzegł to, którego szukał. Profesor Joanna Wakar. Zapukał i usłyszał ciche zaproszenie.

Joanna Wakar zbliżała się do siedemdziesiątki i miała siwe, krótko obcięte włosy. Błada cera kontrastowała z czerwienią szminki. Profesor zamknęła laptopa, zdjęła okulary i spojrzała na Heinza.

– Myślałam, że będzie pan w mundurze - powiedziała.

A pani w wykrochmalonym fartuchu.

– Następnym razem się poprawię, obiecuję. - Komisarz uśmiechnął się.

Od czego by tu zacząć? Od tego, że jeden z lekarzy weterynarii jest seryjnym mordercą? Czy od tego, że pani profesor na widok mężczyzny zdejmuje okulary, by poczuć się młodziej?

– Pani profesor - starał się nadać wypowiedzi oficjalny ton - prowadzimy śledztwo, w którym ważną rolę odgrywa środek nazywający się morbital.

– Witamina M - szepnęła kobieta. - Tak to się u nas nazywa.

– Proszę pani, kompletnie się na tym nie znam. Czy są jakieś specjalne procedury stosowania tej... witaminy M? Ma to u siebie w gabinecie każdy weterynarz?

– Wie pan - wykonała ruch dłonią, ukazując paznokcie pokryte jaskrawym czerwonym lakierem - takie środki są pod ścisłą kontrolą. Każda zużyta dawka musi być odnotowana, morbital należy przechowywać w zamknięciu trwale przytwierdzonym do podłoża. Jak pan widzi, nie tak całkiem łatwo posłużyć się takim środkiem.

– Wiem - Heinz zmienił temat - że moje pytanie zapewne zdziwi panią, ale muszę zapytać. Czy w swojej karierze nauczyciela akademickiego miała pani dziwnych, nietypowych studentów?

– Chodzi panu o wariatów, prawda? Takich regularnych?

Heinz spieszył się.

Joanna Wakar założyła okulary, jakby chciała się za nimi schronić. Albo obronić tym wyćwiczonym, profesorskim gestem swoich studentów.

– Proszę pana, studenci weterynarii, a potem lekarze, są bardzo wrażliwymi ludźmi. Staramy się, by ich pancierz stał się twardszy, inaczej nie dadzą sobie rady. Nie wytrzymają.

– Czy ktoś szczególnie zapadł pani w pamięć? Pytam, bo to dla nas może być bardzo ważne.

Wyczuła w jego głosie napięcie. Wzruszyła ramionami.

– Uczę tu prawie trzydzieści lat. Co dwa, trzy trafia się ktoś dziwny. Jeden zapił się przed czwartym rokiem. Zdolny jak diabli! Miałam dziewczynę, która utrzymywała, że rozumie mowę nutrii. Domyśla się pan, gdzie skończyła. Przyszedł na studia chłopak siwy jak gołębek. Był świetny, ale z ludźmi nie łąpał kontaktu. Na egzaminach także katastrofa, ale lekarzem został świetnym.

Takie wspomnienia najwyraźniej ją męczyły.

– Proszę iść do dziekanatu. Pracujące tam panie mają fotograficzną pamięć. Z pewnością więcej panu powiedzą.

Następną godzinę spędził w towarzystwie dwóch kobiet, wysłuchując anegdot o studentach z rozmaitych roczników. Jego rozmówczynie idealnie się uzupełniały. Ta o kasztanowych włosach świetnie pamiętała drugą połowę lat osiemdziesiątych i następną dekadę, a młodsza, brunetka, miała w głowie katalog weterynaryjnych osobliwości z XXI wieku.

Gdy wyszedł z budynku, pobrzmiwało mu w głowie zdanie, które usłyszał dziś kilka razy. Mówi się, że chirurdzy to tacy sercowi ludzie. W porównaniu z naszymi weterynarzami to jednak naprawdę nic.

Naprawdę nic. Na Ursynowie nie znalazł drogi prowadzącej prosto do mordercy. Nie znalazł nawet śladu, na który tak bardzo liczył.

Pomyślał o Mansonie, psie gotyckiej Jolki.

Pokręcił głową.

Szkoda gadać.

Zanim doszedł do drzwi, usłyszał podniesione głosy. Nareszcie, pomyślał Heinz. Wreszcie tętno w grupie specjalnej skoczyło,

atmosfera buzowała, w niebyt uleciała niedawna apatia. Tak powinno być od początku.

Wszedł do pokoju i zastygł w drzwiach.

– Tak, kurwa, nie może być! - Karloff wrzeszczał na policjantkę. Na twarzy wystąpiły mu czerwone plamy, jakby ktoś potraktował go żywym ogniem. Szrama ciągnąca się przez cały policzek stała się bielsza niż zwykle. - Popatrz! - Dostrzegł Heinza w drzwiach. - Zobacz, co ta kretynka zrobiła. - Policjant z wściekłością meł w dłoni kartkę. Wreszcie rzucił nią w stronę komisarza. - Ta idiotka zataiła przed nami wyniki śledztwa. - Karloff zbliżał się do policjantki, która odruchowo cofnęła się pod ścianę. - To całe LaboFraC i zdjęcie z Indii można sobie w dupę włożyć! - wrzeszczał.

– Gównu o tym wiesz - syknęła Jowita. - Znasz się co najwyżej na jednogramowych łyżeczkach z fast foodów.

Maciejewski zakrztusił się kawą. Heinz skierował głupi uśmiech w stronę okna. Nie musiał spoglądać na wydruk faksu, by wiedzieć, co się stało. Ambitna policjantka postanowiła poszukać sprawcy na własną rękę. Prałat przeglądał sterty papierów, jakby go w tym miejscu nie było. Krygier otworzył szeroko usta.

Jednogramowe łyżeczki z sieci fast foodów. Idealne do odmierzania działek koki. Nie przypadkiem zostały wycofane z sieciowych hamburgerowni. Swoją drogą Jowita nieźle mu się odgryzła. Jeśli chodzi o kokainę, Karloff był w ich gronie najlepszym ekspertem.

– Napiszę na ciebie oficjalną skargę. - Monstrum pogroziło policjantce palcem. - Wtedy nauczysz się pracować w zespole.

- Wstrzymaj się, Karloff. - Komisarz próbował załagodzić sytuację.
- Nigdy nie działałeś na własną rękę?

Nie spodziewał się odpowiedzi.

- Jowita zrobiła błąd, ale przynajmniej - teraz rzucił okiem na faks - prześwieciła tę trójkę.

- Mielibyśmy już to dawno z głowy i nie tracili energii na duperele - sapnął Karloff i usiadł przy stole.

Nawałnica z piorunami kończyła się.

- Przypomnij sobie. - Heinz podszedł do Jowity. - Może zrobiłaś lepszą robotę, niż myślisz. Ci twoi lekarze nie zauważyli nic ciekawego?

Odbiła się łopatkami od ściany i usiadła. Sięgnęła po szklanę z wodą mineralną.

- A co mogli zauważyć? - szepnęła drżącym głosem. - Jeden miał wszystko gdzieś, drugi pił do nieprzytomności... Kobieta... Przecież ona nie ma z tym nic wspólnego. Opowiadała, że był tam jeszcze profesor archeologii. I inny Polak, przedwcześnie posiwiwały...

Mówiła dalej, ale już nie słuchał. Dwa zdania brzmiały mu w uszach. Przyszedł na studia chłopak siwy jak gołąbek. Inny Polak przedwcześnie posiwiwały. Zerwał się z krzesła.

- Nerwowo jakoś dzisiaj - podsumował Maciejewski.

- Dokąd się znowu wybierasz? I czy wreszcie ktoś mi wyjaśni, o co chodzi z tymi łyżeczkami z fast foodów? - Krygier podniósł głos.

Droga lokalna 631 prowadzi na Nowy Dwór Mazowiecki. Nikt o niej nie napisał bluesa i nie napisze. Heinz zacisnął dłonie na kierownicy. Może jakiś grzybiarz poznał tu zbieraczkę jagód, ale

kogo to obchodzi? Nie zginął tu żaden znany polityk, co najwyżej jakiś kierowca złapał HIV-a.

Gdy wybiegł z pokoju zebrania, zadzwonił na Wydział Medycyny Weterynaryjnej. Poprosił o połączenie z profesorem Wakar. Nie było jej, już skończyła zajęcia. Trochę trwało, zanim przekonał sekretarkę, by podała mu numer telefonu komórkowego. Nerwowo wystukał cyfry. Włączyła się poczta głosowa. Kurwa mać! Wybrał kolejny numer, tym razem dziekanatu do spraw studenckich.

- Był taki jeden... rzeczywiście był. Taki siwiutki... Ale jak on się nazywał? - Kobieta zastanawiała się głośno. - Musi pan poczekać aż koleżanka wróci, poszła coś zjeść. Ona z pewnością będzie pamiętała.

Czas dłużył mu się niemiłosiernie. Nerwowym krokiem pokonywał dystans między dwiema ścianami. Przywołał scenę z pokoju, gdy Karloff z groźną miną zbliżał się do Jowity. Zrozumiał, jaka myśl mu umknęła. Powróciło skojarzenie, którego uparcie szukał.

To było wtedy, gdy dostali zdjęcie z Czandigarhu. Gdy Doktor Śmierć zapowiadał, że zabije kobietę. Wówczas, podczas zebrania, Karloff powiedział to zdanie. Jak ono brzmiało? Kobięce dłonie kojarzą mi się z czymś innym - powiedział wtedy policjant. Z czym się kojarzą? Z delikatnością? Z pieszczotami? A męskie ręce? Powinien takie pytanie zadać sobie od razu. Jakie skojarzenia wywołują męskie ręce? Jeszcze raz odtworzył sobie ten obrazek, gdy Karloff podchodzi do policjantki. Męskie ręce kojarzą się z przemocą. Z bólem. Ręce odcina się za karę, odcina się je złodziejom, przypomniał sobie tego wypłosza, Kaszpirowskiego.

Nie wytrzymał i ponownie zadzwonił do dziekanatu. Co ta kobieta je? Dwudaniowy obiad ze starterem i deserem podany na porcelanowej zastawie w szkolnej stołówce?

– Koleżanki jeszcze nie ma - usłyszał zniecierpliwiony głos. - Mówiłam panu, że jak tylko... O, właśnie wróciła.

Mam nadzieję, że obiad smakował. Że nie myślisz o niedogotowanych ziemniakach. I nie pomstujesz na zleżałą sałatkę. Błagam, kobieto, pomóż. Wyjaśnił, kogo szuka.

– Pamięta go pani?

Zastanawiała się.

– Oczywiście, że pamiętam. Stary Staszewski. Tak go nazywaliśmy. Dlaczego stary? Bo gdy kończył studia, był już bieluteńki jak mąka. Siwy jak pani profesor Wakar.

Jeszcze jedna myśl przebiegła mu przez głowę.

– Czy on... czy on miał może coś z dłońmi? Coś nietypowego...

– Skąd pan wie? - zdziwiła się. - Tak, miał takie ręce jak po jakimś wypadku. Nawet wstydził się tego, prawda, Basiu? - zapytała koleżanki. - Gdy przychodził do nas, to tak nieudolnie chował je za plecami. I wie pan co? Teraz mi się przypomniało! Niedawno ktoś mi o nim opowiadał. Michał Staszewski ma gabinet w Białoobrzegach, koło Zalewu Zegrzyńskiego.

Ziemniaki były w sam raz, a sałatka świeża. Kobieto, kocham cię.

– Może pani odszukać jego adres?

– Za stary rocznik. Nie mamy go w komputerze. Nie dokopię się teraz do tego. A czy - nie mogła ukryć, że zżerała ją ciekawość - stary Staszewski coś zrobił?

Nic. Poza tym, że jest seryjnym mordercą. Nic więcej. Wymigał się jakimś ogólnikiem, który zwykle wygłasza się w takich

przypadkach.

Dojechał do centrum handlowego M1 w Markach i odbił nad Zalew Zegrzyński. Ledwo znalazł się na drodze lokalnej 631, stanął w korku przed przejazdem kolejowym.

Zaklął pod nosem i uderzył pięścią w fotel przeznaczony dla pasażera.

Zanim wyruszył, wrócił do pokoju zebrań. Prałat wciąż siedział za stołem, przerzucając gęsto zadrukowane kartki.

– Michał Staszewski. Gabinet ma w Białobrzegach pod Warszawą. Znajdź adres i wyślij mi. I napisz, jak dojechać. A potem zgarnij Maciejewskiego i przyjeżdżajcie. Bez hałasu, kompanii honorowej i tak dalej. Rozumiesz?

Prałat nerwowo przełknął ślinę. Najwyraźniej zrozumiał.

Zaczęło padać. Wlókł się za kolumną ciężarówek. Nie miał szans, by je wyprzedzić. Otrzymał esemesa od Prałata. Powinien trafić bez kłopotu. Minął skrzyżowanie z drogą krajową numer 8 prowadzącą na Białystok. Przy drodze stały dwie smętne tirówki, jakby przyrosły do pobocza. Dwadzieścia lat temu było tu tak samo. Pomyślał, że akurat na tej trasie nic się nie zmienia. W okolicach Wólki Radzywińskiej mignął mu pomnik upamiętniający żołnierzy z czasów Bitwy Warszawskiej w 1920 roku. Pod tablicą usychały kwiaty. Pewnie położyli je na Święto Zmarłych. W ogóle, przypomniał sobie, dużo wojska tu w okolicy. W Białobrzegach też chyba jest jakaś jednostka. Wreszcie mógł przyspieszyć. Droga rozwidlała się. Tabliczka wskazywała, że powinien skręcić w prawo. Mignął kierunkowskazem, przejechał kilkaset metrów i po lewej stronie zobaczył komisariat policji. Przez chwilę poczuł pokusę, by się zatrzymać i poprosić o wsparcie. Ale pomoc, pomyślał o

Maciejewskim i Prałacie, pewnie jest już w drodze. Heinz, pomyślał z dezaprobatą, pewnych rzeczy nigdy się nie nauczysz, jesteś nieprzemakalny i impregnowany. Nawet ze spotkania z Inkwizytorem nie wyciągnąłeś żadnych wniosków.

Dojechał do Białoobrzegów. Znalazł się na ulicy Wojska Polskiego, pokonał kilkaset metrów, skręcił w lewo i zatrzymał samochód. Był na miejscu. Przeszedł kilkadziesiąt metrów i po prawej stronie zobaczył przymocowaną do niebieskich prętów solidną tabliczkę „DrWet”. Pod nazwą wypisane były godziny przyjęć i numer telefonu komórkowego. Spojrzał na wyświetlacz. Pacjenci pojawiają się najwcześniej za godzinę. Nacisnął klamkę. Furtka nieprzyjemnie zazgrzytała. Z dwupiętrowego budynku z czerwonej cegły nie dobiegał żaden odgłos. Zastanawiał się, czy nie zadzwonić na podany numer komórkowy pod byle jakim pretekstem i sprawdzić, co Doktor Śmierć teraz robi. Rozglądał się za śladami życia rodzinnego na tym wielkim podwórzu, ale nigdzie nie dostrzegł posadzonych kwiatów, piaskownicy, dziecięcych zabawek. Wszystko wskazywało na to, że Staszewski nie miał nawet psa. Najwyraźniej nikt tu nie dbał o drobiazgi, nazywane przez niektórych rodzinną atmosferą, ciepłem i klimatem. Na pniu drzewa zobaczył strzałkę z nazwą „DrWet”. Powinieneś nazwać swój gabinet inaczej. Doktor Śmierć. Ludzie waliliby drzwiami i oknami. Za częścią mieszkalną stał otynkowany na biało budynek. Między gabinetem a domem znajdował się łącznik pozwalający szybko przedostać się z jednej części do drugiej. Na drzwiach wisiała tabliczka z podobizną dalmatyńczyka. Pies łapą wskazywał napis: „Jeśli zamknięte, dzwoń!”.

Heinz nie zadzwonił. Gabinet był otwarty. Komisarz wsunął się do środka. Na stole operacyjnym leżał kot. Zwierzę miarowo oddychało. Na łbie i łapie miało założone opatrunki. W przeszklonej szafce leżały lekarstwa. Jednak to nie one zwróciły jego uwagę. Na wierzchu zauważył mapę Warszawy. Wziął ją do ręki. Staszewski pozostawił ją otworzoną na stronie z ulicami Gocławka i Olszynki Grochowskiej.

Komisarz drgnął. Przez chwilę zdawało mu się, że ktoś podszedł do drzwi. Przywarł do ściany i nasłuchiwał. To tylko nerwy. Musiało mu się zdawać. Jak zwykle nie miał ze sobą broni. W razie kłopotów mógł liczyć jedynie na sprawność własnego ciała. Wątpliwą sprawność, czego dowiódł ostatni trening.

Przeszedł do drugiego pomieszczenia, znacznie skromniej urządzonego. W kącie leżał stary wojskowy plecak.

Otworzył go i zajrzał do środka. Wyjął zniszczony czarny sweter i sekator. Uniósł go do góry, popatrzył na poczerńiały metal i ostrożnie odłożył na podłogę. Słyszał bicie własnego serca. Jak wtedy, gdy był w domu Dudzińskiego. Tyle że tym razem powód był zupełnie inny. Obok grzejnika stał sejf. Najpewniej w nim Staszewski przechowywał morbital. Odwrócił się w stronę drzwi. Dopiero teraz zauważył lodówkę. Na górnej półce znajdowały się nieznane mu środki medyczne. Odsunął szufladę i odruchowo cofnął się. Przegrodę wypełniały cztery ludzkie dłonie. Każda znajdowała się w osobnej foliowej torbie.

Usłyszał ciche chrząknięcie. W drzwiach stał mężczyzna. Siwa grzywka przysłaniała mu brwi. Nie mógł mieć wątpliwości, kogo miał przed sobą. Heinz nie usłyszał, jak Staszewski wchodził. Weterynarz w jednej ręce trzymał wypchaną siatkę z zakupami.

Delikatnie postawił na podłodze torbę z wizerunkiem uśmiechniętej żabki. Spojrzał na leżący nieopodal sekator.

Heinz powoli wyprostował się.

– Rozumiem - mówił spokojnym, cichym głosem - że to pańskie przytulanki? - Powoli podniósł folię z dłonią, jakby prezentował cenny eksponat. - Gdy nie może pan zasnąć, zabiera je ze sobą do łóżka...

Z tylnej kieszeni wyjął policyjną blachę i pokazał weterynarzowi.

Starał się rozluźnić mięśnie, ale nie było to łatwe. Nie wiedział, jak zachowa się ten człowiek. Ruszy na niego czy zrezygnuje? Zaatakuje czy uzna się za pokonanego? Heinz mógł liczyć tylko na siebie. Maciejewski i Prałat mu nie pomogą. Teraz on kątem oka spojrzał na sekator.

Patrzyli sobie w oczy. Usta Staszewskiego drgnęły. Morderca ruszył do przodu.

45

Andrzej Kolba szykował się do drogi, gdy zadzwonił telefon.

– Dzwonię w imieniu pana Urbaniaka - usłyszał. - Zwykle nie spełniamy takich próśb pacjentów, ale tym razem zrobiliśmy wyjątek.

Ciekawe, czy zagroził, że podpali tę waszą budę, pomyślał Kolba. Z roztargnieniem spojrzał na zegarek.

– Pan Urbaniak nalegał, aby przyjechał pan najszybciej, jak to możliwe. Najlepiej, by odwiedził go pan jeszcze dziś.

– Dzisiaj nie dam rady.

– Powiedział, że przemyślał pańską propozycję. I że jeśli pan odmówi, to on także odmówi. - Mężczyzna najwyraźniej odczytywał z kartki to, co napisał mu Inkwizytor. - Nie wiem, o co chodzi, ale...

Kolba zacisnął zęby. Będzie musiał przełożyć spotkanie na późniejszą godzinę. We Wrocławiu miał spotkać się z dziennikarzem, który przed siedmioma laty zajmował się sprawą Inkwizytora. Z napisanych wówczas artykułów Kolba wywnioskował, że Jerzy Brudny dotarł do rozmówców, których teraz on nie mógł w żaden sposób namierzyć. Pięć lat temu Brudny przeprowadził się na Dolny Śląsk i jak powiedział, na stare lata zajął się życiem, a nie opisywaniem zbrodni. Raz już przekładali termin spotkania. Kolba obawiał się, że emeryt zajmujący się pielęgnacją ogrodu odmówi, jeśli zaproponuje inną godzinę, burząc w ten sposób porządek dnia. Jeszcze raz popatrzył na zegarek. Nie będzie niczego przekładał. Zadzwoń z trasy i zwali wszystko na remonty, które skutecznie tamują ruch na autostradzie A4. A może zresztą nie będzie to konieczne. Szybko uwinie się z Inkwizytorem.

Od razu, gdy go zobaczył, poczuł, że coś zmieniło się w ich relacjach. Urbaniak nie odpowiedział na powitanie, nie wykonał żadnego gestu w jego stronę. Nie wyciągnął ręki. Zastygł wpatrzony w ścianę.

– Cieszę się, że przyjął pan moją propozycję i że zrobimy nasz film - zaczął Kolba. - Nie wiem tylko, czym podyktowany jest ten pośpiech. Możemy przecież omówić wszystko na spokojnie.

– Zagadka - powiedział cicho Urbaniak.

– Słucham?

– Zagadka - powtórzył zmęczonym głosem. - Heinz.

Dziennikarz rozpromienił się. Był z siebie naprawdę dumny. Inkwizytor poddał go próbie, a on przeszedł ją zwycięsko. W nagrodę nie dostanie ręki księżniczki, ale czekają go inne zaszczyty.

- Rozwiązałem zagadkę - powiedział. - Kluczem jest wypadek samochodowy pod Bogusławicami. Jestem niemal pewien...

- Ja też jestem pewien. - Inkwizytor odwrócił głowę i spojrzał na Kolbę.

To, co dziennikarz dostrzegł w jego oczach, sprawiło, że poczuł się nieswojo. Nerwowo popatrzył na pielęgniarza, który zajęty był wypełnianiem jakiegoś druku i ignorował ich rozmowę.

- Jestem pewien, że nie wystąpię w twoim filmie - cedził słowa Inkwizytor. - A wiesz dlaczego? Bo gdy się pojawiłeś, zaczęły się kłopoty. Moja siostra ma teraz problem. Przez ciebie ma poważny problem. Za chwilę wszyscy się dowiedzą, że jestem jej bratem! - podniósł głos. - Będzie musiała kolejny raz się wynosić. Kiedyś uciekała z Katowic. Teraz przegonią ją z Sosnowca! Wygadałeś się komuś! Ciekawe komu? Widzimy się przedostatni raz...

Pielęgniarz odłożył długopis i uważnie przyglądał się pacjentowi.

- To niemożliwe! - Kolba nie panował nad sobą. - Nikomu jeszcze nic nie mówiłem! Materiały zbieram w tajemnicy!

- Zagadka - wyszeptał Urbaniak.

Co za świr! O co mu chodzi? Dziennikarz zamrugał oczami.

- Wiesz, jaka zagadka? - Morderca odsłonił dwa szeregi równych zębów. - Powiedziałem ci, że widzimy się po raz przedostatni. Domyśl się, kiedy zobaczymy się ostatni raz. - Przymknął powieki i przekrzywił głowę. Wyglądał jak Ray Charles grający bluesa.

Lodowate spojrzenie przeszło Kolbę na wylot.

- Spotkamy się, gdy stąd wyjdę. Bo ja stąd kiedyś wyjdę - powiedział pewnym głosem. - I wtedy cię zabiję - warknął i uderzył dłońmi w krawędź stołu. Metalowe nóżki zachrobotwały na podłodze.

Mebel przesunął się, jakby chciał Kolbę przygnieść do ściany. Błyskawicznie, obok Urbaniaka znalazł się pielęgniarz.

– Zrób tak jeszcze raz, skurwysynu - Kolba usłyszał głos pełen nienawiści - a przywitasz się z głupim jasiem.

Urbaniak roześmiał się.

– On także - wskazał palcem na pielęgniarza - należy do mojego fanklubu. Ale ja kiedyś stąd wyjdę.

Powoli wstał.

– Pamiętaj - szepnął - co ci powiedziałem.

Kolba stał przy windzie i nie mógł się opanować. Pierwszą reakcją był strach. Teraz już się nie bał. Kipiał ze złości. Wziął kilka głębokich wdechów. Powoli uspokoił się. Jego głowa znowu pracowała bez zakłóceń. Nie chcesz być gwiazdą, pomyślał o Urbaniaku, to nie. Zrobię ten serial bez ciebie. Może nawet nie ty zostaniesz głównym bohaterem. Na pierwszym planie będzie sprawa komisarza Rudolfa Heinza. Jego przypadek jest znacznie ciekawszy od twojego bestialstwa.

Wyszedł na parking i stanął przy samochodzie. Pozbiera się po tej rozmowie. Gdy dotrze do Wrocławia, całe to zamieszanie będzie już poza nim. Wróci z nowymi informacjami, naładowany energią.

Wziął wdech i otworzył drzwi. Kątem oka zauważył, że ktoś mu się przygląda. Na drugim krańcu parkingu stał mężczyzna w prochowcu. Długie włosy falowały na wietrze.

Przecież znał tego człowieka. Kastoriadis. Był u niego na Zabrskiej. Zaraz. Czy przypadkiem wtedy nie wspomniał mu o siostrze Urbaniaka? Nie był tego pewien. Wiedział natomiast z pewnością, że spotkanie z szalonym Grekiem nie jest dziełem przypadku. Skąd on wiedział, że tu będę?, myśli kłębiły się w głowie

dziennikarza. Ktoś go musiał powiadomić o moim spotkaniu z Inkwizytorem. Kastoriadis stał przy swoim samochodzie, uśmiechał się i bębnił palcami w dach pojazdu.

W pierwszym odruchu chciał podbiec do Greka i dać upust frustracji, coś go jednak powstrzymało. Z pewnością ta konfrontacja nie skończyłaby się dobrze. Przypomniawszy sobie wizytę w mieszkaniu na Zabrskiej, niedostrzegalny ruch wykonany wówczas przez Kastoriadisa i piorunujący ból, gdy zbierał się z podłogi. Wówczas ta demonstracja siły też nie była przypadkiem, teraz wiedział to już na pewno. Nagle obleciał go strach. Poczuł, że musi stąd odjechać. Musi uciec z tego miejsca dla szaleńców, zarówno zamkniętych na oddziałach, jak i tych niezdiagnozowanych. Jego passat ruszył z piskiem opon. Kierował się w stronę autostrady. Spojrzał w lusterko wsteczne. Kastoriadis podążał za nim. Dziennikarz zmienił pas i przyspieszył. Grek zrobił to samo. To chyba niemożliwe. Gdy ponownie zerknął, zdawało mu się, że prześladowca pomachał mu ręką.

Zbliżali się do autostrady. Przecież to niemożliwe, by Kastoriadis jechał za nim do Wrocławia. Po co miałby to robić? Kolba miał dłonie mokre od potu. Nerwowo wytarł je o spodnie. Sięgnął do kieszeni, by wyciągnąć telefon, ale komórka ugrzęzła w dzinsach. Niebezpiecznie zjeżdżał na sąsiedni pas i zajechał drogę rozpędzonemu land roverowi. Wściekły dźwięk klaksonu ostrzegł go przed niebezpieczeństwem. Kastoriadis wciąż podążał za Kolbą, chyba nawet mrugnął mu światłami. W komórce miał telefon do Kościuka, naczelnika wydziału kryminalnego. Musi zadzwonić i opowiedzieć, co się dzieje. Że jest obserwowany przez tego Greka. Przecież to znajomy Heinza. To komisarz go nasłał. Dodał gazu.

Wreszcie udało mu się wyszarpać komórkę. Odszukał numer do Kościuka. Raz jeszcze zerknął w lusterko wsteczne. Kastoriadis został w tyle i jak szalony mrugał światłami. Dziennikarz nacisnął przycisk w telefonie. Dopiero wtedy podniósł głowę i popatrzył przed siebie.

Kilka sekund wcześniej tir, który jechał przed nim, zaczął gwałtownie hamować. Kolba uczynił podobnie. Pedał hamulca nie stawiał oporu. Wpadł do środka. Passat nie zareagował. Samochód zachowywał się, jakby wjechał w oleistą substancję i sunął ze stałą szybkością. Tył ciężarówki niebezpiecznie się zbliżał. Dziennikarz otworzył szeroko oczy i krzyknął. Chwycił za hamulec ręczny, ale było za późno. Auto z całym impetem wbiło się w tira. Kolba zdążył jeszcze usłyszeć ogłuszający szcęk rozdartej blachy i trzask pękającej szyby. Z tyłu w passata uderzył seat. Samochód Kolby zwinął się w harmonijkę. Kolejne pojazdy rozpaczliwie hamowały. Kastoriadisa wśród nich nie było. Gdy zobaczył, że Kolba nie uniknie wypadku, wbił się na sąsiedni pas i odjechał. W lusterku widział, jak zamiera ruch po prawej stronie i jak z samochodów wyskakują przerażeni ludzie. Postacie robiły się coraz mniejsze, aż wreszcie znikły.

Godzinę później był w domu. Włączył wiadomości lokalne. Z napięciem czekał na informację o wypadku. Wiadomość z ostatniej chwili rozczarowała go. W wypadku nieopodal wjazdu na autostradę A4 uczestniczyło kilka pojazdów. Ani słowa nie poświęcono ofiarom. A potem usłyszał zdanie, które zawsze pojawia się przy takich okazjach. Nasi reporterzy udali się na miejsce wypadku i przekażą relację tak szybko, jak to będzie możliwe. Spodziewał się usłyszeć znacznie więcej.

Jego informator w szpitalu nie zawiódł. Kastoriadis wiedział o spotkaniu Kolby z Inkwizytorem. Wydarzenia, które nastąpiły później, wymknęły się spod kontroli. Nie mógł przecież przewidzieć, że dziennikarz wpadnie w panikę i co gorsza, rozpocznie szaleńczą ucieczkę. Kastoriadis zauważył, że tir gwałtownie zwalnia. Widział też, że Kolba nie reaguje. Migał mu światłami, ale ten pewnie nie dostrzegł tego sygnału. Stało się. Nie powinien mieć do siebie pretensji, nie czuł się winny. Zrobił, co mógł, by dziennikarz zrozumiał, że wkracza na pole minowe. A ten idiota zignorował ostrzeżenie.

Kastoriadis nie czekał na relację reporterów. Z wściekłością wyłączył telewizor.

46

Michał Staszewski zrobił dwa kroki do przodu i zatrzymał się. Dzieliły ich teraz od siebie dwa metry. Heinz zmrużył oczy. Uważnie obserwował każdy ruch mężczyzny.

– To już koniec, prawda? - zapytał cicho weterynarz.

– Tak. - Głos Heinza brzmiał zdecydowanie. - To koniec.

– Za szybko to się stało. - Staszewski uśmiechnął się smutno. - Za szybko mnie znaleźliście.

– Dlaczego pan to robił? Dlaczego zabił pan tych ludzi? - Heinz spojrzał na dłonie mężczyzny. W zasadzie domyślał się odpowiedzi, ale chciał ją usłyszeć z jego ust. Musiał go zająć rozmową.

Staszewski wzruszył ramionami.

– Przypominali mi jego. Byli tacy sami. - Odwrócił wzrok i popatrzył w małe okno, jakby stamtąd napływały wspomnienia. - Kiedyś rzuciłem się na niego z pięściami. Powiedział, że musi mnie

ukarać. Zamknął mnie w piwnicy. Któregoś razu przyszedł i unieruchomił mi ręce. Wkręcił je w imadło.

Opowiadał spokojnym, pozbawionym emocji głosem. Zupełnie jakby mówił o czymś, co go nie dotyczyło. Co było w jakiś sposób poza nim.

– Mówił, że skoro podniosłem na niego rękę, to długo zapamiętam tę lekcję. Że będę ją wspominał do końca życia. Obawiam się... obawiam się, że miał rację. Gdy rzuciłem się na niego kolejny raz, zmiażdżył mi palce w drzwiach. - Uniósł dłonie na wysokość klatki piersiowej i uważnie się im przyglądał. - Zanim stał się żulem i pijakiem, był sadystycznym oprawcą. W końcu w jednostce wojskowej też nie wytrzymali. Najpierw próbowali go kryć, potem kazali mu się leczyć, a gdy odmówił, pozbyli się go. Major Staszewski został wyrzucony. Staczał się i skończył jak ci trzej. W kanałach. Może zresztą szkoda...

– Szkoda? Czego szkoda?

– W pewnym momencie znikł z naszego życia. Ale jego obecność wisiała nad nami jak topór kata. Nikt nie mógł żyć spokojnie. Ani matka, ani siostra, ani ja. Baliśmy się, że kiedyś wróci. Żałowałem nawet, że nie ma go w domu. Dlaczego? Zabiłbym go w końcu. Jestem pewien, że tak by się stało. Może - spojrzał na Heinza - nie musiałbym teraz uśmiercić tych trzech. On jeden by mi wystarczył.

– Nie umiem tak handlować ludzką śmiercią. Jest pan w tym znacznie lepszy. - Heinz wiedział, że musi coś powiedzieć. Ale to tamten niech się wygada. Niech opowiada jak najdłużej.

– Płaciliśmy wysoką cenę. Ja... - Urwał i dotknął dłonią siwych włosów. - Ale najbardziej przeżywała to siostra. Gdy niespodziewanie umarła, tylko ja wiedziałem dlaczego. Przeszłość ją

zabiła. Musiałem jej wynagrodzić cierpienie. Choćby pośmiertnie. I wie pan co - podniósł głowę - robiłbym to dalej, gdybyście mi nie przeszkodzili.

– Dlaczego umył pan te odcięte dłonie? Te, które zawiózł pan na dworzec. - Spojrzał na zawartość woreczka foliowego. - Te zresztą też...

– Wybrałem miejsce na dworcu, bo dawało mi gwarancję, że zrobi się zamieszanie. Ja zniknę bez śladu, a dłonie tak czy inaczej trafią do was. A dlaczego je umyłem? Może to zabrzmie dziwnie, ale uznałem, że po śmierci stali się jacyś... jacyś lepsi. Nie chodzi o to, że śmierć ich oczyściła, nie mówię o żadnych takich bredniach. Byli brudni, ale śmierć dodała im blasku. Po prostu uznałem, że skoro już nie żyją, ich ciała zasługują na trochę szacunku. Proszę nie doszukiwać się w moim działaniu jakiegoś... jakiegoś mistycyzmu. Nie jestem wariatem.

Heinz podrapał się w policzek. Tego akurat nie był pewien.

– Ma pan rację. Dziwnie to zabrzmiało. Wie pan, jak pana nazwaliśmy? Doktor Śmierć. Jednemu wkłuł się pan w serce. Drugiemu ugotował mózg. Trzeciego potraktował jak zwierzę przeznaczone do uśpienia. To okrutne, panie doktorze. Nie mniej okrutne od tego, co pana spotkało w życiu.

Mężczyzna nie zareagował. Może nawet nie dotarły do niego słowa policjanta. Komisarzowi zdawało się, że usłyszał odgłos samochodu. Najwyższy czas, by Maciejewski i Prałat wreszcie się zjawili.

Weterynarz uśmiechnął się.

– Nie widzę nic śmiesznego w pańskim położeniu - powiedział Heinz. - W moim zresztą też.

– Wie pan, o czym pomyślałem? Zapytał mnie pan, czy to... - wskazał na zawartość wysuniętej szuflady - czy to są moje przytulanki do snu. Mówiłem panu o kosztach własnych. Nie zliczę tych nocy, kiedy budziłem się przerażony. Gdy dręczyły mnie koszmary. To było dla mnie prawdziwe piekło. Nie wiem, czy w snach mój ojciec nie wydawał się jeszcze gorszy. To pewnie trudno zrozumieć...

– Doskonale wiem, o czym pan mówi.

W drzwiach ujrzał dwóch policjantów. Maciejewski trzymał w dłoni pistolet i mierzył w mordercę. Chciał coś powiedzieć, ale Heinz powstrzymał go ruchem ręki.

– Widzę - powiedział Staszewski, spoglądając na wyciągniętego w jego kierunku glocka - że przybyli już pańscy koledzy. Tylko szybko panu powiem, że moje koszmary skończyły się, gdy... gdy zacząłem wreszcie porządkować swój świat. Od tego czasu nic złego nie przyśniło mi się ani razu. Może wcześniej powinienem wszystko zacząć.

Heinz podszedł do Maciejewskiego.

– Wyprowadź go do samochodu.

Policjant sięgnął po kajdanki. Komisarz przypomniał sobie o nadgarstkach ściskanych w imadle.

– Nie. Jeśli nie musisz, to go nie skuwaj. - Aspirant spojrział na niego zdziwiony. - A ty - zwrócił się do Prałata - zawiadom ekipę. Trzeba zabezpieczyć ślady. - Podał mu woreczek foliowy. Prałat spojrział na zawartość, wzdrygnął się i położył odciętą dłoń na lodówkę.

Heinz wyszedł przed gabinet i zapalił papierosa. Popatrzył na wędrujące po niebie chmury. Stres odpuścił i komisarz poczuł

zmęczenie. Zmęczenie i coś jeszcze. Przygnębienie? Chyba tak. Człowiek, który ratował życie zwierzętom, nie umiał poradzić sobie ze sobą. Nie uniósł takiego ciężaru. W sumie ze mną jest trochę podobnie, pomyślał. Nie różnię się od niego aż tak bardzo. Przydeptał niedopałek.

– A co robimy z kotem? - W drzwiach gabinetu stał Prałat.

– Jakim kotem? - Heinz nie zrozumiał pytania.

– Tam na stole leży kot. Oddycha.

– Wezwij jakiegoś weterynarza. Przecież - spojrzał w kierunku samochodu - to nie jest jedyny weterynarz w okolicy. A zresztą podejść - wykonał ruch głową - i zapytaj go. Niech podejmie decyzję, co robić.

Wiedział, że od tej chwili inni będą podejmować decyzje za tego przedwcześnie osiwiąłego człowieka.

47

To było jedno z najtrudniejszych przesłuchań, w jakich uczestniczył. Nie dlatego, że trwało siedem godzin, zdarzały się przecież dłuższe. I nie z tego powodu, że naprzeciwko siedział seryjny morderca. Staszewski opowiadał o swoim życiu złamanym głosem. Nawet Karloff, policjant odporny na sentymeny i wspomnienia, zagubił gdzieś swoją szorstkość i stanowczość. Z Heinzem było podobnie. Dziesiątki przesłuchań, które sam prowadził, nauczyły go, by nie łąpać się na lep rodzinnych opowieści. Ile razy słyszał, że ofiara była potworem, bestią w ludzkiej skórze, i że spotkało ją, na co zasłużyła. Tym razem było jednak inaczej. Siedział, słuchał i wierzył temu człowiekowi.

Uniósł się tylko raz. Wtedy, gdy Staszewski zaczął opowiadać, że to, co zrobił, może ma jakiś sens. I wcale nie dlatego, jak

zasugerował mu Karloff, że oczyścił miasto ze zbędnych śmieci.

- Ich śmierć sprawiła - w twarzach policjantów szukał zrozumienia - że poczułem się lepszy, przestałem tyle myśleć o przeszłości...

Heinz nie wytrzymał. Walnął pięścią w stół. Podniósł się z krzesła i pochylił nad mężczyzną.

- Posłuchaj... - wysapał - posłuchaj uważnie. Śmierć nie ma żadnego sensu, cierpienie i ból też nie. Cierpienie nie uszlachetnia, strach i ból także nie, rozumiesz? Nie opowiadaj mi tych głodnych kawałków - uniósł głos - że człowiek cierpiący jest lepszy, głębszy, bardziej myślący. Taki człowiek jest kaleką! - krzyknął. - Z bólu rodzi się tylko inny ból! Nic więcej!

Karloff przypatrywał się komisarzowi badawczo. Jakby chciał zadać pytanie: czy chcesz o tym porozmawiać?

Zamilkł i wrócił na swoje miejsce. Po chwili gwałtownie wstał i trzasnął drzwiami. Wszedł przed budynek i zapalił.

Uniósł się niepotrzebnie. A zresztą... Widocznie też musiał odreagować. Do pokoju przesłuchań wrócił już wyciszony. Nie odezwał się więcej słowem.

Uznał, że nie musi uczestniczyć w dalszych czynnościach. W tej sprawie wszystko było jasne. Michał Staszewski przyznał się do trzech zabójstw, cztery odcięte dłonie trafiły do medyków sądowych, sekator i sweter do laboratorium.

Zadzwoił do gotyckiej Jolki. Opowiedział, co się wydarzyło.

- Chciałabym widzieć minę tego aspiranta, któremu wręczyłeś woreczek z odciętymi dłońmi - powiedziała. - A co z tym Dudzińskim? Wiesz, kto go odwiedził w dniu śmierci?

Milczał.

A co miałoby być? Grubo przestrzelił. Pomylił się całkowicie. Zabójstwa bezdomnych i śmierć biznesmena nie miały ze sobą żadnego związku. Sądził, że osoby Dudzińskiego, tego ochroniarza Kolany i gwałt sprzed czternastu lat łączą te wątki ze sobą. Nic z tego.

Podziemnego świata kloszardów nic nie łączy z gabinetami szemranych przedsiębiorców, zwanych dumnie klasą średnią. Te równoległe światy istnieją niezależnie od siebie. Podziemne miasto, labirynt kanałów, ciągnący się przez dziesiątki kilometrów, i subtelne pomieszczenia w przeszklonych, pseudochromowanych wieżowcach, zaprojektowane w zgodzie z najnowszymi trendami, są jak dwie odmienne planety. A może zresztą się myli. Może nie jest tak do końca. Ciemne sprawy, śmierć i pożądanie, które przemienia się w zło i destrukcję, są przecież obecne i tu, i tam.

Wspomnieli wieczór, gdy słuchali Spear of Destiny. Powiedział, że po tym spotkaniu znów zaczął palić. Odpowiedziała, że to bardzo dobrze. Nie usłyszał w jej głosie wyrzutów sumienia. Chciał poprosić, by zadzwoniła od czasu do czasu, lecz taka prośba nie przechodziła mu przez gardło. Nie miał pewności, czy to nie jest ich ostatnia rozmowa.

Wrócił do hotelu i zaczął pakować porozrzucane po pokoju rzeczy. Jutro odda służbowy samochód i po południu wyjedzie. Wróci do Katowic, a tam naczelnik Kościuk powita go z otwartymi ramionami. Przed wyjazdem powinien jeszcze coś załatwić, ale nie pamiętał co. Może nadszedł czas, Heinz, byś zapisywał sobie wszystko na kartce. W hotelowym barze kupił trzy piwa. Chciał coś odreagować. Przesłuchanie mordercy czy rozmowę z umierającą policjantką? Najważniejsze, że zamknęli śledztwo. Był przecież taki

moment, gdy zaczął tracić nadzieję, czy im się uda. Przypomniawsobie o czekającej go wyprawie na Wybrzeże. Pojedzie na koncert młodego. Nie był tylko pewien, jak się zachowa, gdy zobaczy swojego ojca. Tak czy inaczej, musi tam być.

O dziewiątej wieczorem odebrał esemesa od Jolki. „Przemyślałam sprawę raz jeszcze. To kobieta. Pozdrawiam. J.”. Przeczytał ponownie. Nie rozumiał, o co chodzi. Oddzwonił, ale odbił się od włączonej sekretarki. Jaka kobieta?

Położył się na łóżku. Dziś obejdzie się bez muzyki, dźwięki nie ukołyszają go do snu, nie weźmie też środków nasennych. Trzy piwa mu wystarczą.

Pomylił się jednak. Nie mógł zasnąć. Była jedenasta, gdy zrezygnowany wstał, wyjął laptopa i zewnętrzny dysk. Włączy Dylana. Tę płytę, która jak uznał, przyniosła mu szczęście i pozwoliła zakończyć śledztwo. O co tej Jolce mogło chodzić? Spróbuje dowiedzieć się jutro.

Czekał, aż włączy się muzyka, i zamarł. Przypomniawsobie, jaką sprawę zaniedbał. Piro. Miał zadzwonić do kolegi z Elbląga i poprosić, by anulował ten mandat w straży miejskiej. To był zresztą bardzo fajny wieczór, przywołał w pamięci spotkanie. Piwo i muzyka. Spear of Destiny. Jak wtedy, gdy był u Jolki. Audiofilski sprzęt jak u Dudzińskiego. Igła z japońskiej gruszy, słuchawki i oliwka.

Słuchawki i oliwka. Nagłym ruchem zamknął laptopa. Myśli przeskakiwały w jego głowie niczym iskry elektryczne. Dźwiękoszczelne pomieszczenia. Dudziński. Audiofilski sprzęt. Hamlet. To była kobieta...

Zdarzenia układały się mu w głowie w logiczny ciąg. Zerwana plomba. Sprzątaczką. Sprzęt fitness w piwnicy. Człowiek w kapturze. Tak. Tak właśnie było. Wiedział już, co zdarzyło się wrześniego wieczora w domu w Falenicy. Musi teraz to sprawdzić. Tylko jak?

Zaczął szukać numeru telefonu do komendy przy Grenadierów. Wreszcie znalazł. Usłyszał zaspany głos policjanta. Wyjaśnił, o co chodzi. Musi dostać się do pewnego domu w Falenicy. Teraz? Właśnie teraz.

- Był wtedy z panem Szulc. - Dyżurny wrócił do telefonu po kilku minutach. Mówił zmęczonym głosem. - Pewnie śpi. Dziś mieliśmy w rejonie ciężki dzień.

- To go obudź, do cholery! Niech do mnie zadzwoni! Czekam pięć minut - warknął - a potem porozmawiamy za pośrednictwem Pałacu Mostowskich. Albo dajcie mi innego człowieka, który wyłączy ten pieprzony alarm i otworzy mi drzwi.

Umył zęby. Nie chciał zionąć piwem. I bardzo nie chciał narazić się na śmieszność. Co będzie, jeśli jednak się mylił? Wypluwał pianę, gdy zadzwoniła komórka.

- Piłeś? - zapytał Szulca.

- Ja nie piję, panie komisarzu - usłyszał przestraszony głos.

I tu się pięknie różnimy.

- No to przyjeżdżaj!

Pięćdziesiąt minut później jechali do Falenicy. Posterunkowy włączył muzykę w radiu. Chciał leżeć obok żony w łóżku, a nie krążyć listopadową nocą po peryferiach Warszawy. Heinz także nie był zbyt rozmowny. Raz jeszcze łączył skojarzenia w nierozzerwalny łańcuch zdarzeń.

Dojechali na miejsce. Szulc wyłączył alarm i weszli do domu. Heinz skierował się do salonu. Podszedł do wieży. Nacisnął przycisk i z kieszeni odtwarzacza wysunęła się płyta pozbawiona opisu. Włączył odtwarzanie.

Szulc przypatrywał się mu ciekawie. Gdy rozległy się pierwsze dźwięki, drgnął. Jak zahipnotyzowany patrzył na Heinza. Komisarz miał wrażenie, że czas zatrzymał się w miejscu.

Wyświetlacz pokazywał, że zaczyna się ósma minuta utworu. Jeśli to, co słyszał, zasługiwało na tę nazwę.

– Ale jazda. - Posterunkowy pokręcił głową. - Co to było, panie komisarzu?

– Czy masz jakąś koszulkę foliową? - Heinz nie odpowiedział na pytanie.

– Mam w samochodzie. Trzymam w niej podanie o urlop.

– Załatwię ci dodatkowe dni wolne. Tylko przynieś ją.

Szulc wybiegł z domu.

Heinz spojrzał na wiszący w salonie zegar. Było grubo po północy. Dzisiaj da sobie spokój, nie będzie podejmował żadnych działań. Musi wszystko przemyśleć i jeszcze raz ułożyć w głowie. I tak nie zaśnie do rana.

Posterunkowy przyniósł koszulkę. Heinz delikatnie chwycił płytę za krawędzie i włożył do środka.

– Pan naprawdę przyjechał o tej godzinie, by zabrać płytę? - Szulc zapytał z niedowierzaniem, gdy wracali.

– Lubię takie nagrania dla koneserów - odpowiedział zmęczony. - Ale na co dzień słucham czegoś innego.

Wszedł do pokoju. Dylan poszedł w odstawkę. Komisarz ponownie odsłuchał dziwną płytę.

Płyte, która - teraz już to wiedział - zabiła Dudzińskiego.

48

Nie ma krótszej drogi od najkrótszej drogi. - Rudolf Heinz wpatrywał się w mięsiste usta Norberta Kuczki.

- Nie bardzo pana rozumiem - powiedział poirytowany architekt.

Siedzieli w mieszkaniu przy ulicy Humańskiej. Rano komisarz spotkał się z Krygierem. Musi przedłużyć swój pobyt w Warszawie o dzień albo dwa. Inspektor nie zapytał nawet o przyczyny tej zmiany. W pewnych sytuacjach dogadywali się bez słów. I tym razem zrozumiał, że Heinz musiał mieć ważne powody, by podjąć taką decyzję. Komisarz skierował się do laboratorium. Skontaktował się z doktorem Taranienką, a później wskazanym przez niego lekarzem. Długo z nim rozmawiał. Teraz był już pewien, że się nie pomylił.

Przez pół dnia próbował dodzwonić się do Kuczków. Żadne z nich nie odbierało telefonu. Dopiero po południu udało mu się porozmawiać z architektem. Propozycja spotkania, którą złożył, została przyjęta niechętnie. Kuczkowie, dowiedział się od mężczyzny, pracują teraz nad ważnym zleceniem. Zarywają dnie i noce, by zdążyć z terminami.

- Nie ma krótszej drogi od najkrótszej - powtórzył Heinz. - Tak mawia mój przyjaciel, mistrz karate.

- I postanowił pan podzielić się ze mną tą sentencją osobiście? - sapnął Kuczka.

- Myślałem o śmierci Dudzińskiego. - Wbił wzrok w architekta. - I o zakapturzonej postaci, która odwiedziła go tamtego wieczora. Zlekceważyłem pewne szczegóły, bo też sprawa wydawała się oczywista. Zawał serca jest przecież taką oczywistością.

– Jakie szczegóły pan pominął, komisarzu? - W pytaniu brzmiała źle skrywana drwina.

– Zignorowałem na przykład to, że ten człowiek, gdy znalazł się na tak ogromnej posesji, podszedł najpierw do okna. Dziwne, prawda? Ktoś, kto się zakrada, raczej tak nie robi. Nie włamywacz. Jeśli chciałby pan zaskoczyć właściciela, zapewne by pan nie postąpił w ten sposób. A jeśli przyszedłby pan w odwiedziny, od razu skierowałby się do drzwi. Po co zaglądać przez okno?

– No właśnie. Po co?

– Nasuwa mi się tylko jedna odpowiedź. - Heinz kołysał się w fotelu. - Ktoś chciał sprawdzić, czy Dudziński wstawił wreszcie te szyby dipolowe, czy jak się to nazywa... Dlatego skierował się najpierw do okna. Ciekawe, kto był taki ciekawski? Jak pan myśli - popatrzył na architekta - kto to mógł być? Naprawdę nie ma krótszej drogi od najkrótszej drogi, a ja ją przeoczyłem.

Kuczka poczerwieniał na twarzy.

– Pan naprawdę myśli, że to ja byłem tego wieczora u Dudzińskiego? Że wałęsałem się tam w bluzie z kapturem? I wystraszyłem go tak, że umarł na serce? Pan jest śmieszny, komisarzu!

– Mielicie państwo projektować mu dom na Mazurach. Kryzys sprawił, że Dudziński wstrzymał się z budową. Pan też chciał coś w pobliżu postawić, dobrze pamiętam? Nie zdziwię się, jeśli zaciągnął pan kredyt, który trudno teraz spłacić. Zwłaszcza gdy tacy klienci jak pański przyjaciel, niezawodni dotychczas klienci, wycofują się z inwestycji. Może zresztą zadłużył się pan u Dudzińskiego. Ten chciał wyjechać, zmienić życie, poprosił o zwrot zaliczki...

Przy każdym kolejnym zdaniu Kuczka kulił się coraz bardziej. Wyglądał tak, jakby otrzymał serię precyzyjnie wymierzonych ciosów. Za chwilę padnie na deski.

– To nie Norbert był wtedy u Mateusza. To ja tam byłam - usłyszeli kobiecy głos dobiegający z przedpokoju.

W drzwiach stanęła Róża Kuczka ze sportową torbą przewieszoną przez ramię. Najwyraźniej słuchała ich rozmowy dłuższą chwilę.

Kuczka poderwał się gwałtownie.

– Ty? - zapytał z niedowierzaniem.

– Tak. Pańska żona tam była - potwierdził Heinz.

Spojrzał na kobietę.

– Zawodowa ciekawość wzięła górę. Postanowiła pani sprawdzić, czy Dudziński zamontował wreszcie te szyby.

Zresztą, o ile wiem, była pani u niego częstym gościem. Sprzątaczką przychodziła w środę. Dudziński kilkakrotnie wyłączył kamerę w czwartek...

Norbert Kuczka zmrużył oczy i patrzył na żonę. Ciężko oddychał. Za chwilę będziemy mieli kolejny atak serca. Architekt otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć. Ale to ona przemówiła.

– Spotykaliśmy się od pięciu lat. Mniej lub bardziej regularnie. Ma pan rację, najczęściej w czwartek. - Odłożyła sportową torbę. - Ostatnio sprawy przybrały zły obrót. Pytał pan - popatrzyła na Heinza - czy Mateusz miał wrogów. Miał. Sam był dla siebie największym zagrożeniem. Od lat bał się hałasu. A ostatnio wystraszył się czegoś jeszcze. Nie chciał powiedzieć, co się stało, chociaż go prosiłam. W dodatku za dużo pił. Postanowił wyjechać. Zmienić swoje życie. Mówił, że wreszcie dojrzał do tej decyzji. I chciał, bym też rzuciła wszystko i wyjechała razem z nim.

Kuczka usiadł w fotelu i dłońmi objął skronie. Heinz usłyszał cichy szloch.

– A to już pani nie odpowiadało. I postanowiła go pani zabić. Muszę przyznać, że zrobiła to pani w wyrafinowany sposób. - Nie czuł żadnej sympatii do tej kobiety i nie miał dla niej litości. - Dudziński bał się hałasu. Stąd te dźwiękoszczelne pomieszczenia. Wybudował dom na odludziu, z dala od sąsiadów. Dlaczego? By nie słyszeć szczekających psów. Tam wszyscy, oprócz niego, mają psy. W tym obozie pracy w Falenicy także zamykali zwierzęta, gdy przyjeżdżał. W dzieciństwie został dotkliwie pogryziony. Z tamtego przeżycia pozostał mu w głowie głównie jazgot warczących zwierząt. Straszliwe odgłosy. Mogę sobie tylko wyobrazić, że jest to potworna trauma. Stąd u niego ta fobia związana z głośnymi dźwiękami. Rozmawiałem dziś z lekarzem, który potwierdził moje przypuszczenia. Swoją drogą, gdzie pani taką płytę znalazła? Raczej nie w empiku?

– Nie chciałam go zabić. Chciałam go nastraszyć - mówiła jak automat. - Gdy spotkaliśmy się dwa tygodnie wcześniej, nalegał, bym z nim wyjechała. Wypił wtedy dużo i był agresywny. Uderzył mnie w twarz. Na szczęście nie pozostał żaden ślad. Potem dzwonił, przeproszał i błagał mnie, bym znów przyjechała. Że wszystko przemyślał. Ale ja też przemyślałam. Na wszelki wypadek tym razem miałam ze sobą paralizator. I chciałam dać mu nauczkę. Nagrałam tę płytę. Odgłosy warczących i szczekających psów. Znalazłam w Internecie bez specjalnego trudu. Chciałam zostawić mu to nagranie w prezencie. Na pamiątkę. Ma pan rację - popatrzyła na Heinza - zanim weszłam, spojrzałam w okno. Byłam ciekawa... Gdyby wstawił te cholerne szyby, byłby to znak, że zmienił zdanie i

nie wyjedzie... Zresztą skąd miałam wiedzieć, że ktoś mnie obserwuje? Monitoring nie działał. Zawsze gdy przyjeżdżałam, go wyłączał. Tak się umówiliśmy...

– Co się stało, gdy pani do niego przyjechała?

– Potem znowu wszystko się powtórzyło - mówiła coraz wolniej. - Pił tego wieczora. I rzucił się na mnie. Broniał się. Poraziłam go prądem. Raz... A potem po raz drugi... Później coś we mnie wstąpiło. Podciągnęłam fotel w kierunku wieży, sama nie wiem, skąd miałam tyle siły, założyłam mu słuchawki i włączyłam. Siedział bezwładnie... Chciałam, by też wiedział, co to jest cierpienie. Zobaczyłam, że się nie rusza. Zaraz potem zgasło światło. Wpadłam w panikę...

– Popełniła pani dwa błędy. Nałożyła mu pani słuchawki na uszy, a on dbał o ten audiofilski sprzęt byłej żony...

– Niech pan nic nie mówi o tej suce! - krzyknęła.

– Wyczyścił słuchawki specjalną oliwką. Właśnie taka kropka pozostała u niego na małżowinie usznej. Medyk sądowy nie potrafił wyjaśnić pochodzenia tego tłustego śladu. Zupełnie przypadkiem na to wpadłem. Niedawno byłem w... Zresztą nieważne.

– A mój drugi błąd?

– Dudziński nie dawał znaku życia. Żule odcięli przewody, zapasowy akumulator wyczerpał się. Taki zbieg okoliczności. Akurat gdy była pani w Falenicy, kradli tam kable. Nie miała pani szans, by wyjąć płytę. Została w odtwarzaczu. Nie zdziwię się, jeśli to pani próbowała włamać się do jego rezydencji już po śmierci. Ktoś zerwał założoną przez nas plombę. To stało się zaraz po tym, gdy byłem u was pierwszy raz i powiedziałem, że muszę zobaczyć ten dom. Przestraszyła się pani, że znajdę nagranie. No i znalazłem. A na niej

piękne odciski palców... Mogę założyć się o każde pieniądze, do kogo one należą. Tyle o tym.

– Nie musisz nic mówić! - Norbert Kuczka zerwał się z fotela. - Nie ma żadnych dowodów! To tylko jego chore fantazje!

– Nazywał mnie różyczką - szepnęła ze łzami w oczach.

Wybiegła do przedpokoju. Usłyszeli rumor spadających książek. Heinz odtrącił Kuczkę i podbiegł do otwartych drzwi. Wypadł na schody.

– Stój! - wrzasnął w kierunku zbiegającej kobiety.

Spojrzała w górę. Nagle potknęła się i zaczęła się staczać ze schodów. Próbowwała ręką złapać się poręczy, ale nie zdołała. Zatrzymała się na parterze. W dwóch mieszkaniach, na pierwszym piętrze i na dole, otworzyły się drzwi, w których pojawiły się głowy ciekawskich lokatorów. Z parteru dobiegł go kobiecy krzyk.

Zbiegł na dół i spojrzał w otwarte i martwe oczy. Zadzwoił do Maciejewskiego. Niech sprowadzą lekarza. Nie. Nie do niej. Ktoś będzie musiał zająć się Norbertem Kuczką.

Różyczka spoczywała na zimnej kamiennej posadzce.

49

Młody był jeszcze lepszy niż wtedy, gdy słyszał go w Katowicach. Na koncert dotarł nieco spóźniony. Nie mógł znaleźć w Gdyni tego cholernego klubu. Gdzie oni grają? W jakiejś kompletnej dziurze. Gdy wszedł, najpierw rozejrzał się uważnie po sali. Wypatrywał mężczyzn znacznie starszego od siebie. Odetchnął z ulgą. Nikogo takiego nie było. Jedynie on dramatycznie zawyżał średnią wieku.

Zaatakowała go ściana potężnych dźwięków. Słuchał zaskoczony. Raczej nie tego się spodziewał. Oczekiwał czegoś bardziej klasycznego.

W ostatnim czasie rozmaite sprawy wokół niego przybrały nieoczekiwany obrót. Gdy wrócił do Katowic, dowiedział się, że Kościuk został zawieszony. Wyszło na jaw, że w przeszłości lubił znęcać się nad oskarżonymi. Najwyraźniej, pomyślał Heinz, przypominając sobie jego brata, to u nich rodzinne. Wiele wskazywało na to, że Kościuk już nie powróci na stanowisko naczelnika. Jak zwykle w takich wypadkach pojawiła się giełda nazwisk. Heinz na tej liście był dosyć wysoko.

– Nie ma takiej opcji - powiedział Trzcíńskiej i Kobuzowi podczas nieoficjalnej rozmowy. - Nie nadaję się do takiej roboty. Znacnie mnie, jestem wolnym strzelcem. *Free bird*. Hipis. Ale nie naczelnik.

– Tak czy inaczej - odpowiedział Kobuz - przynajmniej nie musimy kontynuować tych durnych księżycowych śledztw.

W Warszawie przeszukano dokładnie dom Dudzińskiego. Śladów obecności Róży Kuczki było o wiele więcej, niż mogłoby się zdawać. Zdziwił się, że sam je przeoczył. Wprawdzie nie prowadzono śledztwa w sprawie zabójstwa biznesmena ze względu na śmierć głównej podejrzanej, ale Krygier nakazał zebranie stosownych dowodów. Kobieta spanikowała w domu Dudzińskiego. A potem zachowała się podobnie, gdy przyszedł do nich. Może też miała dosyć takiego życia? Swoją drogą, nic by jej nie udowodnili. Nie mieli nawet pewności, czy Dudziński usłyszał nagranie. Mogło być i tak, że jego serce nie wytrzymało już wcześniej.

Różyczka. Przypomniał sobie stary policyjny serial. Tam chyba było coś takiego...

Kastoriadis nie odbierał telefonu. Pewnie wyjechał gdzieś, co często mu się zdarzało. W zespole po raz kolejny wykruszył się

perkusista, który udał się z żoną do Brukseli. Parlament Europejski potrzebował kolejnych biurokratów.

W nocy nie dręczyły go koszmary. Starał się ograniczyć alkohol, ale palił więcej niż wcześniej. Raz przyśnił mu się przedwcześnie osiwiwały mężczyzna. Wszystko, co o swoim ojcu opowiadał Staszewski, potwierdziło się w toku śledztwa. Ciekawe, czy może liczyć na nadzwyczajne złagodzenie kary? A może umieszczą go, jak kiedyś Inkwizytora, na oddziale zamkniętym?

Utwór gwałtownie się skończył. Rozległy się pojedyncze oklaski.

– Chcieliśmy zagrać teraz taki stary kawałek - zapowiedział wokalista. - Oczywiście zrobiliśmy go po swojemu.

Trwało dłuższą chwilę, zanim Heinz rozpoznał utwór. Kawałek! Zespół grał *Like a Rolling Stone*. Jak można tak pokaleczyć genialny utwór? Ale Krzysiek śpiewał naprawdę dobrze.

Po koncercie wypili po dwa piwa i pogadali trochę. Następna taka okazja mogła się szybko nie powtórzyć. Zbliżała się północ, gdy Heinz poszedł nad morze. W tę mglistą listopadową noc na plaży, oprócz niego nie było nikogo więcej. Pochylił się przy brzegu i ręką rozgarniał lodowatą wodę.

Natrafił dłonią na jakiś przedmiot. Muszla. Pokręcił głową z niedowierzaniem. Tutaj, w Bałtyku? Niemal niemożliwe.

Podniósł ją i przyłożył do ucha.

Urbaniak leżał z otwartymi oczami i patrzył w sufit. W całym szpitalu psychiatrycznym zaległa cisza. Nawet ten nowy, z piętra wyżej, dzisiaj nie krzyczał.

Ostatnio miał kłopoty ze snem. Wciąż martwił się, co stanie się z siostrą. Gdy była u niego ostatnio, zapewniała, że wszystko się już

ułożyło. Sąsiedzi potraktowali napis na klatce schodowej jako jeszcze jeden chuligański wybryk. Ale kto wie, jak jest naprawdę?

Pomyślał o dziennikarzu. Słyszał o wypadku Kolby. Podobno to cud, że żyje. Czy na pewno żyje? Leży przecież w śpiączce. Zresztą to i tak lepsze od bezsenności.

Zamrugał. Nie mógł zasnąć już kolejną noc. Nie chciał brać proszków nasennych. Musi coś z tym zrobić. To pewnie ten szpital tak na niego działa. Tu przecież sami wariaci, a on... Nawet Rudolf Heinz wiedział, że nie jest niepoczytalny. Ten Heinz...

Nadeszła pora, by coś zmienić.

Uśmiechnął się do własnych myśli.

Gdybyście wiedzieli, o czym marzę, krzyczelibyście ze strachu po nocach.

Od autora

Podziękowania należą się wszystkim, którzy pomogli mi przy pisaniu tej książki. Tradycyjnie w tym gronie znajduje się wybitny medyk sądowy, dr Jakub Trnka z Zakładu Medycyny Sądowej AM we Wrocławiu („nie chcę ci psuć przyjemności spożywania posiłków” to *specialité* doktora Trnki właśnie), a także Marek Krajewski, jeden z pierwszych czytelników *Kołysanki dla mordercy*. Jednym z pierwszych czytających był także świetny autor powieści kryminalnych Marcin Wroński, któremu kłaniam się za inspiracje i uwagi.

Szczególne podziękowania niechaj przyjmie dr Dariusz Gorzkowski, zjawiskowy weterynarz z obrzeży Warszawy. Nie chcę zdradzać za wiele (są bowiem tacy, którzy noty od autora czytają na początku, a potem ewentualnie przechodzą do lektury książki), powiem jedynie, że doktor Gorzkowski jest znakomitym facetem i zawdzięczam mu kilka znakomych pomysłów. Słowa podziękowań kieruję w stronę Jacka Nowińskiego, animatora kultury i dyrektora Biblioteki Elbląskiej im. Norwida (tak!, jest tam igła gramofonowa z japońskiej gruszy), za wszelką pomoc i wsparcie oraz w kierunku Natalii Nowińskiej za informacje o gadżetach funeralnych. Od Mariusza Cydzika, mistrza sztuk walki z Elbląga, przejąłem powiedzenie, że „nie ma krótszej drogi od najkrótszej drogi”. No tak. Aleksandrze Litorowicz jestem wdzięczny za wnikliwe komentarze oraz Bonnie i Clyde'a, oczywiście. Wreszcie Marysi, Ukraince, która mieszka w Polsce od dwóch dekad, dziękuję za uwagi o współczesnych obozach pracy. Mam wreszcie audiofilski (i

fabularny) dług wobec Ryszarda Burdyny. Cieszę się, że mogliśmy razem posłuchać Spear of Destiny! Maria Strarz-Kańska niechaj wie, że Heinz nie podjąłby się rzucania palenia bez jej surowych uwag.

Redaktorom W.A.B., Joannie Habierze, Zuzannie Kowalskiej i Filipowi Modrzejewskiemu, dziękuję za cierpliwość i pracę nad tą książką. Jolanta i Kazimierz Świetlikowscy, twórcy portalu Zbrodnia w Bibliotece, dozogoni fani rocka i kryminałów, zawsze wnoszą pozytywne wibracje i chwała im za to!

Miejsca występujące w tej książce zostały przedstawione w powieściowy sposób: wszak fikcja literacka rządzi się (nieco) innymi prawami niż zapisy rzeczywistości poza-fabularnej. Chciałem jednakże, by w opisach tych pobrzmiwał ton wiarygodności.

I jeszcze dwa wyjaśnienia. Rudolf Heinz nigdy nie spotkał Eda Sulzbacha. Informację o tym agencie FBI znalazłem w książce Patricii Cornwell *Kuba Rozpruwacz*. Ponury Śpioch to pseudonim seryjnego mordercy grasującego w Stanach Zjednoczonych. W czasie gdy toczy się akcja *Kołysanki*, zabójca wciąż pozostawał nieuchwytny. Ujęto go w 2010 roku.

Wszelkie niedostatki *Kołysanki dla mordercy* wynikają jedynie z tego, że jej autor ciągle grasuje na wolności.

Mariusz Czubaj